

JERZY R. KRZYŻANOWSKI

BANFF

Powieść

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1988

BANFF

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 439

ISBN 2-7168-0106-1

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

JERZY R. KRZYŻANOWSKI

BANFF

Powieść

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1988

INSTITUT LITTÉRAIRE

BANQUE

PARIS

INSTITUT LITTÉRAIRE

© COPYRIGHT BY INSTITUT LITTÉRAIRE, S.A.R.L., PARIS, 1988

*Czułem w głębi serca, że
im dalej człowiek w coś zabrze,
tym lepiej rozumie, jak wszystko w życiu
jest pospolite, krótkotrwałe i
czcze; że w pogoni za czymś nie-
znanym w naszych uczuciach, przekonujemy
się, jak marne są nasze próby
i jak szybko unicestwiane.*

(Joseph Conrad, *Uśmiech fortuny*)

I. TRG REVOLUCIJE

Przełęcz miał już poza sobą, zjeżdżał teraz wąską, śliską szosą w dolinę, na dnie której leżało niewidoczne jeszcze w mroku miasto. W szyby wozu prał uporczywy, gęsty deszcz i Krzemień musiał skupić całą uwagę na prowadzeniu auta. Z przeciwka pięły się pod górę obładowane kłocami drzew ciężarówki, wymijał je starając się nie zwalniać, ale jego mały Fiat raz po raz niebezpiecznie blisko ocierał się o wysokie obrzeża szosy, za którymi stał nieruchomy i ciemny las. Prawie jak wtedy, przed trzydziestu laty w Karkonoszach, myślał, choć ciągle jeszcze wydawało mu się dziwne, że zamiast za kierownicą jednego z tych olbrzymów pracowicie pełznących pod górę siedzi w szybkim, sportowym aucie, jak biała smuga wywijającym się z lepkich reflektorów bijących z przeciwka na wirażach górskiej szosy.

Na to spotkanie w Zagrzebiu jechał bez najmniejszej chęci. W ogóle nie przyjechałby tu nigdy, gdyby nie wyraźne życzenie dyrektora działu sportowego CBC, na gwałt poszukującego kogoś, kto mógłby obejrzeć tereny przyszłej Olimpiady i zawczasu przywieźć potrzebne informacje o miejscowych warunkach. Konkurencyjne ekipy amerykańskie siedziały w Sarajewie już od wiosny, trzeba było uprzedzić spodziewaną próbę zmonopolizowania przez nich transmisji także na Kanadę. Krzemień nawinął mu się w czasie jakiejś pospiesznie zmontowanej konferencji, wydał się idealnym kandydatem nie tylko jako doświadczony dziennikarz sportowy, ale także jako człowiek energiczny i przedsiębiorczy, znający w dodatku te niemożliwe języki. Na pewno da sobie radę. O to, jak zareaguje na pierwsze spotkanie ze strażnikami granicznymi noszącymi na czapkach czerwone gwiazdy nikt się nie troszczył, kanadyjski paszport gwarantował nietykalność gościa, który w dodatku reprezentował wielką sieć telewizyjną

i wielkie pieniądze, więc gdzie tu problem? Wysłano go bez gadania.

I właśnie wtedy, gdy już na pewno wiedział, że pojedzie, napisał do Teresy, proponując spotkanie po przeszło dwudziestu latach, pierwsze od czasu wyjazdu z Polski. Mimo, że korespondowali rzadko, raz do roku wymieniając tylko świąteczne życzenia, odpowiedziała prawie natychmiast, żałowała, że nie będzie mogła przyjechać związana terminowymi robotami, ale szczęśliwa, że Janek będzie miał okazję poznać nareszcie jej syna, przedstawiciela jakiejś polskiej firmy handlowej, od roku oddelegowanego na placówkę w Zagrzebiu. „Wojtek, pisała, będzie Cię woził po Jugosławii, ułatwi Ci kontakty, zawodowe oczywiście. A poza tym nawiążecie kontakt najważniejszy, rodzinny...”.

Przyhamował, zwolnił, nie próbował wyprzedzić graniastej bryły autobusu zajmującego połowę szerokości szosy i raz po raz migającego czerwonymi światłami hamulca. Deszcz monotonnie bił w szyby, zegary wewnątrz wozu połyskiwały zielono i chłodno. Krzemień zapalił papierosa i poprawił się w fotelu, zdecydowany dowiec się do miasta choćby z opóźnieniem, ale bezpiecznie. Zresztą mapa obiecywała lepszą szosę gdy wyjadą z gór, może będzie mógł wtedy nadrobić stracony czas. Siostrzeniec miał czekać w hallu „Internationalu”, taką przynajmniej wiadomość przesłał do przedstawiciela CBC w Rzymie, gdzie Krzemień załatwiał pierwsze formalności związane z tą wyprawą. Uporał się z nimi szybko, już po dwóch dniach mógł wyjechać na północ, obiad zjadł we Florencji, przenocował pod Wenecją, nie zatrzymywał się nigdzie indziej, chciał na noc dotrzeć do Zagrzebia, żeby nazajutrz ruszyć dalej i móc jak najszybciej wrócić do domu.

Do domu, myślał teraz, to znaczy po prostu do Toronto, jakkolwiek by to dziwnie nie brzmiało. Nie mógł zapomnieć pogardliwego skrzywienia ust, z jakim jugosłowiański strażnik graniczny oddawał mu dokumenty, spytawszy przedtem o miejsce urodzenia. „Myślałem, powiedział poprawną angielszczyzną, że Lublin leży gdzie indziej, nie w Kanadzie”. „A mimo to, odpowiedział sucho Krzemień odbierając paszport, jestem Kanadyjczykiem. *Good-bye!*” i ostro zerwał Fiata obsypując tamtego tumanem kurzu. Mam ich wszystkich dosyć, myślał, choć jestem w tym kraju dopiero parę godzin. Odwałę, co mam odwalić, łącznie ze spotkaniem nieznanego siostrzeńca, obejrzę teren i urzędzenia, wóz zostawię w Wiedniu i wracam, wracam jak najszybciej do domu. To jedno, pierwsze krótkie spotkanie z przedstawicielem komunistycznej władzy popsło mu całą przyjemność

wyjazdu, na który w końcu zaczął się cieszyć, ciągle jeszcze rozdarty między przywiązaniem do Europy a miłością do kanadyjskiego kontynentu, szeroko rozpiętego między dwoma oceanami, otwartego i młodego, jak jego własna, dawno minioną młodość.

Gdy minął Karlovac górską szosa rozszerzyła się w cztero-liniową autostradę, wyprostowała poprzez migającą rzadkimi światłami dolinę, w której centrum leżało niedalekie już miasto. Strzałka szybkościomierza niepostrzeżenie przeskoczyła czerwoną kreskę, wóz szedł równo, niósł się nad mokrą powierzchnią jak biały pocisk sunący za smugą świateł. Było jeszcze dość wcześnie, ale noc zapadała już nad tym krajem wśród lesistych gór, dławiła wilgocią, oblepiała okna auta ukośnymi uderzeniami deszczu. Coraz wyraźniejsza łuna zbliżającego się miasta nie obiecywała ani spokoju, ani ciepła. Wjechał między pierwsze zabudowania i trzymając na kolanach plan miasta bez trudu odnajdował drogę, odczytywał dziwnie swojskie nazwy ulic, wymijał nieliczne o tej porze auta i nieruchawe tramwaje, a gdy dotarł do śródmieścia przez chwilę zdawało mu się, że jedzie po tak dobrze z codziennych spotkań znajomej Queen Street, zwłaszcza gdy nad ulicą wypiętrzył się światłami hotel „International”. Zgasił motor, przeciągnął się i ziewnął. Był na miejscu.

W recepcji, urządzonej w bezosobowym, pseudoamerykańskim stylu, najpierw zatrzymano mu paszport a potem, po bezsensownie długim czasie, podano mu paszport, klucz i okazałą kopertę. Wcisnął ją do kieszeni płaszcza i dopiero na górze, gdy rozpakował walizkę i obmył twarz, przypomniał sobie o tym liście zaadresowanym do redaktora Jana Krzemienia. Nałożył okulary i zaczął czytać:

Drogi Janku! — Nie mogę dłużej czekać wobec Twojego spóźnienia. Zadzwoń do mnie jutro albo wpadnij do firmy na Trg Oktobrske Revolucije (adres i telefon w nagłówku).

*Serdeczne pozdrowienia
Wojtek*

P.S. Załączam przewodnik po Jugostawii.

W pierwszym odruchu oburzenia zmiął papier, po chwili jednak, gdy już zapalił popierosa i nalał sobie kieliszek koniaku, rozprostował list i raz jeszcze uważnie przeczytał. Gruby, solidny welur, nadruk POLJUG — INTERNATIONAL TRADE CO, adres i sześciocyfrowy numer telefonu, równe, nieco szkolne pismo... Ile on może mieć lat, ten pętał? Dwadzieścia cztery,

pięć? Będąc w jego wieku miałem już za sobą wojnę, okupację, partyzantkę i dwa lata obozu. Tak, urodził się chyba po moim wyjeździe, w każdym z nielicznych listów Teresa pisała o jedy-naku, był jej dumą, niedawno skończył SGPiS, ożenił się i proszę, od razu na placówkę handlu zagranicznego... Musi być równie *pusby* (jak to powiedzieć po polsku?) jak jest bezczelny, zakonkludował i postanowił nie myśleć o tym do rana.

Nazajutrz obudził się wcześniej, jak zawsze w obcym mieście. Lubił poznawać nowe miejsca o tej wczesnej godzinie, gdy ludzie idą do pracy, otwierają się sklepy, pachnie jeszcze czystością i świe-żością letniej nocy. Miasta odsłaniały wtedy przed nim swoje prawdziwe twarze, wydawały się zawsze przyjazne w oczekiwaniu nowego dnia, były miłe i zapraszające. Zagrzeb nie okazał się inny. Idąc wolno ulicami w poszukiwaniu jakiejś kawiarni Krze-mień miał uczucie, że kiedyś już tu był, zdawało mu się, że spaceruje po ulicach jakiegoś Sanoka czy Przemyśla, stara austro-węgierska atmosfera dziewiętnastego wieku trwała w ciemnych fasadach domów, spoglądała na niespiesznego przechodnia oknami sklepowych wystaw, spływała z gęstej zieleni drzew, wśród której ginęły czerwone flagi i polityczne slogany. Nawet tramwaje po-dobniejsze były do krakowskich niż do nowoczesnych wozów w Toronto.

Potem, siedząc już przy wysuniętym przed kawiarnię stoliku, gdy kończył śniadanie przypomniał sobie o włożonym do kieszeni przewodniku. Przerzucając kartki zatrzymał się na opisie Za-grzebna: *„Idziemy do miasta. Słońce nie pali tak mocno, jak w Belgradzie. Przesiane przez gęste korony platanów, kreśli na bruku wesole kółeczka, na ławkach siedzą pogrążeni w kontem-placji emeryci i matki z dziećmi, wzdłuż promenady przesuwają się w zgrabnych pantofelkach urocze, szczupłe zagrzebiańskie dziewczęta...”*.

Zatrzasnął książeczkę i gdyby nie obserwujący go z głębi kawiarni kelner, cisnąłby ją na sam środek Placu Republiki. Wczorajsze oburzenie wróciło z nową siłą, idiotyzm cikliwego tekstu zepsuł mu całą przyjemność spotkania z miastem, zapowia-dał nieuniknioną konfrontację z tym wszystkim, od czego uciekł przed laty i do czego nigdy by pewnie nie wrócił, gdyby nie ten narzucony wyjazd. W swoich dotychczasowych podróżach trzy-mał się ściśle zachodu Europy, nigdy nie dotarł nawet do Niemiec, bojąc się obudzić przeszłość. Resentymenty, powiedział półgło-sem, przezuwając polskie brzmienie tego słowa, jakże nieudol-nie oddające jego angielski sens. Coraz częściej zresztą myślał po angielsku, trafność i dosadność tego języka były zwykle o wiele

precyzyjniejsze od słowiańskiego rozgadania. Słońce kreśli wesołe kółeczka, cholerny świat.

Do hotelu wracał zniechęcony, postanowił wyruszyć zaraz po lunchu, tak, żeby do Sarajewa dotrzeć przed nocą. Europejskie czterysta kilometrów brzmieć mogło groźnie tylko dla kogoś, kto nie przyzwyczajony był do robienia czterystu mil w ciągu jednego dnia, dystans zresztą nie był większy niż odległość między Toronto a Montrealem, przejeżdżana niezliczone już razy. Pchnął obrotowe drzwi i miał właśnie poprosić o klucz, gdy ktoś dotknął jego ramienia, zdecydowanie i mocno. Odwrócił się, nie przyzwyczajony do takiej poufałości.

Stał przed nim wysoki, mocno zbudowany młody mężczyzna. Bardzo krótko ostrzyżone włosy, grube okulary, opalona cera i uprzejmy, nawet ujmujący uśmiech.

— Od razu cię poznałem — zawołał ciągle trzymając rękę na ramieniu Krzemienia. — Jesteś zupełnie podobny do mojej mamy...

— ... wuju — wtrącił Krzemień.

— ... jej oczy, nos, masz nawet podobne skrzywienie ust...

— ... wuju — powtórzył.

Młody człowiek zająknął się i spojrzął ze zdziwieniem. Powoli opuścił rękę, cofnął się i po sekundzie namysłu powiedział:

— Tak... Wuju, jeśli mamy już być tacy formalni.

Dopiero teraz Krzemień wyciągnął dłoń, przywitali się bez obejmowania, na odległość tej wyciągniętej ręki mierzyli się ciekawymi i uważnymi spojrzeniami. Wojtek miał na sobie dobrze uszyty garnitur, białą koszulę i krawat w ukośne prążki, wyglądał na zdrowego, rosnącego mężczyznę, z całej jego postaci biła pewność siebie, poczucie ważności i siły.

— My, poddani jej królewskiej mości musimy być formalni — Jan próbował załagodzić pierwsze starcie, ale tamten nie podjął tematu, spytał tylko dość chłodno:

— Czy możemy napić się kawy?

— Doskonale. Przejdźmy tu obok, do kawiarni.

Wojtek przepuścił starszego mężczyznę przodem, uprzejmie przytrzymał szklane drzwi, gestem zaprosił do stolika. Dobrym, swobodnym serbskim zamówił dwie kawy i dwie śliwowice, ale Krzemień stanowczo odmówił alkoholu.

— Tutaj taki zwyczaj, samej kawy nikt nie pije.

— A ja nigdy nie piję przed czwartą. Poza tym niedługo jadę dalej.

— Jak to? Przecież mama pisała... Myślałem, że będziemy razem...

— Mój drogi, nie wiem, co pisała twoja matka, ale ja jestem tutaj, jak to się u was mówi, służbowo, w delegacji. Wstąpiłem do Zagrzebia na jej prośbę, żeby się z tobą zobaczyć, ale tylko na chwilę.

Młody człowiek zmarszczył czoło, widać było, że nie chce się z taką stanowczością pogodzić. Tymczasem Krzemień mówił:

— Acha, i zwracam ci tu dziełko pani, jak-że jej tam, Krukowskiej. Obawiam się, że nie przyniesie mi wiele pożytku. No, ale powiedz mi przede wszystkim, jak twoja matka?

Wojtek upił nieco śliwownicy, przyjął ofiarowanego papierosa.

— Dziękuję, dobrze. Zdrowa, zapracowana jak zwykle. Prosiła, żeby cię... wuja pozdrowić i ucałować, co niniejszym czynię.

Znacząco podniósł kieliszek, znów upił spory łyk. Krzemień skłonił głowę. Nie układała się ta rozmowa, przeczuwał to od początku.

— A ty sam? — próbował mimo wszystko. — Skończyłeś studia, pracujesz tutaj?

— Tak. Jestem radcą handlowym naszej firmy.

— Radca handlowy! To brzmi dumnie, jak powiedział Gorki. Uśmiechnęli się, po raz pierwszy od chwili spotkania.

— Podobno nawet zdążyłeś się ożenić?

— Tak. Na czwartym roku. Moja żona jest ekonomistką.

— Pracuje także tutaj?

— Oczywiście. Nie mamy jeszcze dzieci, trzeba zarobić na benzynę do auta.

— Co robi twoja żona?

— Hm... Jakby to powiedzieć? Upiększa polską rzeczywistość, pracuje dla Marleny.

— To jakiś salon kosmetyczny?

— Prawie. Instytut Marksizmu-Leninizmu.

— Rozumiem. Warszawianka?

— Tak. To znaczy rodzice z Wileńszczyzny, ale ona sama urodzona już w stolicy.

— Z Wileńszczyzny? A jak godność?

— Marysia jest z domu Pilecka.

Starając się nie rozlać kawy, Krzemień ostrożnie postawił filiżankę.

— Pilecka — powiedział wolno. — Czy jej ojciec nie był przypadkiem w wojsku?

Teraz Wojtek spojrzał na niego uważnie, grube szkła okularów powiększały jego blade, ledwo niebieskie oczy.

— Tak, owszem. Skąd wiesz?

— Zgaduję. W dalszym ciągu w służbie czynnej?

— Tak, jest wyższym oficerem — odrzekł po chwili zastanowienia. — To znaczy był. Po wojnie, to jest po grudniu, został skierowany do administracji państwowej.

— Pan generał Jerzy Pilecki — wyszeptał przez zaciśnięte zęby Krzemień. — *You have it made, my boy.*

— *I beg your pardon?* — natychmiast przeszedł na angielski tamten.

— Nie, nic ważnego. Pomyślałem tylko, że ten świat jest cholernie mały.

— Znasz mojego teścia? — dopytywał Wojtek, pochyliwszy się nad stolikiem, z twarzą przybliżoną i napiętą ciekawością.

Krzemień nie odpowiedział. Odwrócił głowę, rozejrzał się po pustawej o tej porze salce. Przez ciemne, matowe szyby ledwie prześwitywało słońce. W ułamku sekundy przywidziało mu się, że siedzi przy marmurowym stoliku kawiarni w Szklarskiej Porębie, że widzi bezlitośnie ciekawe, zimne oczy tamtego człowieka, że słyszy jego słowa o dziewczynie, którą kiedyś znał... Od-ruchowo sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął małe pudełeczko, a potem przełknął pastylkę, nawet nie popił reszką wystygłej kawy. To nie do wiary, pomyślał, żeby serce mogło naprawdę boleć przez tyle lat. I ile jeszcze wytrzyma? Rok? Dwa?

Siostrzeniec ciągle przyglądał mu się otwarcie, surowo, nie-przyjaźnie. Dopiero gdy przedłużające się milczenie stało się niemal fizycznie nie do wytrzymania, młody człowiek raz jeszcze próbował nawiązać rozmowę.

— Więc... wuju, naprawdę musisz jechać? Czy może lecisz?

— Nie, jadę autem. Muszę być na wieczór w Sarajewie.

— Przygotowania do Olimpiady, prawda?

— Jakies tam drobiazgi, tak.

— Będziecie mieli dobrą reprezentację, ten Polak Podgórski...

— Steve Podborski jest Kanadyjczykiem.

— Ale to przecież Polak?

— Być może, nigdy go o to nie pytałem.

Zamilkli znowu. Raz jeszcze Krzemień próbował spytać o siostrę, raz jeszcze usłyszał niczego nie mówiące ogólności. Obaj zdawali sobie sprawę, że nie znajdują wspólnego języka.

— No, a czym ty tak handlujesz, radco? — postanowił zakończyć spotkanie jakimś weselszym tonem, wiedząc, że za pół godziny siedzieć będzie za kierownicą i gnać dalej, na południe.

— Wszystkim po trochu, przede wszystkim... jakby to powiedzieć? Wymiana po trochu. I porównywanie doświadczeń ekonomicznych.

— Słowem Trg Rewolucyje?

Wojtek sprężył się i natychmiast opanował.

— Nie wiem, na ile znasz serbski — powiedział lekko — ale *trg* znaczy plac, nic więcej.

— A także rynek, czyli *market*, termin radcom handlowym zapewne nieobcy. Zresztą chyba wolno mi mieć skojarzenia językowe, prawda?

— Oczywiście. Nie ma sprawy.

Mierzyli się teraz otwarcie oczyma, ten siwy, starszy mężczyzna, który miał za sobą wszystkie, najtrudniejsze doświadczenia, i ten młody, ufny w siłę układów i przebicia człowiek, obwarowany wszystkimi darami ludowego państwa, studiami, stanowiskiem, teściem-generałem i władzą, która za nim stała. Związek krwi okazał się tak nikłym łącznikiem wobec przeciwieństw, jakie ich pod każdym względem dzieliły, że obaj zrozumieli cały bezsens spotkania i próby nawiązania kontaktu.

Krzemień wstał pierwszy, wyciągnął do siostrzeńca rękę.

— Przehandlowaliście tę swoją rewolucję — powiedział twardo. — I dobrze wam tak. Trzymaj się ciepło, młody właścicielu Polski Ludowej.

— Do widzenia... wuju. Żałuję, że nam nie wyszło.

— Ja też. Bywaj zdrów.

— Kłaniam się.

Podali sobie ręce i wyszli, każdy innymi drzwiami.

II. NUR DU ALLEIN...

Węzeł dróg prowadzących z zachodu i południa splata się delikatną siatką wiaduktów, omija zadymione Wiener Neustadt i już jako szeroka autostrada wiedzie wprost na północ, gdzie znad horyzontu jedna za drugą pojawiają się kościelne wieże, a pośród nich smukła iglica katedry Świętego Stefana. Podnóża Alp, cierpliwie towarzyszące podróżnikowi od jugosłowiańskiej granicy, ustępują teraz miejsca najpierw zielonym, podmiejskim pagórkom, potem bezbarwnym przedmieściom, skąd kilka tylko jeszcze ulic i już wóz włącza się w wielkomięjski ruch na Ringu, utyka na czerwonych światłach, na próżno próbuje wcisnąć się między gęsto zaparkowane przy krawężniku inne auta.

Dopiero gdzieś koło Opery Krzemień znalazł wolne miejsce i szybko wmanewrował swego małego Fiata między dwa potężne Mercedesy. Był trochę tylko zmęczony po kilku godzinach jazdy, cieszył się na poznanie nowego miasta, o którym od dzieciństwa słyszał i czytał tak dużo, że nawet zza kierownicy poznawał poszczególne gmachy i kościoły. Poprzedniego dnia przejechał kawał drogi, z Sarajewa do Grazu, przeleciał bez zatrzymywania przez Zagrzeb, znużony i rozczarowany Jugosławią i wszystkim, co w niej znalazł. Nieudane spotkanie z siostrzeńcem, biurokratyczny upór miejscowych urzędników i partyjnych instancji, z jakimi też musiał się użerać o przedolimpijskie przygotowania, brak podstawowych wygód, wszystko to denerwowało ponad miarę, toteż gdy tylko skończył swoją misję i naszkicował pierwszy raport o możliwościach rozmieszczenia telewizyjnych ekip, zatelefonował do Wiednia i zarezerwował miejsce na najbliższy powrotny lot do Toronto. Zostawił w Sarajewie młodego Kanadyjczyka z belgradzkiej ambasady, chłopak palił się do jakiegokolwiek konkretnej roboty po niedawno ukończonych studiach, znał język, szybko

poznawał miejscowe stosunki, nauczył się nawet od Bośniaków ich ulubionego powiedzenia, że *nema problema* i raczył tym swoich rozmówców przy każdej okazji, szczerze w to zresztą wierząc. Zostawił mu więc Krzemień pełnomocnictwa i obiecał częsty telefoniczny kontakt. A sam wsiadł jak najspieszniej do auta i po dwóch dniach jazdy dotarł bez trudu do Wiednia.

Zamknął wóz, przerzucił przez ramię płaszcz i wolno ruszył chodnikiem, rozglądając się po szerokiej, ruchliwej ulicy pod cienistymi koronami drzew, swojskiej dzięki temu i miłej. Szeregi starych domów raz po raz otwierały się prześwitami placyków powstałych zapewne po wojennych zniszczeniach, ukazywały dalekie perspektywy pieszych ciągów zamykających się to fasadą jakiegoś kościoła, to znów błyszczącymi szybami nowoczesnego biurowca. Ulice wypełnione były gwarnym, jakby odświętnym tłumem, uderzyła go zwłaszcza ilość młodych, na ogół ładnych kobiet, ich kolorowe suknie, lekkie, wdzięczne ruchy, czasem uśmiech... Zawsze był uwrażliwiony na takie właśnie zetknięcia z każdym nowym miastem, nosił w sobie tęsknotę za możliwością niespodziewanego spotkania, od dnia wyjazdu z Polski przed przeszło dwudziestu laty czas zatrzymał się w tych sprawach, choć zdawał sobie sprawę, że jeśliby nawet najdziwniejszym z dziwnych przypadków spotkał Dianę po wszystkich tych latach, nie byłaby to już ona, ale ktoś inny i obcy. Ale czy nie wolno mi marzyć, pomyślał i tym razem, tak jak to robił za każdym powrotem do Europy. A w dodatku nigdy jeszcze nie był tak blisko Polski, z której przecież, jak wiedział, uciekło w okresie „Solidarności” ponad sto tysięcy ludzi, wielu z nich przez Wiedeń właśnie... No tak, dodał zaraz, ale nie pani generałowa, czy kimkolwiek Diana została po wyjściu za mąż. Ciekawe, czy i ona zalicza się do właścicieli Polski Ludowej, tak jak ten pyszałkowaty siostrzeniec w Zagrzebiu?

Miał dużo czasu, szedł wolno, ciesząc się tym miastem, które od stworzonego z lektur obrazu różniło się tak bardzo, jak żywa twarz mijanej właśnie kobiety od najlepszej nawet jej fotografii. Zagłębiał się w ciasne uliczki, zaglądał do przysłoniętych firaneczkami okien kawiarni, w wąskie bramy prowadzące do recepcji starych hoteli, podnosił wzrok usiłując dojrzeć poprzez otwarte drzwi balkonów wnętrza cudzych mieszkań. Miewał często dziwne uczucie, że gdyby mu na to pozwolono, mógłby wejrzeć w cudze, fascynująco ciekawe i tajemnicze życie tak jak robił to czytając powieść, choć różnica między lekturą a rzeczywistością była równie ostra, jak między oglądaniem wiedeńskich albumów a spacerem po tym mieście. Zartował, że nie pozwolono mu zamieszkać w którymś z tych tajemniczych, starych hoteli, gdzie na

pewno poczułby jeszcze mocniej, jak bije serce miasta, niestety jednak, pracownicy biura podróży CBC w Toronto wierzyli w standardowy komfort Holiday Inn, tam też zarezerwowali mu pokój na tę jedną noc przed odlotem. Nie, nie miał do czego się spieszyć, hotel był tuż przy lotnisku, zdąży oddać wynajęte od Avisy w Rzymie auto, prześpi się i nazajutrz, raz jeszcze z góry spojrzawszy na miasto swoich młodzieńczych lektur, pożegna Europę. Na jak długo? Kiedy wróci tu raz jeszcze? Na Olimpiadę? Na pewno. Najprawdopodobniej. Chyba. Może...

Był zdecydowany nacieszyć się tą Europą, tak bardzo inną od opuszczonej wczoraj Jugosławii, której, mimo najlepszych chęci, do Europy zaliczyć nie umiał. Nie miał nigdy orientalnych ciągotek, a czytowane w dzieciństwie powieści Jeza utwierdziły go w przeczuciu inności Bałkan od reszty Europy. I mimo że przez trzydzieści przeszło lat raz tylko, jako chłopak, miał możliwość wyjazdu za granicę, do Danii, potem zaś, już po wojnie, w swojej narciarskiej karierze bywał dość często w Czechosłowacji, zawsze uważał się za zachodnioeuropejczyka, wychowany był na literaturze francuskiej i angielskiej, próbował przyswoić sobie ideały — czy może wyidealizowane obrazy — tamtych kultur. Austria, stara cesarsko-królewska Austria czasów jego ojca, ksiązek Wittlina, Rotha, Werfla i Zweiga, i ta nowa, spotkana dopiero wczoraj Austria nowoczesnych szos, przytulnych zajazdów i wiedeńskich ulic była Europą, czuł się tu równie dobrze jak w Londynie, Paryżu czy Rzymie. Dawno nie słyszany język wracał niespodziewanie bliskimi akcentami, nie raził obcością, był komunikatywny i jasny. Postanowił zajrzeć do św. Stefana, obejrzeć Burg i Operę, ale przede wszystkim napić się kawy, ze śmietanką, po wiedeńsku!

Najbliższa kawiarnia wyglądała dokładnie tak, jak to sobie zawsze wyobrażał: ciemnawe, chłodne wnętrza, marmurowe blaty stolików, stary kelner mimo wczesnej pory ubrany w smoking, zaczytani w gazetach bywalcy... Przechodząc w głąb kawiarni Krzemień także zdjął z wieszaka gazetę rozpiętą na bambusowej ramie, usiadł przy oknie wychodzącym na cichą uliczkę gęsto zastawioną po obu stronach samochodami i odetchnął głęboko jak człowiek wracający do domu po długiej, bardzo długiej podróży.

— *Einen Kaffee, bitte* — powiedział. — *Mit Schlagsabne.*

Język, którym nie mówił od lat, wracał niemal bez trudu, słysząc go było w cichych wokół rozmowach, widniał na reklamach, szyldach, w gazetowych tytułach. Bez zainteresowania, dla wprawy, przerzucił pierwsze strony swojsko nazwanego „Kurier”, z przyzwyczajenia poszukał ogłoszeń programów kinowych

i telewizyjnych, gdy nagle... Nie, to było zbyt śmieszne, żeby było prawdziwe. Ale nie, nie mógł się mylić, z ramki ogłoszenia patrzyła mu prosto w oczy Kasia, wyzywająco jak dawniej uśmiechnięta, „zawsze zwycięska Kasia Księżka”, jak zwykł był mawiać przed wielu, wielu laty. Ta sama Kasia, choć bardzo zmieniona wiekiem, zgorzkniała mimo wystudiowanego grymasu imitującego beztroską wesołość. Czytał: „Kaethe Schaeffer, gra i śpiewa co wieczór w swoim barze Zum Blonden Kaetchen. W repertuarze nostalgiczne piosenki w stylu retro — wiedeńskie, niemieckie, francuskie, rosyjskie, polskie. Atmosfera domowa, wstęp 20 szylingów. Otwarte od ósmej do drugiej po północy. Karty kredytowe, Visa, Master Card, American Express mile widziane”.

Wpatrywał się w tę tandetną, gazetową fotografię i sam nie wiedząc kiedy nucił począł słowa piosenki dawno zapomnianej, wracającej teraz z oddali czasu, piosenki, którą tylekroć razem tańczyli w okresie okupacji:

*So, wie mein blondes Kaetchen
so kuesst kein andres Maedchen...*

i zamiast obrzękłej twarzy starzejącej się kobiety zobaczył roześmianą, siedemnastoletnią Kasię, usłyszał jej wesoły śmiech, gdy śpiewał jej polski tekst tej popularnej piosenki, o tym, jak to „ja myślałem dam jej radę, bo mała jest, a tu w moim domu mieszka bies”... Kasia Księżka! Wymazał ją z pamięci tak dokładnie, że przez wszystkie te lata nie wspomniął ani razu, ani razu nie zobaczył jej twarzy nawet we śnie, tak jak gdyby w ogóle nie było tego szalonego roku w czasie okupacji, tej namiętności silniejszej niż rozsądek, jak gdyby nigdy jej nie kochał. A potem nie Kasia już, ale pani doktorowa Szaferowa, przyjeżdżająca do Szklarskiej Poręby, żeby w porywie swej niczym nie pohamowanej posesywności, ambicji całkowitego posiadania jego ciała i duszy, powiedzieć mu prawdę o Dianie i tym samym zapewne ocalić od tragedii.

*In meinem Leben manche, manche waren,
Keine war im Kuessen so erfahren...*

A teraz, proszę, Kaethe Schaeffer. *Do czewo narod dochodit*, jak zwykł był mawiać z wyrazem największej na twarzy pogardy Żarski, obozowy i powojenny przyjaciel sprzed wieków. Przywołał kelnera, podsunął mu gazetę z ogłoszeniem, palcem wskazał adres.

— Co to za dzielnica, panie *ober*? — spytał, a lokalne określenie *Bezirk* zabrzmiało niemal autentycznie po wiedeńsku.

Kelner nałożył okulary, studiował tekst długo i uważnie, potem pokręcił głową z powątpiewaniem.

— Akurat dla amerykańskich turystów — powiedział po angielsku, wymawiając słowa z pięknym, brytyjskim akcentem. — Niedaleko dworca i tanich hotelików oraz kin ze specjalnymi programami. Ale bezpieczna.

— *'bin kein Amerikaner* — burknął Krzemień. — *Zahlen, bitte.*

Długo jeszcze potem, po wyjściu z kawiarni, zastanawiał się, dlaczego zareagował tak gwałtownie, wkrótce jednak myśl o Kasi kazała mu zapomnieć o stracie opanowania, które uważał od wielu lat za swą najcenniejszą zdobycz. Mimo że od lat blisko dwudziestu mieszkał w Kanadzie i chętnie się za Kanadyjczyka uważał, każda identyfikacja z Ameryką w znaczeniu Stanów Zjednoczonych urażała jak niezasłużona obraza. Dlaczego? Nie umiał na to odpowiedzieć, znał w Stanach wielu wspaniałych Polaków, ale żaden z nich nie myślał o sobie jako o Amerykanie. Czyżby była to obawa przed utratą osobowości, indywidualnego, specjalnego charakteru, jaki tylko Polacy z jego pokolenia, najciężej doświadczonego wojną, sobie nadali? I chociaż Krzemień należał do nielicznej w tym okresie emigracji lat pięćdziesiątych, szybko znalazł wspólny język z falą poprzednią, wojenną, a fakt, że jego ojciec cały ten okres spędził w Anglii, gdzie jako wpływowy polityk cieszył się dużym szacunkiem, pozwolił nowoprzybytemu włączyć się w środowisko emigracji zwać się nie bez słuszności niepodległościową i zostać przez nią zaakceptowany. A to zobowiązywało i wykluczało stanie się kimkolwiek innym niż Polakiem. Na szczęście sprawy te w Kanadzie wyglądały lepiej niż po drugiej stronie wodospadów Niagary. A tu, w Austrii? Wśród najnowszej, solidarnościowej fali? Chęć zobaczenia Frau Kaethe Schaeffer zmieniła się w zdecydowane postanowienie spędzenia wieczoru w *Zum Blonden Kaetchen*.

Nie zauważył, kiedy wyszedł na obszerny plac przed katedrą. Niebo nad gotycką iglicą stało wysokie i jasne, biały ślad lecącego na zachód samolotu przekreślił je grubą krechą, jakby dzieląc na dwie połowy. Krzemień śledził wzrokiem połyskujący w niskim już słońcu punkt, a potem, gdy odrzutowiec zniknął nad poszczerbioną krawędzią zamykającego wolną przestrzeń domu, opuścił głowę i siadłszy na przygodnej ławce sięgnął po papierosy. Wszystkie uczucia, jakie kolejno do niej żywił, miłość, pożądanie, nienawiść, żal, wszystko to po latach stało się całkowicie obce, nieważne, jakby przez kogoś innego, może w jakiejś książce przeżyte. A mimo to wiedział, że pójdzie ją zobaczyć wiedziony ciekawością, sentymentem a pewnie i współczuciem. Wyjął z kie-

szeni marynarki zgniecioną gazetę, delikatnie wygładził fotografię i raz jeszcze oddzielić próbował powracający wspomnieniem obraz Kasi od twarzy tej postarzałej kobiety. A gdy podniósł wreszcie oczy ku raptownie ciemniejszemu niebu, biała smuga, rozpalona teraz wszystkimi kolorami wieczoru, prosto, jak złota strzała, wskazywała kierunek, z którego nie wolno było zawracać. Nawet w przeszłość.

Bez trudu odnalazł auto na pustoszejącym pod wieczór Ringu, postanowił pojechać do hotelu, przebrać się i zjeść coś przed rozpoczęciem tego wieczoru zapowiadającego się ledwie przeczuwalnym rozczarowaniem, ale motywowanego ciekawością. Zdecydował też oddać od razu samochód, wiedział, że jutro rano odleci, bez względu na to, jak ciekawie, czy nieciekawie wieczór ten wypadnie. Wszystko to udało mu się załatwić nadspodziewanie łatwo, łącznie z obiadem, którego nawet nie zauważył, połykając coś szybko w hotelowej restauracji. Dopiero jadąc taksówką w stronę dworca zdał sobie sprawę, że jedzie na spotkanie z tą przeszłością, niczym więcej.

Wiedeń oglądany wieczorem nie robił imponującego wrażenia. Mariahilferstrasse, mimo kolorowych neonów, bardziej przypominała jakąś Targową czy Broadway na dolnym Manhattanie niż jedną z głównych ulic europejskiej metropolii. Chodniki zapełniał tłum złożony z Turków i Greków, pornograficzne reklamy kin nie pozostawiały niczego wyobraźni. Ale ledwie taksówka skręciła w przecznicę i zatrzymała się przed barem, Krzemień znalazł się w innym świecie. Po obu stronach jezdni spały rzędy aut, gdzieś z piętra dochodziły dźwięki telewizyjnej transmisji, poza tym było zupełnie cicho, spokojnie, wielkowiejsko i prowincjonalnie zarazem. Niewielki neon mający przedstawiać profil kobiety o złotych włosach ledwie rozświetlał mrok. Pachniało benzyną i kotami.

Pchnął czarnoczerwone drzwi, wszedł do środka. Lokalik był mały, na piętnaście, dwadzieścia stolików, w „nastrojowym” półświecie trudno było coś dokładniej zobaczyć, dojrzeć szczegóły przez płaskie smugi papierosowego dymu falujące w blasku kilku kinkietów przypiętych do trzech ścian. Dopiero gdy mocno rozneglizowana pannica przeprowadziła go do stolika i przyjęła zamówienie whisky z lodem, mógł rozeznać w mroku jakieś młode pary przytulone po kątach, jakieś abstrakcyjne dekoracje pod sufitem, połykający w głębi salki fortepian... Bar jak każdy inny, pomyślał, mógł być równie dobrze w Rzymie jak w Toronto, pospolitość i płaskość tego wnętrza była po prostu wulgarna, odpychająca. *Do czewo narod dochodit*, powtórzył w myśli i wtedy zobaczył Kasie.

Kinkiety nagle przygasły, przez sekundę zapanowała zupełna ciemność, a potem spod sufitu padł snop punktującego reflektora, trafił wprost na jej złotą głowę, wydobył z ciemności jej mocno umalowaną, ale na pewno tę samą co dawniej twarz, jej sztucznie wesoły uśmiech, usta, z których w mrok tego pospolitego wnętrza popłynął lekko ochryply, niewielki ale melodyjny głosik. *Wien, Wien, nur du allein*, śpiewała tę odwieczną pochwałę starego Wiednia, smuga reflektora ześliznęła się na jej ręce na klawiaturze, akompaniowała sobie zręcznie, niedobory głosu zastępując falistymi pasażami. A potem znów jej oczy marzycielsko błędzące po publiczności, której widzieć nie mogła, ale której darowywała najwdzięczniejsze ze swoich uśmiechów, zupełnie jak podstarzała Shirley Temple, którą niedawno widział w telewizji. Skinieniem głowy pokwitowała drobne oklaski, przeszła na piosenki z repertuaru lat trzydziestych i czterdziestych, najpierw niemieckie, potem francuskie, to nie był styl retro, to była prawdziwa, niekłamana nostalgia za czasami młodości, krzyk rozpacz i próba przywołania lat minionych na zawsze, chciał pomyśleć, że bez śladu, ale twarz Kasi poza szarą zasłoną dymu mówiła mu, że to nieprawda, że lata te pozostawiły tylko resztki dawniejszej urody, naznaczyły tę twarz goryczą, zmęczeniem, rozczarowaniem. Spróbował wyobrazić sobie, jak jego twarz wyglądać będzie w oczach Kasi, ale chyba nie miał się czego wstydzic, starzał się ładnie, jak twierdziły obie jego byłe małżonki, gdy je kiedyś spotykał. Tak czy inaczej, nie chciał uniknąć tej konfrontacji, po to tu przyszedł, a choć przez chwilę miał niejasne uczucie wstydu, że właściwie podgląda Kasię nie będąc sam przez nią widziany, zaraz usprawiedliwił się przed sobą przypomnieniem, jak to staje przed kamerą telewizyjną pokazując swoją twarz tysiącom anonimowych widzów. Mimo to nie chciał przedłużać tej sytuacji i gdy tylko ta Joanna Madou dla ubogich, jak ją w myślach określił, przestała śpiewać, podniósł się od stolika, kilkoma krokami przeszedł salkę i stanąwszy za jej plecami powiedział:

— *Guten Abend, Frau Schaeffer.*

Kasia odwróciła się z uśmiechem... wtem podniosła obie dłonie do ust, twarz wykrzywiła spazmem przerażenia czy zdumienia, cofnęła się plecami na białe klawisze i głośno, przenikliwie krzyknęła:

— Nie! *Mein Gott*, nie!

W tym samym momencie Krzemień poczuł na ramieniu twarde uścisk czyjejś ręki, odwrócił się zaskoczony i spojrzął prosto w oczy barczystemu młodzikowi, który ostrą, łamaną niemczyzną wypraszać go zaczął i wypychać z barku. Zanosilo się na poważną awanturę, bo Krzemień ani myślał pozwolić sobą popychać, od

stolików wstawali jacyś ludzie, ktoś z warszawska zawołał „do-suń szkopowi, Teoś”, gdy nagle wdarła się między nich Kasia i rzuciwszy się Krzemieniowi na piersi odepchnęła swego obrońcę.

— Zostaw go, Theo — krzyknęła przez łyzy żłobiące głębokie bruzdy w jej makijażu. — Przecież to Janek!

— Jaki znów Janek? — nie dawał się odsunąć tamten.

— Nic nie rozumiesz? Johnny, mój Janek, mój Janek — powtarzała.

— Janek, Janek — zaczął ją przedrzeźniać, ale zwolnił uchwyt. — Co jest, u Boga ojca, ballady i romanse odstawiacie? Coś pan jej zrobił, przecież kobieta płacze?

Krzemień poprawił krawat, obciągnął marynarkę i przygładził siwy kosmyk, który zsunął mu się na oczy, cały czas wpatrzony w Kasię, cudownie teraz, najszcześliwiej uśmiechniętą, odmłodziła, wypiękniała.

— Chodź, chodź na górę — mówiła spieszenie, a potem, odwracając się do młodego człowieka dodała:

— A ty później tam przyjdź, ale przedtem zadzwoni po Zulę, niech mnie zastąpi, nie mogę dzisiaj więcej śpiewać.

I znów do Krzemienia, szeptem:

— Będę śpiewać całą noc, ale tylko dla ciebie, nie dla tych głupców.

A wreszcie, opanowana już i światowa:

— Poznajcie się, panowie. Theo, mój... partner, wspólnik. Pan Jan Krzemień, znajomy z dawnych lat.

Mężczyźni podali sobie ręce, młody człowiek, rozpogodzony już i przyjemny, wyjaśnił z uśmiechem:

— Theo Linden jestem tylko tak dla zgrywy, na tutejszy rynek, bo tak naprawdę i bez lipy nazywam się Wojtek Lipski, fajne, nie?

Ale ostatnie słowa dogoniły Krzemienia już z daleka, Kasia ciągnęła go za rękę gdzieś w mrok poza fortepianem, do jakichś drzwi, na jakieś schody, w coraz głębszą ciemność, wśród której świeciły tylko po dawnemu jej złote włosy.

Zmrużył oczy, gdy nagły błysk światła z raptownie otwartych drzwi rozjaśnił ciemne schody. Kasia stała na progu, ciągle jeszcze z ręką na kontakcie, ale już opanowana, zapraszająca, pewna siebie gospodyni tego jasnego wnętrza. Przepuściła go przodem, potem zatrzasnęła za sobą drzwi i jednym skokiem znów była tuż przy nim, niemal na jego piersi. Krzemień odsunął ją delikatnie, chciał przyrzec się tej kobiecie, której nie widział od trzydziestu z górą lat, od tego pamiętnego wieczora w Szklarskiej Porębie. Niewiele się właściwie zmieniła. Tyle, że ostre rysy twarzy złagodziła

tusza, obrzmienie tej twarzy spowodowane może wiekiem, może niezdrowym, nocnym trybem życia, może czymś innym jeszcze, nie wiedział. Cera, pokryta grubą warstwą kosmetyków, zbrudzonych teraz i niechlujnych, na wargach jasna, świecąca szminka, oczy bardzo grubo podkreślone czarnym ołówkiem i obwiedzione zielonym pudrem, nie, Kasia z bliska nie wzbudzała zachwytu, choć ciągle jeszcze uchodzić mogła za dość atrakcyjną kobietę. Tylko szyja bezlitośnie zdradzała jej prawdziwy wiek, tylko ramiona grubo przypudrowane w szerokim dekolcie świadczyły o tym, że uroda jej, tak kiedyś pociągająca, minęła wraz z młodością. Kasia Księżka nie zestarzała się ładnie.

Spokojnie przyjmowała to badawcze spojrzenie, odwzajemniała się wzrokiem równie uważnym, choć pełnym uśmiechu czającego się w wyrazistych teraz dzięki kosmetykom oczach. Mógł w jej źrenicach widzieć odbicie swojej postarzałej twarzy, zmarszczki i bruzdy, gorzkie zaciśnięcie ust, czujne zmrużenie oczu, siwe nad czołem włosy.

— Nie pocałujesz mnie, Johnny?

Musnął powleczone kredką wargi, odsunął ją na odległość ramion, próbował obejrzeć całą, ale wywinęła się piruetem i z drugiego już końca pokoju zawołała:

— Rozgość się jak u siebie w domu, zaraz podam coś do picia. A papierosy są na stoliku, jeśli ciągle jeszcze palisz.

— Tak, dziękuję, ciągle jeszcze palę. A ty?

Odpowiedziała mu już spoza drzwi wiodących do innego pokoju czy może kuchni, słyszał stamtąd pobrzękiwanie szkła.

— O, ja wcale się nie zmieniałam, przynajmniej na lepsze. Piję, palę i... tego... Jak to ten twój sierżant mawiał?

— Wstydz się, Kasiu. Nie posądzałem cię, że pamiętasz takie ordynarne głupstwa, sierżant Dercz mógł sobie na to pozwolić, ale ty?

— ale... jak krzyknę, to mnie w Honolulu słychać, prawda? Tak mówił?

Krzemięń rozglądał się po tym zagraconym pokoju, utrzymanym w stylu najgorszej secesji, jeśli w ogóle o stylu mówić można było patrząc na to zbiorowisko mebli, podwójne łoże pod baldachimem chyba z czasów odsieczy wiedeńskiej, olbrzymie tremo w złożonych ramach, trzy pufy z tłumem zamieszkujących je pajacy i lalek, mahoniowy stół i biedermajerowskie wokół niego krzesła. I niespodziewanie zgrabne, malutkie pianino w kącie, pod zasłoniętym purpurową kotarą oknem. I pseudo-perski dywan na środku pokoju. I wielki, brązowy żyrandol w stylu księstwa warszawskiego, a pod nim, przychepione kolorowymi nitkami karnawałowe kotyliony. I trzy wielkie zdjęcia Kasi,

portretowe zbliżenia, studia twarzy. Ach, i oczywiście telewizor, i magnetowid, stereo i wielkie radio, wszystko w jednym, niewielkim pokoju, na środku którego królowało bezapelacyjnie łoże, mebel widać tu najważniejszy. Siedząc na jednym z pufów Krzemień miał je przed sobą jak nieustający symbol tej kobiecości, którą jako młody chłopak rozbudził, a teraz zobaczył w ostatnim chyba już stadium.

Kasia wynurzyła się z drugiego pomieszczenia, ubrana w długi, połyskliwy szlafrok dość śmiało wycięty, lecz mogący uchodzić za skromny. W rękach niosła wielką srebrną tacę zastawioną butelkami i szklaneczkami, niedbale postawiła ją na rogu stołu i zupełnie już rzeczowo, bez śladu wcześniejszego wzruszenia spytała:

— Czego się napijesz? Whisky, wódka, koniak?

— Calvados? — podpowiedział ironicznie. — Armagnac?

— A żebyś wiedział, Theo może zaraz przynieść z dołu.

— Nie, dziękuję, żartowałem. Kieliszek koniaku będzie w sam raz na mój wiek. Pozwolisz, że sam naleję?

— Zawsze byłeś gentlemanem, mój drogi. Za nasze spotkanie!

Wypili, Kasia, nie czekając, dołała do pełna. Patrzyła na niego z ciekawością, mierzyła go uważnymi, śmiałymi oczyma, dostrzegła chyba wszystko, buty na grubej podeszwie, flanelowe spodnie i tweedową marynarkę, gruby, wełniany krawat, kołnierzyk koszuli spięty złotą szpilką, musiała chyba to co zobaczyła zaaprobować, bo znów podniosła kieliszek i powtórzyła toast.

Krzemień przyglądał się jej niemniej badawczo, choć mniejszą uwagę zwracał na jej imponujący szlafrok i srebrne pantofelki, a starał się raczej z jej twarzy wyczytać dzieje tych dzielących ich lat. Postanowił w końcu zapytać wprost.

— Czy możesz mi uprzejmie powiedzieć, co pani doktorowa robi w nocnym barze, w podejrzanej dzielnicy Wiednia? I wydaje się doskonale czuć w tym sosie?

Roześmiała się i znów dopełniwszy kieliszki wyciągnęła wygodnie na małym szezlongu stojącym obok łóżka.

— *Tu l'as voulu, Georges Dandin*. Nie będzie to wesoła historia, ale jeśli chcesz... Ale pod jednym warunkiem: potem twoja kolej, dobrze?

Zgodził się i wzięwszy papierosy zapalił najpierw jej, potem sobie. Przyjęła tę poufałość jak rzecz naturalną, jakby się wczoraj dopiero rozstali.

— Pani doktorowa, mówisz... W tym całe nieszczęście, Janku, że zostałam panią doktorową. Witek był najlepszym mężem, rozpuścił mnie jeszcze bardziej, niż papa, a sam wiesz, że w domu

nigdy nam niczego nie brakowało, nawet w najczarniejszych godzinach okupacyjnej nocy, jak to mówią...

— Zwłaszcza wtedy — wtrącił.

— Tak, ale papa dostał medal za pomoc więźniom Majdanka, nie kpij z bohatera narodowego. A że przy tym sobie nie żałował? Wiesz, że zawsze jego hasłem było „śmierć frajerom”, chyba pamiętasz? No więc Witek... Najpierw w tej Bydgoszczy zarabiał ciężkie hopy, potem zaczął dojeżdżać do Torunia, tam zrobił do-centurę, napisał dwie czy trzy prace, rozwijał się, jak twierdził, naukowo, wyjeżdżał za granicę, robił różne interesy. A potem odnalazła się ta jego ciotka ze Lwowa, on jeden ocalał z ich całej rodziny, a ona miała wyrzuty sumienia, że siedząc w tej swojej Kalifornii nic im nie pomogła, odbiło jej. To była w ogóle zwariowana historia. Wyobrażasz sobie Witka, dzielnego żołnierza lwowskiej AK, który nagle znajduje się w Los Angeles, gdzie na powitanie wychodzi mu cała żydowska gmina wyznaniowa i wita jak swojego bohatera? Czy można po tym wszystkim zostać normalnym? Uwierzył wtedy tylko w pieniądze, nic go poza tym nie obchodziło, nawet ja. Bo ciotka zaczęła zasypywać go dolarami, zaprosiła drugi raz... Kupiliśmy dworek na Kujawach, ja dostałam białego Jaguara, on sam nigdy się nie nauczył prowadzić, mieliśmy szofera...

— *La dolce vita à la polonaise?*

— Coś w tym guście. Przynajmniej tak to z daleka wyglądało. Bo ja, widzisz, zaczęłam wariować. Dosłownie. Kuku na muniu, jak to kiedyś mówiliśmy. Dziura w głowie, rozumiesz?

— Nie! Przecież ty żartujesz, prawda?

— Przysięgam ci, jestem śmiertelnie poważna. To się wszystko zaczęło już dawno, od mojego pierwszego i jedyne go wyjazdu na Zachód. Jak to zobaczyłam, to zachciałam wszystko mieć. Wszystko, rozumiesz? Te ich sklepy, auta, futra, biżuterie...

— Cętkowane jaguary też?

— Nie kpij. On mi to wszystko kupował, było go na to stać, na tych podłych babach robił miliony. Gdybym nałożyła na siebie na raz wszystko to złoto, jakie miałam w Polsce, to bym wyglądała jak tybetański budda, albo inna Dalaj Lama.

Chciał poprawić jej gramatykę, ale zrezygnował, to nie było ważne, zapalił więc tylko nowego papierosa i sam tym razem dopełnił kieliszki, wiedząc, że i tak nie będzie spać tej nocy.

— Bo widzisz, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale ja pewnego dnia, a raczej pewnej nocy wyobraziłam sobie wszystkie te baby, i jak on się w nich grzebie, i jak one się przed nim rozkładają, no wiesz, cały ten obrzydliwy biznes ginekologicznego warsztatu. I najpierw nie pozwoliłam mu się dotknąć, a potem nabrałam

do niego obrzydzenia, a równocześnie byłam piekielnie zazdrosna o nie wszystkie, o każdą z nich. Nie chciałam go i nie mogłam go oddać innej.

— A była jakaś inna?

— Mnie się pytasz? Który z was nie miał zawsze jakiejś innej?

— No, dobrze, mniejsza z tym. I co z tego wyszło?

— A no to, że w końcu wzięłam sobie kochanka. Zupełnie jak w najtańszym filmie, naszego szofera, onegoż Wojciecha...

— Bój się Boga, przecież on mógłby być twoim synem!

— Czy tylko wy macie apetyt na młodsze od siebie?

Przez moment zobaczył dziewczęcą sylwetkę swojej pierwszej żony, jej dziecinne niemal usta, ruchy rąk, ale zaraz wrócił do rzeczywistości, do tej starzejącej się kobiety, która tak otwarcie mówiła o swoich problemach, jakby był to sprawy zdarzające się na każdym kroku.

— No i co? Zostawiliście domorośłego milionera na pastwę jego haremu?

— A żebyś wiedział. Jak tylko przed dwoma laty poluzowało się z tymi rzeczami, załadowałam co się dało do wozu i pod pretekstem wakacji w Jugosławii dojechaliśmy tutaj. Za grata i wszystkie te błyskotki dostałam tyle, że mogłam kupić i urządzić tę budę, zareklamować się nieco, no i, jak widzisz, *voilà! Hier sind wir.*

Krzemiem podniósł się, lekko zachwiał pod wpływem wypitych bez liczenia kieliszków, ale chwycił równowagę na tyle, że swobodnie już mógł pochylić się nad ciągle jeszcze wygodnie i leniwie rozciągniętą na leżance kobietą.

— Jesteś szczęśliwa? Powiedz.

Patrzyła mu prosto w oczy, bez zmrużenia powiek, bez ruchu, tak poważna, jak nigdy chyba w całym swoim kolorowym życiu.

— Tak — powiedziała wreszcie wolno ale stanowczo. — Tak. Jestem.

— No, to w porządku. Nie ma o czym mówić, prawda? A przy najbliższej okazji przekaz moje ukłony koledze doktorowi.

— Jesteś pamiętliwy i okrutny. Czy w dalszym ciągu uważasz, że zniszczyłam twoje szczęście? Wtedy, mówiąc ci prawdę o Dianie?

— Nie — odpowiedział z równą stanowczością. — Powinienem być ci wdzięczny do końca moich dni. Ale tyle ci tylko powiem, że jak mawiał mój ojciec, masz talent do marnowania ludzi. I sama zawsze czyściutka i bielutka z tego wypływasz. Prawdziwy talent. No, wypijmy jeszcze za pana Theo Lindena i trzeba mi powoli ruszać.

— Poczekaj, poczekaj, mój panie. Przecież ty jesteś fantastyczny, po prostu fan-ta-sty-czny. Spadasz mi tu jak bomba, doprowadzasz na nic nie przygotowaną starszą panią niemal do ataku serca, upijasz do nieprzytomności, powodujesz to, że otwieram się przed sobą jak na świętej spowiedzi, u której zresztą nie byłam od stu lat i teraz bye-bye? Popatrz na siebie, mój ty światowcu, nie wiem nawet z jakich stron. Czy wyglądasz na człowieka, któremu zmarnowałam życie?

— Nie mówię o sobie, ale o tamtym dwudziestoletnim Janku Krzemieniu z Lublina, sprzed czterdziestu lat, o chłopcu, który cierpiał...

— ...i natychmiast pocieszył się Dianą...

— ...którą ty mu potem odebrałaś...

— ...bo okazała się niegodną jego miłości, rosyjską...

— Zamilcz lepiej, Kasiu!

— Mój Boże, ten błazen jeszcze o niej myśli!

Stali teraz naprzeciw siebie, Kasia zerwała się z szeszlona, nie zauważyła nawet, jak rozchylił się jej szlafrok, byli rozgorączkowani, mówili głośno, przekrzykiwali się jak dwoje ludzi po raz pierwszy od lat mogących powiedzieć sobie prawdę prosto w oczy. Pierwszy opanował się Krzemień.

— Przepraszam cię bardzo — powiedział i podał jej papierosa. — Uniosłem się rzeczywiście jak błazen. Nie mam żadnego prawa robić ci zarzutów, ani tym mniej krytykować twego życia. Jesteśmy przecież już od dość dawna dorośli.

Niespodziewanie ciepłym gestem pogładziła go po twarzy, była już znowu spokojna i miła. Dopiero teraz usłyszeli, jak z dołu dochodził głos kobiety i głębokie tony gitary. Kasia gestem głowy zwróciła mu na to uwagę.

— Zula czaruje moich frajerów. Jak widzisz, interes się kręci, nie musisz się o mnie martwić.

Chciał odpowiedzieć, że nigdy się o nią nie martwił, wiedział, że da sobie radę w każdej sytuacji, ale wolał nie wracać do nieprzyjemnego tonu, postanowił zakończyć tę wizytę szybko i jak najbardziej bezboleśnie.

— Więc wyjechałaś przed dwoma laty? — spytał zmieniając temat. — Solidarnościowa emigracja?

— Możesz to i tak nazwać. Ja tam się z nikim nie solidaryzowałam, ale muszę ci powiedzieć, że naprawdę było nie do wytrzymania.

— Czy śpiewaliście, jak my wtedy, po wojnie, „panie Truman, spuść ta bania, bo jest nie do wytrzymania”?

— Ja nie, ale Witek, kiedy przyszli starzy koledzy, zawsze

z nimi śpiewał „jedna bombka atomowa i wrócimy się do Lwowa”.

— Tak, mój szef w Szklarskiej też mówił, że jedna bombka, ale silna i wrócimy się do Wilna.

— Ja nie wierzę w te rzeczy. To niczego nie rozwiązuje poza, hm, *Endloesung*? Dla całej ludzkości?

— Widzę, że zaczęłaś się interesować polityką?

Kasia położyła mu na ramieniu rękę gestem dawnym i po dawnemu przyjaznym.

— Siadaj, Johnny — powiedziała cicho. — Nalej nam jeszcze po kieliszku koniaku i opowiedz mi wreszcie o sobie. Nic o tobie nie wiem, poza tym, co powiedziała mi kiedyś przypadkowo spotkana w Sopocie twoja siostra, że wyjechałeś zaraz po Październiku, podobno do Anglii?

— Nie jesteś w kontakcie z Teresą?

— Nie. Ani z nikim innym z Lublina. I Dianę też widziałam raz tylko, przypadkowo, w jakimś zajeździe na Szlaku Orlich Gniazd. Myślałam, że mnie wzrokiem zabije, więc ostentacyjnie wsiadłam do mojego Jaguara i dwa razy przejechałam przed oknami. Żeby widziała.

Pominał to milczeniem. Upił nieco koniaku, przysiadł na rogu stołu i zastanawiał się, jak w paru słowach streścić prawie czterdzieści lat życia? Opowiedzieć o tamtych pierwszych latach na Dolnym Śląsku, szoferowaniu i narciarskich przygodach? O niespodziewanym wyjeździe, studiach w Anglii, pierwszym, krótkim małżeństwie z Krystyną, wzajemnych rozczarowaniach, rozstaniu? O swojej ucieczce od niej do Kanady, gdzie zaczął jako dziennikarz sportowy, o drugim, równie nieudanym małżeństwie z Margaret? Następnym, od lat niemal dziesięciu trwającym okresie zawodowych sukcesów i osobistych klęsk sześćdziesięciu prawie letniego mężczyzny ciągle szukającego swego miejsca na świecie? Jak o tym mówić? Cynicznie, tak jak ona przed chwilą? Spokojnie, jakby to było normalne? Z humorem, który trudno było w tym wszystkim znaleźć?

— Cóż — zaczął z namysłem — żyje się..

— Janku, nie zasuway mi tylko tej melodii. Za stara na to jestem.

— *Okey*, powiem ci krótko. Jestem w Kanadzie, pracuję w sieci telewizyjnej, od paru lat jako spec od przygotowywania transmisji różnych międzynarodowych i innych dużych imprez sportowych. Właśnie w związku z nadchodzącą Olimpiadą w Sarajewie przyleciałem do Europy. Byłem dwa razy żonaty, obecnie wolny, do wzięcia. Piję umiarkowanie, narkotyków nie zażywam, kobiety...

— ... miewam?

— Tak, zmieniane dosyć często, ale bez zobowiązań.

— Do Polski jeździsz?

— Nie, nie byłem ani razu.

— A chciałbyś?

— Kasiu, daj spokój, bo sobie pójdę. Co ty, masz tutaj przedstawicielstwo Orbisu, czy innych organów?

— Nie masz powodu mnie obrażać. Jestem legalną emigrantką, typu „za chlebem”, uświęconego w literaturze, jeśli się nie mylę, przez samego pana Sienkiewicza.

Pocałował ją w rękę, przeprosił. Chciała mówić dalej, ale raz zepsuty niezręcznym pytaniem nastroj szczerości nie dał się już przywrócić. Na szczęście zapukano do drzwi i na scenę wkroczył Wojciech Lipski alias Theo Linden, partner i współnik właścicielki baru Zum Blonden Kaetchen.

— Nie przeszkadzam? — spytał uprzejmie, wprawnym okiem oceniwszy sytuację i stopień alkoholowego upojenia obojga starszych ludzi. — Można kawki?

— Co na dole? — zupełnie trzeźwo zainteresowała się Kasia.

— Normalka. Obroty duże, Zula się wyżywa w swoim repertuarze, pijacy jakoś na razie nie rozrabiają. A jak państwu idą wspominki lepszych czasów? Może pan szanowny marynarczkę zdejmie? Gorąco tu jakoś, czy co?

— Która godzina, Theo?

— Już po pierwszej, niedługo będę robił kasę.

Sprawdziwszy godzinę na zegarku Krzemień wstał, żeby się pożegnać, ale nie docenił gościnności pani tego lokalu. Kategorycznie odmówiła nawet rozmowy na ten temat, obiecała posłać współnika na dół po kolację i dopiero gdy Krzemień pokazał jej bilet na poranny lot do Toronto, zgodziła się wypuścić go przed świtem.

— W samolocie się wypisisz, teraz musimy coś przekąsić, potem, jak na dole ucichnie, pośpiewam ci i pogram, nasze stare piosenki, pamiętam je wszystkie, „Paradę zapalek”, te, do których pisałeś nam słowa... *Melodią przyzywam cię, jak co noc wzywam cię*, pamiętasz? Bo ja pamiętam wszystko, wszyściutko. Na przykład jakie papierosy paliłeś. Nigdy sobie na nie nie żałowałeś, inni truli się Junakami i Machorkowymi, a ty zawsze paliłeś Egipskie, Mewy, potem węgierskie i niemieckie, Juno, R6, Gueldenring, a jak ci podeszła fantazja to amerykany i Playersy...

— Palę je dotychczas — wtrącił, ale nie zwracała na niego uwagi. Ciągłe mówiąc krzątała się energicznie między meblami, poprawiała, przesuwała, odnosiła tacę, przynosiła jakieś herbatniki czy krakery, widział, że starała się nie dopuścić do jeszcze

jednej wymiany słów zbyt ostrych dla nich obojga. I że chyba niewiele miała mu do powiedzenia poza tym, co już zechciała powiedzieć. Obecność młodego człowieka krępowała ją wyraźnie, toteż jak najszybciej odesłała go na dół, skarżąc się na dokuczliwy głód. A Krzemień nie miał ochoty ani na pytania, ani na mówienie o sobie, chociaż nie żałował tej konfrontacji z przeszłością, nigdy by sobie nie darował, że skoro los raz jeszcze zdecydował skrzyżować ich drogi pod koniec życia, uniknąłby tego spotkania. Znał siebie, wiedział, że te godziny powracać będą wiele jeszcze razy we wspomnieniach, że każde wypowiedziane tu słowo wierna pamięć odtworzy z całą dokładnością, że długo jeszcze widzieć będzie ten zagrożony pokój, Kasię w rozpiętym do pół uda szlafroku, kokietującą go niewymyślnie i chyba nie umyślnie, z przyzwyczajenia.

— A ty — zapytał nagle — nie wybrałaś się za morze?

— Po co?

— Czy ja wiem? Zobaczyć świat i ludzi?

Przystanąła z pustymi kieliszkami w dłoni, pochyliła jasną głowę i powiedziała zupełnie cicho:

— Janku, mnie to już nic nie obchodzi. Chcę moje ostatnie lata jako kobieta przeżyć jak kobieta, a potem? *Après nous le déluge.*

— Więc, nazywając rzeczy po imieniu, ciągle seks jest sprawą w twoim życiu najważniejszą?

— Tak. Zawsze był i będzie. A kiedy przestanie — mnie już nie będzie.

— Czy nie tragizujesz? Jest tyle innych...

Zatrzymała go gestem dłoni.

— *So bin ich und so bleibe ich, yes, sir*, jak śpiewała Zarah Leander. Znasz mnie dostatecznie długo, żeby uwierzyć, że nie żartuję.

Pomilczeli przez długą chwilę, potem Kasia podniosła głowę i niespodziewanie dodała:

— Zacytuję ci jeszcze jedną piosenkę z mojego bieżącego repertuaru: „... *und das Ende der Legende ist zwar traurig, aber wahr*”.

Zapukano do drzwi i Wojciech Lipski wkroczył, a raczej wsunął się tyłem, ciągnąc za sobą tacę na kółkach, zastawioną talerzykami z wędliną, chlebem, jakimiś jeszcze przekąskami, wśród których królowały trzy butelki.

— Do stołu podano! — wykrzyknął z niskim ukłonem. — Czym chata bogata tym tra-ta-ta-ta...

— Czy nie za późno na taką ucztę? — spytał Krzemień, przyzwyczajony do anglosaskiej regularności godzin posiłków.

— My, cygańskie natury — odpowiedział kpiąco tamten — jadamy wtedy, kiedy mamy natchnienie, prawda, królowo?

Ale Kasia zlekceważyła zaczepkę, sprawnie przekładając zaczęła potrawy na stół, przysunęła krzesła. Krzemień postanowił istotnie coś zjeść, żeby trochę zneutralizować skutki alkoholu coraz mocniej dolegające bólem głowy i lekkim zaćmieniem wzroku, zacieraniem się rysów twarzy Kasi, które chwilami widział jak przez mgiełkę dziwnego oddalenia. Była ciągle jeszcze tuż obok, a już zaczynała znikać, blednąć...

— Czy nie masz dzieci ze swoich małżeństw? — spytała podając mu talerzyk i widelec.

— Nie, jakoś Pan Bóg strzegł. Jako ostatni z rodu umrę bezpotomny i taki będzie koniec firmy Krzemień herbu Rawicz.

— Panna na niedźwiedziu?

— Tak, panna na niedźwiedziu. Skąd wiesz?

— Może dlatego, że to ja pierwsza osiodłałam pewnego niedźwiedzia? Nie, mówiąc poważnie, to herb mojej mamy. Chociaż wiem, co zawsze sądziłeś o moim ojcu, nieraz mi przecież dawałeś do zrozumienia, że nazwisko Księski pochodzi od przymiotnika księżowski a nie książęcy, moja mama była z drobnej szlachty, popełniła mezalians, jak to się mówiło.

— Jakoś nigdy się o tym nie zgadaliśmy.

— Janku, co nas wtedy obchodziły herby, genealogie, tradycje? Chcieliśmy żyć i przeżyć, bez pytania o przeszłość i nawet przyszołość, prawda?

— A no przeżyliśmy, widać po to, żeby spotkać się w Wiedniu, jak para wypędzonych z raj.

— Mnie tam nikt z ichniego raj nie wypędzał — wtrącił się młody człowiek. — Był pan tam ostatnio?

— Nie znasz się na metaforach, Theo — skarciła go Kasia.

— Nie wiesz, o czym mówimy. Siedź cicho i pij swoje mleczko.

— Może to istotnie za mądre na mój mały rozumek — zgodził się pokornie i podnosząc kieliszek dodał: — Oby nasze dzieci nie czepiały się tramwajów. *Prosit!*

— Nikomu z nas to nie grozi — odrzekła Kasia i wypita do dna. Krzemień poszedł w jej ślady, przyrzekając sobie, że to już na pewno ostatni. Ale wypić musiał jeszcze dwukrotnie, zanim po długich targach pozwolono mu wyjść na jaśniejącą już przeczuciem wschodu słońca ulicę. Raz za powodzenie baru Zum Blonden Kaetchen, drugi zaś za niedalekie spotkanie, choć wszyscy troje wiedzieli dobrze, że takiego spotkania nie będzie. Co miało zostać powiedziane — zostało powiedziane dzisiejszej nocy, przeszłość nie obiecywała niczego lepszego dla żadnego z uczestników tej późnej libacji, a do dawnych czasów nie było po co wracać.

— Pomyśl tylko — powiedziała żegnając go — że po raz pierwszy w życiu jestem naprawdę niezależna. Od nikogo poza samą sobą. Nie ma narzucającego mi swoją wolę i standardy ojca, nie ma kontrolującego mnie męża, robię co chcę i na co mam ochotę, jestem całkowicie wolna!

— Tak — zgodził się po namyśle. — Chyba tak. A cena, jaką płacisz?

— Każdy z nas płaci jakąś cenę, prawda? Czy ty nie?

Pocałował ją na pożegnanie, jej dyskretny kompan czekał na dole, uprzejmie otworzył drzwi, życzył szerokiej drogi. I tuż za rogiem znalazła się wczesna taksówka.

A potem był szybki prysznic w hotelu, śniadanie na lotnisku, olbrzymie, wypełnione wnętrze transatlantyckiego 747, gwizd zapuszczanych silników i przez króciutką chwilę złudzenie, że za ciemnymi szybami lotniskowej poczekalni dostrzegł złotą głowę i czyjąś małą postać powiewającą dwukolorowym bukietem, ale pewnie mu się tylko tak zdawało, bo samolot kołować właśnie zaczął na start, a potem lekko, bezszelestnie oderwał się od ziemi i raz jeszcze wszystko pozostało na szybko zacierającej się pod chmurami ziemi.

III. PORWANIE

Był początek października i należało zacząć myśleć o przygotowaniach do zimowego sezonu bardziej niż dotychczas intensywnie. Ciągłe jeszcze nieco rozleniwiony wyjazdem do Europy i przywiezionymi stamtąd wrażeniami Krzemień nie mógł jakoś zebrać się w sobie, żeby naprawdę z pełnym entuzjazmem pomyśleć o czekającej go pracy. Cały zespół, którym od trzech lat kierował, zgrał się już zupełnie niezłe, pozostawało mu właściwie planowanie przyszłych imprez, jakie telewizja miała pokrywać, i kontrola przygotowań sprowadzająca się najczęściej do krótkich inspekcji terenowych. Mimo zbliżającej się raptownie sześćdziesiątki zachował dawną ruchliwość, tyle tylko, że nie zawsze miał ochotę na dalekie wyjazdy, co przy kanadyjskich odległościach oznaczało długie loty, parę dni w hotelu, parę źle przespanych nocy, podczas których coraz dotkliwiej zdawał sobie sprawę ze swego wieku. Przywykł do Toronto, zapuścił tu, jak drwiąco twierdził, zapóźnione korzenie, po prostu nie chciało mu się ruszać. Do następnego razu, poprawił się w myśli, stając przy oknie i usiłując dojrzeć pod niskimi chmurami szeroką przestrzeń jeziora.

— Tak? — powiedział pytająco do stojącego na biurku wzmocniacza, gdy tylko usłyszał brzęczyk telefonu.

— Jakaś pani — odpowiedziała sekretarka. — Mówi, że z Polski i że jej nazwisko nic panu nie powie. Połączyć?

— Dobrze, niech ją pani daje. Halo?

— Czy pan redaktor Krzemień? — powiedziała nieznajoma po polsku. Głos miała przyjemny, sposób mówienia kulturalny, wymowę czystą i staranną.

— Tak. Słucham panią.

— Moje nazwisko Urgacz, Janina Urgacz. Jestem w Toronto

przejazdem, wracam z Ameryki do Polski. Bardzo chciałabym się z panem zobaczyć.

Nazwisko było zupełnie obce, nie kojarzyło się z nikim, ale przywykł już do najrozmaitszych wizyt rodaków, czasem szukających po prostu ludzkiego kontaktu, czasem próbujących ubić jakiś malutki interes, czasem zaś zwyczajnie usiłujących naciągnąć kanadyjskiego „bogacza” na parę dolarów. Normalnie nie unikał tych styczności, bawił się nimi, ale tym razem zarówno wspomnienie nieudanych dwóch spotkań w Europie, jak i termin odlotu nie pozwalały na taki luksus.

— Bardzo mi przykro, niestety nie dysponuję czasem w najbliższych dniach.

— Ale... ja muszę się z panem zobaczyć.

To było coś więcej, niż stanowczość, usłyszał nutę desperacji, czy tak mu się przynajmniej zdawało. Mimo to nie miał zamiaru ustąpić przed naleganiem nieznajomej.

— Bardzo mi przykro... — zaczął powtórnie, gdy wtem przerwała mu mówiąc cicho, ale bardzo zdecydowanie:

— Jestem córką Diany. I błagam pana o pomoc.

Nie wiedział, jak długo milczał. Wpatrywał się w prześwitującą spomiędzy chmur powierzchnię jeziora, czasem łapał się na tym, że usiłuje dojrzeć szczyt iglicy rozdzierający nisko idące fale deszczu, chwilami nie myślał w ogóle o niczym, stał po prostu ze słuchawką głuchego telefonu w ręku i bezmyślnie patrzył przez okno na dachy, mokre ulice, kolorowe auta i dalekie jezioro. Kobieta po drugiej stronie milczała równie cierpliwie, ale wiedział, że była tam, nie odeszła, czekała. Jak Diana, pomyślał, przez wszystkie te lata, nic, tylko cierpliwie czekała, aby dopaść go tutaj, po drugiej stronie oceanu, niespodziewanym błaganiem o pomoc, której nie umiał nawet sobie udzielić.

— Gdzie pani jest w tej chwili? — spytał wreszcie sucho, rzeczowo.

— Tutaj, w Toronto, w jakimś małym hoteliku przy Church Street.

— Dobrze. Jak się ten hotel nazywa? Numer pokoju? Dobrze. Proszę się stamtąd krokiem nie ruszać. Przyjadę po panią za piętnaście minut. I proszę mieć rzeczy spakowane. I niech się pani stamtąd wymelduje, zanim przyjadę.

— Ale... Dlaczego...

— Proszę o nic nie pytać. Zaraz po panią przyjeżdżam. Do zobaczenia.

Zanim odłożył słuchawkę, miał już cały plan wyraźnie skryształizowany i gotowy. Nie pozwoli przecież córce Diany, bez względu na przeszłość, siedzieć w jakimś obskurnym hotelu, zaj-

mie się nią bez względu na to, kim i jaka jest. Jest przecież córką Diany i potrzebuje pomocy — to wystarcza.

Wychodząc z gabinetu polecił sekretarce zawiadomić lotnisko, że może spóźnić się o parę minut, ale niech czekają i nie lecą bez niego. I zadzwonił do dyrektora działu sportowego z prośbą o pozwolenie zabrania może jeszcze jednej osoby. To była formalność, chciał jednak być w porządku wobec wszystkich. Czy wobec samego siebie także?, zastanawiał się zjeżdżając windą, do garażu, ale na razie nie umiał na to odpowiedzieć, postanowił odłożyć to na później, po spotkaniu z córką Diany.

Przejechał szybko ulice centrum, skręcił ku jezioru i zatrzymał wóz przed wejściem do skromnego hotelu. Nie czekając na windę wbiegł na trzecie piętro, zapukał do drzwi, starając się równocześnie opanować przyspieszony oddech i wzmożone bicie serca. Otworzyła mu bez pytania.

Stała przed nim kobieta, której wieku nie umiał określić. Mogła mieć dwadzieścia pięć albo trzydzieści lat, była szczupła, opalona, wysoka. Patrzyła mu śmiało w twarz szarymi oczyma, tylko wspaniałe łuki brwi upodobały ją do Diany, poza tym była inna, całkowicie inna, w kolorycie, w wyrazie szeroko rozstawionych oczu, bolesnym skrzywieniu ust, geście nieśmiało wyciągniętej ręki. I głos miała inny, gdy powiedziała po zbyt długiej sekundzie milczenia:

— Dziękuję, że pan przyjechał. Jestem Janina, wszyscy nazywają mnie Inka. Proszę, niech pan wejdzie.

Odsunęła się od progu, zdążył zauważyć, że na tapczanie leżała zatrzasknięta walizka, przerzucony przez nią deszczowy płaszcz, poza tym w pokoju nie widać było innych śladów jej podróży. Usiadł na wskazanym przez nią foteliku, miał ją teraz przed sobą całą, podwojoną odbiciem w wielkim nad tapczaniem lustrze. Miała na sobie szary kostium, ciemne pończochy wyszczupły dobrze zarysowane nogi, nosiła pantofle na niewysokim obcasie, stopy miała ściśnięte, zwarte ruchem obronnym, gotowością do skoku i ucieczki. Znow podniósł oczy, napotkał jej skupione spojrzenie, lekką zmarszczkę między tymi pamiętnymi brwiami, pod czołem jasnym spod krótko, niemal po męsku ostrzyżonych włosów, co okrywały jej głowę jak brązowe puszyste futerko.

— Więc pani jest córką... — zaczął powoli i machinalnie sięgnął po papierosy. — Przepraszam, pozwoli pan?

Przyjęła papieros i ogień, pochylając się poczuł lekki zapach perfum, bardzo lekki, nieuchwytny zapewne dla kogoś mniej niż on w tej chwili wyculonego na tę kobietę. Gest jej głowy przez moment upodobił ją do Diany, zdziwił się, jak nagle, po czter-

dziestu prawie latach te wrażenia powracały, okazało się, że były w nim zawsze, ale dopiero teraz wypłynęły, nie żalem, czymś nieuchwytnym, smutnym, drogim.

— Więc pani jest córką... — powtórzył.

Skloniła głowę, potem znów spojrzała mu prosto i otwarcie w oczy.

— Dziękuję, że pan przyjechał. Wiedziałam, że pan mnie nie zawiedzie. Ja bardzo, bardzo potrzebuję pomocy.

Oczy miała suche, ale gdy mówiła Krzemień słyszał, jak głos zarywał się jej chwilami, jak bliska była płaczu, jak bardzo musiała się opanowywać. Krótko, rzeczowo przedstawiła mu swoją historię. Przed trzema miesiącami przyjechała do Michigan, na prywatne zaproszenie jednego z tamtejszych laboratoriów komputerowych. Była to wymiana czysto kurtuazyjna, rok przedtem jej instytut gościł Amerykanina, w rewanżu zaprosił ją, jako mówiącą dobrze po angielsku, samodzielnego pracownika naukowego. Układało się wszystko dobrze do momentu, gdy ktoś z tamtejszej grupy Polaków nie odkrył, że jest żoną znanego w PRL-u lotnika, pułkownika Urgacza, który w dodatku afiszował się w PRON-ie i kompromitował publicznie. Nie tylko odsunięto się od niej, ale zaczęła się tajemnicza sieć intryg, plotek, szykan sięgająca wkrótce do Amerykanów bezpośrednio z nią pracujących. Nim upłynął miesiąc, była już zupełnie samotna, do tego stopnia, że nawet w kafeterii odsuwano się od niej, jak od zarażonej, a kontakty w pracy ograniczyły się do suchych *hallo* i *good-bye*. Zacisnęła zęby, postanowiła pracować i nie zwracać na nic uwagi, chciała te krótkie trzy miesiące wykorzystać do maksimum, poznać jak najlepiej nowoczesny sprzęt i technologię, pracowała poza godzinami, co z kolei wywołało zupełnie już niedwuznaczne uwagi na temat ukrytych celów jej przyjazdu.

— Proszę, niech mi pan da jeszcze papierosa. Dziękuję, nie wiedziałam, jakie tu kupić, a chciałam spróbować miejscowych. Dobre. Więc postanowiłam wytrzymać, liczyłam dni do odejścia „Batorego”, żyłam jak pustelnica, ani ludzi, ani wyjazdów, ani rozrywek, tylko ta ich głupia telewizja i praca, prawie dziewięćdziesiąt takich dni i nocy. Aż nagle zjawił się ten typ...

Wstrząsnęła się z obrzydzeniem, gorycz jej ust stała się jeszcze widoczniejsza, teraz już całe nogi splotła ciasno, owinęła jedną wokół drugiej, odchyliła się na tapczanie, oparła o lustro, przyknęła zbyt wyraziste oczy. Krzemień w dalszym ciągu słuchał w milczeniu, podczas gdy w głowie słyszał jakby tajemny duet, jak tamten dawny, drugi, słodki głos Diany opowiadał mu o jej z kolei cierpieniach, o tragedii rodzinnej, osobistej, o wszystkim tym najstraszniejszym, co spotkało ongiś jej matkę, ją samą.

— Nie będę panu opowiadać ohydnych szczegółów, wystarczy, że zaproponowałam mi... W przeciwnym razie oskarży mnie przed FBI, CIA, kimś-tam jeszcze, o szpiegostwo. Gospodarcze i wojskowe, komputery to sprawa zastrzeżona, a teraz przy prawie wojennym... Poprosiłam go o dwadzieścia cztery godziny do namysłu, czytałam, że tak się podobno zawsze robi, a sama cichutko spakowałam te skromne trzy walizki, zatelefonowałam do instytutu, że źle się czuję, muszę nagle wracać, wsiadłam do autobusu i... przyjechałam.

Krzemień wstał i odwrócony twarzą do okna spytał cicho:

— Do mnie?

— Tak — powiedziała za jego plecami, chyba stanęła blisko, znów poczuł leciutki zapach perfum, dym z jej papierosa przepłynął mu obok twarzy. — Matka powiedziała mi, gdy wyjeżdżałam: „Pamiętaj, Inko, jeśli znajdziesz się w jakiejś najtrudniejszej sytuacji, w jakiejś ostateczności, możesz się do tego człowieka zwrócić. On cię nie zawiedzie”.

— Tak powiedziała — powtórzył cicho Krzemień. — Czy... mówiła pani o mnie coś jeszcze?

— Nie — w jej głosie usłyszał wahanie. — Nic więcej, poza tym, że jest pan dziennikarzem w CBC i że tam mam pana szukać. W razie czego. W ostateczności.

Odwrócił się, spojrzął jej z bliska w oczy, spróbował się uśmiechnąć.

— Dobrze pani zrobiła. Staram się nie zawodzić niczyjego zaufania. Jakie ma pani dalsze plany?

— „Batory” odpływa za pięć dni, myślałam, że do tego czasu... Widzi pan... ja nikogo, ale to zupełnie nikogo nie mam na całym tym olbrzymim kontynencie. Pan jest jedynym...

— ... *nur du allein*, przed dwoma miesiącami słyszałam taką piosenkę. Ale to dobrze, bardzo dobrze, nawet pani nie wie, jak dokładnie, precyzyjnie trafiła pani na właściwy moment — roześmiał się nagle zupełnie już swobodnie i szczerze. — Czy wymeldowała się pani, jak prosiłem?

— Tak, to znaczy... chcę po prostu wyjść, co mi te dwadzieścia parę dolarów.

— O, nie! — zaprotestował stanowczo. — Te dwadzieścia parę, jak pani mówi, zarobiła pani ciężką pracą i nie ma powodu nikomu ich darowywać. Kupi sobie pani za to dwa kartony Playersów, które tak pani smakują. Idziemy. Gdzie reszta pani bagażu?

— Zostawiłam w przechowalni na dworcu autobusowym.

— I wprost stamtąd pani tu trafiła?

— Tak — odpowiedziała sięgając po płaszcz. — Spytałam

o adres taniego, przyzwoitego hotelu, taksówkarz tu mnie przywiózł.

Podał jej płaszcz, dopiero teraz, gdy ciasno opięła się paskiem mógł ocenić, jak jest szczupła i zgrabna, a gdy na swe krótkie włosy naciągnęła szary beret, nie mógł powstrzymać się od uwagi:

— Wygląda pani jak Michèle Morgan.

Znów spojrzała mu z bliska w oczy, była zdziwiona.

— Michèle Morgan? Kto to taki?

— Bohaterka filmów mojej młodości, jeszcze jedno wcielenie postaci Remarque'a.

Otworzył przed nią drzwi, podniósł lekką walizkę, nacisnął guzik windy. W ciasnym wnętrzu stali bardzo blisko siebie i Krzemień ciągle próbował odpowiedzieć na pierwsze pytanie, jakie zadał sobie, gdy ją zobaczył. Czy była ładna? Nie, nie w pospolitym sensie tego słowa, była raczej oryginalna, niezwykła, interesująca, a przede wszystkim miała w sobie coś nieuchwytnie bliskiego, znajomego, coś czego nie potrafił nazwać, choć wyczuwał każdym zmysłem. I była taka młoda...

Dobrym, gładkim angielskim poprosiła portiera o zwrot pieniędzy, zajmowała pokój zaledwie przez godzinę, teraz zmieniła plany, nie widzi powodu, żeby płacić za całą dobę. Młodziutki Wietnamczyk nie zdawał się być przekonany, ale milcząco obecność Krzemienia chyba przeważyła, bo z westchnieniem wypłacił jej parę kolorowych, kanadyjskich dolarów, uważnie obejrzała zdobiący je wizerunek królowej, potem zwinęła w garści i wcisnęła do kieszeni płaszcz. Nie dba o pieniądze, stwierdził po raz drugi Krzemień i gestem ręki wskazał jej wąski korytarzyk prowadzący na ulicę. Wóz miał zaparkowany tuż przed hotelem, otworzył drzwi i zaprosił ją do środka. Nim wsiadła uważnie obejrzała czarny kształt auta, potem rozglądnęła się po wnętrzu, podczas gdy Krzemień lokował jej walizkę na tylnym siedzeniu. Leżała tam już jego torba podróżna i deszczowy płaszcz.

— Piękny wóz — powiedziała z uznaniem, gdy siadł za kierownicą. — Co to za marka?

— Porsche. Jedyna przyjemność, na jaką my, starzy kawalerowie, możemy sobie pozwolić. A poza tym ma taki sam motor, jak czołgi typu „Tygrys”, którymi Niemcy lubili rozjeżdżać moich kolegów za dawnych, przedpotopowych czasów. Daje mi poczucie spóźnionej sprawiedliwości i siły.

— I co, wielu już pan Niemców rozjechał na ulicach Toronto?

Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

— Na razie jakoś się nie zdarzyło, ale kto wie, co jeszcze może się człowiekowi trafić...

— Jest pan starym kawalerem?

— Prawie. Rozwodnikiem. Dwukrotnym. Ale w sumie to się do starokawalerstwa sprowadza. Papierosa?

— Nie, dziękuję, nie będę już pana opalać. Sama sobie kupię, jeśli zechce pan stanąć przed kioskiem. I czy mogę się teraz dowiedzieć, dokąd mnie pan porywa?

Wymijając inne wozy z głuchym rykiem silnika Krzemień nie mógł pozbyć się myśli o okrutnej ironii powtórzeń, jakich los mu nigdy nie szczędził. Najpierw dzieje matki Diany, jej ucieczka ze zrewolucjonizowanej Rosji, szaleńcza miłość do pięknego ułana, jego tajemnicze samobójstwo, potem Diana tak straszliwie, boleśnie zhańbiona przez rosyjskiego żołdaka, teraz ta młoda istota uciekająca przed ludzką podłością... I pierwszy wieczór z Dianą, gdy zaprosił ją na całą noc zabawy i tańca, obiecując niespodziankę, potem powrót w czystym, porannym śniegu, pierwszy pocałunek, który związał ich na następne cztery lata, do tej niezapomnianej nocy w Kazimierzu, do tragicznego zerwania, do ostatniego, milczącego spotkania w Warszawie... Dokąd porywa teraz tę nową Dianę, krew z jej krwi, ciało z jej ciała?

— Zapomniałem spytać: czy pani coś jadła?

— Tak, jakieś pseudo-śniadanie na dworcu, ale nie jestem głodna.

— Dochodzi dwunasta. Jeśli wytrzyma pani jeszcze godzinę, obiecuję pani raczej niezwykły piknik. Lubi pani pikniki?

— Uwielbiam. Ale teraz, w październiku? Nie za chłodno?

— Nie, nie zmarzniemy. Musimy jednak najpierw kupić trochę zapasów, dobrze?

Kiwnęła głową, ciągle przenosząc wzrok z profilu Krzemienia na mijane domy śródmieścia. W pewnej chwili cicho i jakby z zawstydzeniem powiedziała:

— Czy pan uwierzy, że to pierwsze wielkie maisto, jakie w życiu widzę?

— Nie bywała pani w Europie?

— Nie. Najpierw studia, potem praca, dziecko...

— Ma pani dziecko?

— Tak. Piotruś skończył niedawno trzy lata.

Dopiero po chwili podjęła już spokojniej:

— Do Nowego Jorku przyleciałam wprost z Warszawy, tam zmieniłam samolot do Detroit nie opuszczając lotniska, a stamtąd już autem do tego podłego Ann Arbor. I nigdzie indziej, więc dopiero dzisiaj rano, gdy z okna autobusu zobaczyłam Toronto zrozumiałam, co to znaczy prawdziwe miasto. Piękne.

— Ujdzie. A wraca pani statkiem?

— Wstydzę się przyznać, ale liczyłam, że przywiozę sobie trochę rzeczy, w Polsce teraz nic nie można dostać, więc...

— Zobaczy pani zatem Montreal, jeszcze ładniejszy od Toronto.

— No właśnie, więc dokąd mnie pan porywa na te parę dni przed Montrealem?

Uparcie wracała do tego słowa, zastanawiał się, czy działała tu intuicja, czy obawa? Postanowił powiedzieć jej wprost, nie było po co dłużej ukrywać.

— Zabieram panią na piknik do Alberty.

— Do Alberty? Przecież to chyba bardzo daleko?

— Głupstwo, półtora tysiąca mil.

— Ile?

— Jakieś przeszło dwa tysiące kilometrów.

— Pan żartuje. To prawie tyle, co do Warszawy.

— Prawie. Nie całkiem. Wszystko to jest względne, odległości także.

Ale widząc jej przerażone oczy zaczął poważnie już tłumaczyć, że uchwyciła go dosłownie w ostatniej chwili przed wyjazdem, gdyby zadzwoniła o pół godziny później nie zastałaby go przez następne dwa-trzy dni, wybiera się bowiem za pół godziny do Calgary, gdzie ma przygotować do transmisji telewizyjnej teren ogólnokanadyjskich zawodów łyżwiarskich. Dwaj ludzie z jego zespołu już czekają na lotnisku, gotowi do odlotu.

— A gdzie ja do tego wszystkiego pasuję? — spytała wreszcie przelykając śluzę, słysząc to wyraźnie w jej głosie.

— Polecą pani z nami, jako honorowy gość.

— Do tych Kalgar? Przecież to kosztuje majątek!

— To Calgary, miła pani, nie te Kalgary. Mój ojciec zwykł był śpiewać legionową piosenkę z refrenem „a NKN zapłaci”. U nas moglibyśmy śpiewać, że CBC zapłaci. Mamy własny, mały samolot, jeden pasażer więcej nie robi różnicy na niekorzyść, a w tym przypadku wręcz przeciwnie.

Zganił się za ten prymitywny komplement, zdawało mu się jednak, że w ten sposób rozładował jej niepokój, bo nagle uśmiechnęła się i westchnęła:

— To rzeczywiście niespodzianka... Parę tysięcy kilometrów na piknik?

— Właściwie piknik zjemy nad chmurami i teraz wiozę panią do polskiej dzielnicy z prośbą o pomoc w zakupach. Ale zanim skręcimy, chcę pani pokazać coś bardzo niezwykłego. Widzi pani ten czarny blok, pęknięty po środku, tam, pod drzewami? To pomnik katyński, wystawiliśmy go przed czterema laty, jeden

z moich kolegów, któremu Rosjanie zamordowali tam ojca, był bardzo czynny przy stworzeniu tego projektu.

— Proszę, niech pan stanie na chwilę. Chciałabym wysiąść i pomodlić się za nich.

Zatrzymał wóz, pozwolił jej samej podejść do czarnej bryły rozłupanej burzą tragedii, patrzył jak przykleka na zarzuconym starymi wieńcami bruku nie wiedząc, że w tej chwili przechodzi w jego oczach najtrudniejszy test, jakiemu poddawał każdego prawie przybysza z Polski, wierzył bowiem, iż w obliczu tego przerażającego dowodu nieporównywalnej z niczym zbrodni nie można udawać, trzeba pokazać swoją prawdziwą twarz, gestem czy słowem opowiedzieć się za prawdą, lub kłamstwem. Córka Diany, która miała z Katyniem związane osobiste skojarzenia, a żona pułkownika Urgacza egzamin przeszła celująco.

Zupełnie za to inną, zdumioną i radosną zobaczył ją zaś dopiero w chwilę potem, gdy postawiwszy wóz przed przybranym w białoczerwone flagi kościołem weszli do jednego z tych rozlicznych sklepów, jakimi wypełniona była ulica Roncesvalles. Na widok oszałamiającego bagactwa wędlin, mięs, serów, gatunków pieczywa i słodczy młoda kobieta zatrzymała się oszołomiona i całkiem poważnie spytała:

— Gdzie pan mnie przywiózł? Jak żyję nie widziałam takich cudów! Czy jesteśmy w krainie z bajki?

— Raczej Schlaraffenland, czy, jeśli pan woli, Obłomowka, ale da się lubić, zwłaszcza kulinarnie. Proszę, niech pani wybiera zaopatrzenie na sześć bardzo głodnych osób.

— Nie znam tych nazw, spytam o nie potem, na razie muszę się tym wszystkim nacieszyć, napatrzeć, nawąchać.

— ... i najeść, proszę pamiętać, że jesteśmy głodni.

— Czy mam jakieś ograniczenia budżetowe?

— Żadnych. CBC zapłaci.

— Muszę pana lojalnie uprzedzić, że ja też znam tę piosenkę i kontekst zapłaty.

— Nie przypuszczałem, że ma pani aż takie wykształcenie.

— Pochodzę z wojskowej rodziny, prawda? Czwarte pokolenie.

Zamilkł na wspomnienie tych rodzinnych związków, wolał o nich nie myśleć, nie pamiętać, ale były, nie mógł zaprzeczyć, że stała przed nim w polskim sklepie delikatesowym na ulicy Roncesvalles w Toronto córka Diany i generała Małynicza, wnuczka porucznika Bruna, prawnuczka carskiego oficera... I żona pułkownika Urgacza, aktywisty PRON-u i działacza okresu stanu wojennego... A mimo to była mu taka bliska, tak bardzo bliska.

Patrzył, jak wybierała najlepsze krakowskie kiełbasy, kabanosy i szynki, jak starannie wachała egzotyczne sery, jak cieszyła się kolorem i aromatem świeżego, wiejskiego chleba, jak dobierała do tych specjałów jakieś marynowane grzybki i ogórki kwaszone, jak starannie ważyła każde zawiniątko w rękę. Dokupił dwie butelki węgierskiego tokaju, karton piwa i trzy kartony papierosów, nie pozwolił jej zajrzeć do rachunku, zapłacił kartą kredytową i z trudem podźwignął dwie wielkie torby wypchane wiktuałami. Te wspólne zakupy zbliżyły ich tak, jakby znali się od wielu dni, nie od pół godziny, razem ładowali torby do bagażnika, wsiadali do auta weseli, nagle rozradowani poczuciem swej wzajemnej bliskości. A równocześnie Krzemień miał okazję obejrzeć ją sobie z daleka, gdy poruszała się po sklepie, stwierdził, że mimo wysokiego jak na kobietę wzrostu miała w ruchu dużo lekkości, swobody, gracji nawet, czasem przypominała mu młodą Dianę, tak jak zapamiętał ją z basenu czy spacerów, czasem zaś była po prostu sobą, młodą ale dojrzałą kobietą, jedną z tych, z którymi Krzemień nie stykał się już od dawna, oddzielony od nich wiekiem, zainteresowaniami, wszystkim.

Wydostał się z płataniny zadrzewionych uliczek, zjechał na sześcioliniową Queen Elizabeth Way, zręcznie przeskoczył na inną, wiodącą na północ szosę i po kilkunastu minutach jechali już wśród plakatów reklamujących linie lotnicze, wśród szklanych zabudowań wielkich hoteli, między coraz gęściej rozsiadłymi wokół lotniska hangarami. Objaśniał jej przeznaczenie poszczególnych budynków, plotkował o zaletach i wadach różnych linii, ale cały czas, mówiąc o błahostkach, zastanawiał się, czy w tym nagle znalezionym zbliżeniu jest coś więcej poza faktem, że była córką Diany. Chwytał się na tym, że patrzy na nią nie jak na wyrzut przeszłości, ale jak na młodą i sympatyczną kobietę, z którą można znaleźć tyle wspólnych tematów mimo różnicy wieku, kraju zamieszkania i całkowicie innych doświadczeń. Przypomniał sobie zdanie z powieści czeskiego sąsiada z Toronto, Škvorecký'ego, który porównując pochodzącego z Czechosłowacji profesora z jego studentami doszedł do wniosku, że jego doświadczenia pochodzą z europejskiego *teatrum mundi*, podczas gdy ich — z telewizji... Nie, Janina, Inka, przyjeżdżała stamtąd, z europejskiego, ściślej mówiąc polskiego *teatrum Poloniae*, wzbogacona o przeżycia ostatnich miesięcy stanu wojennego, o gorzkie doświadczenia utraty złudzeń sprzed dwóch lat... Postanowił wypytać ją o jej na te sprawy spojrzenie, zapewne załamane, być może nawet skrzywione wojskową perspektywą, choć przecież zaraz na początku powiedziała, że jej mąż kompromituje się działalnością w PRON-ie... Ale to później, znacznie później. I zaraz

pytanie: co to znaczy znacznie później? Kiedy? „Batory”, proszę pamiętać, kolego Krzemień, odpływa z Montrealu za pięć dni i żaden telefon nie zmusi go do czekania na pasażerkę...

Obaj pomocnicy stali już przed niewielkim budynkiem ukrytym za masywem pasażerskiego dworca.

— To jest Phil — przedstawiał ich kolejno, gdy Inka wysiadła z auta — mój kierownik produkcji, a to Pete, specjalista od lokowania kamer. Inka, nasza towarzyszka na tę podróż i główny intendent zaopatrzenia.

— Czy to znaczy, że nie będziemy skazani na twoje kucharzenie? — spytał Phil, wyglądający na młodego Wikinga, wysoki blondyn.

— Nie, raz w życiu będziemy mieli uroczą stewardesę na pokładzie — odparł Krzemień. — Inka... — i po polsku dodał — proszę wybaczyć, że tak panią nazywam, ale co kraj... Inka, chodźmy do samolotu, pozna pani naszą załogę.

Zdumiona i niepewna podchodziła do małego, srebrzystego odrzutowca o kształcie głębinowej ryby, spoglądającej na nią okrągłymi ślepiami okien, przyjęła wyciągniętą z wnętrza rękę młodego człowieka w kraciatej, czerwono czarnej koszuli, speszyła się jeszcze bardziej, gdy przedstawił się jej już w kabinie jako kapitan Levitoux, pilot tego małego samolotu. Jak zwierzyła się im później, w czasie lunchu, przywykła w Polsce do wojskowej dyscypliny i związanych z nią form nie miała wiele zaufania do pilota wyglądającego jak drwal.

— Ale drwal, który umie rąbać — roześmiał się Pete z ustami pełnymi polskich specjałów zmienionych jej rękami w kwintne sandwicze. — Latałem z nim już nie raz i proszę mi wierzyć, ten chłopak wie, co robi. A tak naprawdę, to bardziej z niego kowboj, niż drwal. Jego staruszkowie mają pod Calgary sporą ranczę, na pewno tam zaraz podskoczy.

— Inka nie kwestionuje jego umiejętności — wtrącił Krzemień i dolał wszystkim piwa — po prostu przeżywa szok kulturowy.

— Jan... Jan? — zwróciła się do niego, a gdy kiwnął przyzwalająco głową, ciągnęła — Jan mnie niepotrzebnie broni, umiem to robić sama wcale dobrze.

Patrzył na nią i nie poznawał tej zastraszonej istoty, którą znalazł w hotelu przed dwiema zaledwie godzinami. W towarzystwie młodych mężczyzn rozkwitła, była elokwentna, cięta i wesoła, nosiła obu pilotom kanapki do ich kabiny, wróciwszy wyciągała się wygodnie na rozłożonym fotelu, czuła się w tym luksusowym samolocie na wysokości trzydziestu tysięcy stóp znacznie swobodniej niż na twardym, kanadyjskim gruncie. Czy

to wprawa żony lotnika, czy tak działa na nią męskie towarzystwo, czy jest po prostu spragniona przyjaznych ludzi? Nie wiedział, nie znał jej wcale, bo irracjonalne poczucie bliskości, stale obecne, przypisywał jej pochodzeniu raczej, niż działaniu jej osobowości, o którym na razie nie umiał jeszcze wiele powiedzieć, słuchał więc częściej i obserwował, pozwalając jej odślaniać się w towarzyskiej rozmowie z obu młodymi ludźmi. To co słyszał i widział podobało mu się zdecydowanie. Była niegłupia, odważna, ale powściągliwa, miała własne zdanie o wielu rzeczach, a równocześnie otwarcie przyznawała się do swojej ignorancji czy niekompetencji w innych sprawach. O Polsce mówiła niewiele i ostrożnie, ograniczała się do powtarzania ogólnikowych sądów, a jej rozmówcy byli na tyle delikatni, że nie próbowali wyciągać jej na tematy mogące ją krępować osobiście czy politycznie. Nie, niegłupia, powtórzył w myśli, a zręczność z jaką podchwyciła anglosaski zwyczaj zwracania się po imieniu była dla niego czymś więcej niż potwierdzeniem tego sądu, sprawiła mu całkiem zwyczajnie przyjemność. Doszedłszy do tego punktu w swoich rozmyślaniach oświadczył sam sobie, że wyraźnie na starość głupieje i z tej okazji zaproponował swoim towarzyszom podróży toast węgierskim tokajem. Za co? Za ciągle młody duch przygody, powiedział, a potem powtórzył to po polsku i zapytał:

— Inko, czy pani zauważyła, że jestem poetą?

— Owszem, niejednokrotnie.

Nie zdążył spytać skąd to wrażenie, bo Phil zwrócił się do Inki i poprosił:

— Czy może pani pomóc nam w rozwiązaniu pewnej zagadki?

— Jeśli potrafię...

— Po raz pierwszy zdarza nam się poznać rodaczkę Jana, a od dawna chcemy się dowiedzieć co znaczy ten tajemniczy refren, jakim raczy nas co najmniej trzy razy dziennie. Pete! Gotowy? Raz, dwa, trzy!

I obaj zgodnie choć niezbyt melodyjnie zaśpiewali: *ja sa quatero damczy quit, a CBC saplasi...*

Krzemień aż zwinął się ze śmiechu, ale Inka z najpoważniejszą miną odrzekła:

— Ach, to z pewnej starej polskiej ballady o żołnierzu-tułaczku.

— Stara, polska ballada? — zdziwił się Phil. — Na melodię „O, Tannenbaum”? Ktoś tu kogoś naciąga.

— Wcale nie — broniła się rezolutnie. — Trzeba trochę znać historię mojego kraju. Czy mam panom urządzić wykład?

— Nieważne — odpowiedział Pete, swym zwykłym lekceważącym tonem portorykańskiego eleganta. — Proszę nam tylko powiedzieć, co to znaczy?

Siedziała wygodnie, całkowicie rozluźniona, uśmiechnięta, w szerokim fotelu za rozkładanym stolikiem, promień słońca z okrągłego okienka padał na jej krótkie, gęste włosy, w rękę trzymała kieliszek wina i bawiła się tak, jakby nie leciała nad obcym krajem, w niewiadomym kierunku, ku nieznanym przeznaczeniom. Obaj Kanadyjczycy, niewiele chyba od niej starsi, gdyż Jan wiedział, że Phil ma dwadzieścia siedem, a Pete trzydzieści lat, mimo, że obaj byli żonaci i to szczęśliwie, bawili się wraz z nią, mieli tę wspaniałą anglosaską umiejętność traktowania kobiety jak kolegi, bez żadnych podtekstów flirtu, a przecież z pełnią uznania dla jej uroku. Krzemień, dwukrotnie od każdego z nich starszy, siwy i znużony życiem, czuł się w ich towarzystwie czasem jak kolega, czasem zaś jak opiekun, starał się jednak dostosować do ich swobody, siedział teraz w koszuli z podwiniętymi rękawami, w krawacie rozluźnionym wokół szyi, tym mimo wszystko formalnym strojem także od nich inny, a przecież będący jednym z nich.

— To historia żołnierza — mówiła z ożywieniem Inka — który nocą przychodzi do wsi szukając kwatery, znajduje ją u młynarki, obiecuje, że za wszystko zapłaci jej jakaś państwowa instytucja, spędza z nią noc, a gdy po roku wojsko wraca do tej samej wsi, młynarka wita ich z niemowlęciami na ręku... Ten ironiczny refren „a NKN — czy CBC, jeśli wolicie — zapłaci” zrzuca ze sprawcy odpowiedzialność i przenosi ją na kogoś innego, w tym przypadku na państwo, władze, kierownictwo...

— Przepraszam — wtrącił się Jan — kim pani jest z wykształcenia?

— Socjologiem, oczywiście. Czyż tego nie widać?

— To wszystko dla mnie za mądre — odezwał się Pete. — Wiem tylko, że zawsze ktoś za wszystko musi płacić.

— Pociesz się — odpowiedział Krzemień — że tę samą mądrość słyszałem niedawno od pewnej pani w Wiedniu.

— Świat jest jednakowy — zakonkludował tamten. — Pogadajcie sobie o waszych żołnierzach-tułaczach i uwiedzionych młynarkach, ja idę spać, mamy jeszcze ze dwie godziny lotu, a świeże powietrze zawsze mnie usypia. Dziękuję za lunch, był pyszny.

Drugi Kanadyjczyk pomógł jej uprzątnąć stół, schowali pozostałe jedzenie do lodówki, wyrzucili do pojemnika plastikowe naczynia, Phil żartobliwie jej zasalutował i przyłączył się do swojego towarzysza. Inka siedła obok Krzemienia, poczęstowała go papierosem. Milczeli. Silniki brzęczały cichutko i monotonicznie, maszyna szła równo zawieszona nad litą powierzchnią chmur kryjących ląd, którego nie znała i pewnie nigdy nie miała poznać. Lecieli wprost na zachód, w kierunku przeciwnym do tego, jaki

pewnie planowała, oddalała się od kraju, od rodziny, od wszystkiego, czym dotychczas żyła i czym żyć miała w przyszłości, ale tak musiało być, zdała się na jego opiekę i zaufała mu, tak jak jej matka przed wielu, wielu laty, dopóki ona sama z kolei jego zaufania nie zawiodła tak gorzko, tak boleśnie, tak tragicznie.

— Raz w ciemną noc, do pewnej wsi... — zanuciła cicho Inka. — Czy ciągle jest pan myślą przy kwaterach, „Tygrysach” i tamtych czasach?

Spojrzał na nią uważnie i ostro, zaskoczony przenikliwością tej kobiety zastanawiał się po raz nie wiedział już który, co i ile o nim mogła wiedzieć, co wiedziała. Słuchając jej żartobliwej rozmowy z Kanadyjczykami chwycił niejednokrotnie ciekawe ukryte znaczenia jej wypowiedzi; teraz, patrząc na nią, układał je i szeregował, pragnąc stworzyć z nich jakiś pełniejszy obraz tej na pewno nie prostej osobowości. Przypomniawszy sobie, jak przed godziną, na pytanie Phila, czy imię Inka pochodzi o starożytnych Inków, odpowiedziała swobodnie, że nie, że wywodzi się wprost od znanego mu z angielskiego słowa *ink*, atrament, potrafi bowiem zarówno utrwalić piękno na zawsze jak i zostawić plamy nie do zmycia, gdy używa się go lekkomyślnie. Czy na pewno mówiła to do młodego Wikinga? Wcale nie był o tym przekonany.

— Nie — odpowiedział. — Jestem jak najbardziej tu i teraz, jak to się ostatnio w Polsce mówi, prawda?

— Owszem, w nieco innym sensie. Ale proszę mi teraz, tu i teraz, powiedzieć, co zamierza pan dalej robić z porwaną Sab-Inką?

— Chciała pani powiedzieć Super-Inką?

— Dobrze, niech będzie i tak, chociaż zanadto przypomina mi brzydkie współczesne słowo „superata”. Co dalej?

— Wie pani, kiedyś, ktoś postawił mi dokładnie to samo pytanie, dokładnie takim samym tonem.

— Nie pytam kto, ale to może rodzinne.

— Może. Jest pani stanowczo zbyt domyślna, Miss Super Ink.

Byli oboje w dobrym, lekkim nastroju towarzyskiej konwersacji po dobrym posiłku i kieliszku wina, w ciekawym i niezwykłym otoczeniu, wśród miłych i przyjaznych ludzi, ale podteksty tej rozmowy, czuli to oboje, znaczyły coraz więcej, sięgały coraz dalej, i to nie tylko w przeszłość, która ich ze sobą zetknęła.

— Co dalej? — powtórzył chcąc zyskać na czasie. — Cóż, pokażę pani przy okazji kawałek świata, obejrzy pani kraj rzadko przez Polaków oglądany, odpocznie pani trochę po pracy i niemiłych przeżyciach, a potem odstawię panią do portu, będę życzył,

jak to się teraz podobno w Polsce mówi, szerokiej drogi i pożegnaj ze łzami w oczach.

— Dlaczego pan to wszystko dla mnie robi? Przecież mógł pan ulokować mnie w Toronto, pod opieką jakichś przyjaciół, byłam już na tyle opanowana, że po zobaczeniu pana dałabym sobie radę. Trzeba mi było tylko jednego dobrego słowa, jednego przyjaznego gestu, żebym odzyskała wiarę w ludzi i sens tego wszystkiego, co nazywamy życiem. Dał mi pan to, a teraz lecimy Bóg wie do jakiej głuszy, Bóg wie po co i na co. Jestem znów zgubiona, tym razem nie przez ludzką złość, ale przez dobroć, jakiej nigdy chyba dotychczas nie spotkałam. Ci panowie, ich serdeczność, delikatność... Czy pan myśli, że nie widziałam, jak byli zaskoczeni, ciekawi, a mimo to... I pan...

— Prawda? I ja na dodatek.

— Och, proszę nie kpić ze mnie. Przynajmniej pan. Ale dlaczego?

Krzemień spojrział w okno, za którym nie było nic poza wysokim, nieskończonego wysokim i pustym niebem, nie spieszył się z odpowiedzią, zastanawiał nad nią długą chwilę.

— Przez lenistwo — powiedział wreszcie. — Ani nie miałem czasu, ani ochoty umieszczać pani pod opieką przyjaciół, wolałem zabrać z sobą i samemu się panią zająć. Wrodzone, Krzemieniowe lenistwo, nic więcej. A poza tym niewątpliwa przyjemność spędzenia z panią paru dni.

— Paru dni?

— No, oczywiście. Dzisiaj jest czwartek, jutro wszystko szybko załatwimy, a rozsądny człowiek nie pozbawi się okazji spędzenia *week-end*'u w cudownych górach, prawda? Czy wróciłaby pani z Zakopanego do... Gdzie pani właściwie mieszka?

— Mieszkam na stałe w Poznaniu, ale to nieważne. Chce pan mnie trzymać w tych Kalgarach jakichś przez cały *week-end*? I co ja tam będę robić?

— Nie w Kalgarach, mówiłem już pani, że w Calgary. A poza tym wcale nie będziemy tam siedzieć, tylko pojedziemy sobie zwiedzać Góry Skaliste. Jest złoty październik, najpiękniejsza pora. Czy pani myśli, że „złota jesień” jest polskim wynalazkiem?

— Nic nie myślę, nie wiem. Jestem prowincjuszka, pamięta pan?

Była wyraźnie zdenerwowana, dopiero teraz, gdy odzyskała panowanie nad sobą pojawiła się świadomość sytuacji, w jaką wpłatała się przyjmując zaproszenie, a raczej poddając się bezwzględnie jego prowadzeniu. Krzemień wiedział, że to musi nastąpić, przygotowywał się na tę chwilę od początku lotu. Toteż zupełnie spokojnie powiedział:

— Pani Inko, zna pani angielski tak dobrze, że rozumie pani idiomatyczne określenie *you are a big girl now*. Jest pani dorosła, nikt nie chce zrobić pani krzywdy. Spędzi pani piękne parę dni, do których wracać pani będzie we wspomnieniach, później, gdy życie okaże się trudne, nie do wytrzymania. Każdy powinien magazynować w sobie takie dni, właśnie na później, na zapas.

Popatrzyła na niego bardzo uważnie, w skupieniu, zamyślona.

— Przypuszczam, że mówi pan o własnych doświadczeniach?

— Może. To nieważne. Myślę o pani. Proszę mi tylko jeszcze powiedzieć, jeśli to nie jest tajemnicą, ile pani ma lat?

— Czy to takie istotne? Skończyłam osiemnaście, jestem dużą dziewczynką.

— To może być ważne. Więc ile? Proszę...

— Urodziłam się w pięćdziesiątym, w lecie skończyłam trzydzieści dwa. Po co panu ta informacja? Dla celów meldunkowych?

— Tu nikt się nikomu nie melduje. Ale dziękuję za szczerość. Nie wygląda pani na wiek balzakowski.

— Pozory, proszę pana, to tylko pozory. Naprawdę, dlaczego chciał pan wiedzieć? Jestem strasznie ciekawa.

— Dla spokoju własnego sumienia — odrzekł niczego jej nie wyjaśniając. — Napije się pani jeszcze wina?

Oboje odczuli, że minął jakiś ważny, przełomowy moment, że coś zostało postanowione, choć żadne z nich nie wiedziało, co się zmieniło, więc może dlatego przyjęła propozycję, a gdy nalał spojrzała mu pytająco w oczy:

— Za co pijemy?

— Za odzyskany spokój. *Salute!*

— *Salute!* — powtórzyła i wypijała swoje wino.

Identyczność, powtarzalność pewnych sytuacji, słów, gestów nawet była tak zdumiewająca, że Krzemień odnosił chwilami wrażenie, iż żyje równocześnie na dwóch planach, tu teraz, mknący z szybkością pięćuset mil na godzinę w stronę przeczuwanych tylko przeznaczeń, i tam, przed czterdziestu laty w Lublinie, z matką tej młodej kobiety, wówczas osiemnastoletnią Dianą, dopiero wstępującą na szlak swoich z kolei przeznaczeń.

— Czy zna pani przypadkiem generała Pileckiego? — spytał.

— Wujcia Jurcia? Oczywiście, to najbliższy przyjaciel naszej rodziny. Zna go pan?

— Znałem kiedyś, bardzo już dawno temu, ale ostatnio znów o nim słyszałem.

— O tak, głośno o nim w prasie od czasu, jak przeszedł do administracji państwowej. To uroczy człowiek, uczył mnie jeździć konno, gdy byłam jeszcze małą dziewczynką.

— Zawsze był koniarzem — wtrącił Krzemień, jakby powtarzając zapamiętaną lekcję.

— Tak. Potem ja z kolei pomagałam jego córce, Marysi, uczyłam ją angielskiego.

Czując, że wkracza na teren, jakiego wolałby unikać mając w pamięci niedawne spotkanie w Zagrzebiu i możliwość, że przedwcześnie wypłył w rozmowie nazwisko Teresy, czego wolał na razie unikać nie znając Inki, wstał z fotela i wyrzwał przez okno samolotu. Dywan chmur do niedawna zasłaniający ziemię, pozostał poza nimi, lecieli teraz nad nieograniczoną niczym przestrzenią kanadyjskiej prerii, złotej w coraz niżej schodzącym słońcu, swobodnej i szerokiej, obiecującej czysty i wolny oddech płucom spragnionym powietrza. A gdy pochylił się i spojrzął ku przodowi, ucieszył się dawno oczekiwanym widokiem ciemnej na zachodzie smugi, tym razem nie przelotnych chmur, ale twardej, solidnej i konkretnej linii wysokich gór. Odwrócił się do Inki i wyciągnął do niej rękę.

— Niech pani spojrzy — powiedział — bo naprawdę warto. Widzi pani to czarne pasmo pod zachodzącym słońcem? Tam lećmy.

— Góry? — spytała niepewnie.

— Wielkie Góry Skaliste.

Otworzyły się drzwi od kabinki pilotów i kapitan Levitoux wkroczył w całej krasie swojej kraciatej koszuli, obcisłych dżinsów i kolorowo wyszywanych cholew butów na wysokim obcasie. Brakowało mu tylko kowbojskiego kapelusza, ale Krzemień wiedział, że znajdzie się i to uzupełnienie, zanim wysiądą z samolotu.

— Za piętnaście minut lądujemy — powiedział. — Lepiej, żebyście państwo zaczęli zapinać pasy. A tych śpiochów obudź dopiero na ziemi, nie ma się co spieszyć. I dziękuję za *lunch*, był znakomity.

Wrócili do foteli, Inka starannie zapięła pas, widać było, że bliskość celu podróży znów zaczęła ją niepokoić.

— Więc kiedy wracamy? — spytała.

— Poniedziałek nie będzie za późno?

— I chce pan wozić nas wszystkich po tych górach?

— Nie, oni wracają jutro po południu, jak tylko skończymy pracę.

— A my?

— W poniedziałek.

— Jak wrócimy?

— Zwyczajnie. Samolotem.

Wiedział, jak męcząca ją myśl rysuje się zmarszczką między

wyrazistymi brwiami, każe przykrywać powiekami oczy, zacinąć mocno zarysowane, piękne wargi.

— Proszę mi szczerze odpowiedzieć na jedno pytanie, dobrze?

— Prawie na każde.

— Czy pan nie liczy się z kosztami? Przecież to majątek...

Przechylił się w fotelu, po raz pierwszy poufale ujął ją za rękę.

— Pani Inko — powiedział najserdeczniej, jak umiał. — Stwórzmy na chwilę hipotetyczną sytuację, model, jak to lubicie w waszych socjologicznych rozważaniach nazywać. Założmy, że nie ma między nami różnicy wieku, zapomnijmy o niej na jakiś czas. Założmy dalej, że nagle powstaje między nami wielkie uczucie, miłość, wszystko. I że potem uderza tragedia, że musimy się rozstać, że nigdy już nie mamy się spotkać. I że po wielu, wielu latach, gdy jest pani już siwą, dostojną, starszą damą, przyjeżdża do Poznania mój syn... Proszę pamiętać, że sytuacja jest całkowicie hipotetyczna, bo dzieci nigdy nie miałem i mieć nie będę, ale to potrzebne jest do zbudowania modelu. Więc ten hipotetyczny syn odnajduje panią i ma możliwość spędzić z panią parę dni. Czy będzie pani liczyć się z pieniędzmi w takiej sytuacji?

Zmarszczka nie ustępowała spomiędzy jej brwi, ale usta straciły już twardą linię, skłonne były do uśmiechu.

— W teorii to wszystko piękne — powiedziała wreszcie — ale ja żyję tu i teraz, przez ostatnie trzy miesiące pojęłam dobrze, ile wart jest każdy dolar, jak ciężko go zarobić, jak wiele może kupić. Nie jestem skąpa, ale...

— Droga i miła Inko — powiedział ciągle trzymając jej dłoń w swojej — jestem samotnym, starszym panem, zarabiam nieźle, wydaję niewiele, a bardzo, ale to bardzo rzadko mam okazję gościć kogoś, na kim mi naprawdę zależy. Proszę nic więcej i nigdy już na ten temat nie mówić, dobrze? Jest pani moim gościem i tyle.

— Gości się nie porywa — próbowała jeszcze oponować, choć bez przekonania.

— Nie? A czytała pani o staropolskim zwyczaju odkręcania kół od karety? O zatrzymywaniu siłą? Chciałem powiedzieć inaczej, ale to byłoby nieładnie.

— Proszę się nie krępować, *I am a big girl now*.

— Słyszała pani o niewoleniu gości? — wyszeptał teatralnym, dramatycznym tonem i roześmiał się, gdy wyrwała rękę z jego uścisku.

— Nie — odrzekła stanowczo. — Ale za to dużo słyszałam o obleśnych starszych panach, pan wie, Lolita, te rzeczy.

Szum silników scichł, przeszedł w łagodny brzęczenie, maszyna spływała teraz ślizgowym lotem ku jasnej jeszcze ziemi, w

oknach kabiny pojawiać się zaczęły zarysy dalekich gór. Obaj młodzi ludzie na przednich fotelach kabiny poruszyli się niespokojnie, Pete wystawił zza poręczy głowę i spytał:

— Już? Dojeżdżamy?

Jan kiwnął głową, skupiony teraz i nagle zamyślony jak przed podjęciem jakiejś ważnej decyzji. Ale kiedy samolot lekko, niewyczuwalnie dotknął ziemi i potoczył się po pasie betonu aż pod jeden z bocznych hangarów, Krzemień odzyskał swój spokojny uśmiech, i zwracając się do Inki powiedział:

— *Nu i przyjechali.*

— Dlaczego po rosyjsku?

— Czy ja wiem? Takie głupie przyzwyczajenie. Przepraszam.

— Wie pan, my jesteśmy na te rzeczy bardzo uwrażliwieni.

— Ja też — odpowiedział wstając. — Może bardziej, niż pani myśli. Jesteśmy na miejscu, niech pani włoży płaszcz, bo tu bywa chłodno.

Levitoux otworzył drzwi, spuścił automatyczną drabinę i wysiadłszy z maszyny podawał kolejno wysiadającym rękę z uprzejmym ostrzeżeniem spoglądania pod nogi. Na głowie miał, oczywiście, ogromny kowbojski kapelusz z pawim piórem na froncie.

Owionęło ich ostre, rześkie powietrze wczesnego wieczoru, niebo paliło się czerwono nad dalekimi górami, wokół szumiało ruchem lotnisko, pełne aż po horyzont niebieskich lampek i kolorowych sygnałów. Po mokrym i dusznym Toronto znaleźli tu świat czysty, jasny i młody, pełen przestrzeni i świeżości tak bardzo potrzebnych oczom, sercom i umysłom.

Inka szła wśród swoich trzech towarzyszy spokojna, uśmiechnięta, choć wszystko wokół niej i przed nią było niespodzianką, nowością, może obietnicą? Krzemień niósł jej walizkę, wprowadził ich do jakiegoś budynku, usadawił ją w poczekalni, poprosił, żeby poczekała. Rozglądała się po czystym, jasnym wnętrzu, paliła papierosa i nie pytała o nic, gdyż wiedziała, że nie czeka jej rozczarowanie. A gdy wrócił podniosła na niego jasne spojrzenie i powiedziała:

— Wie pan, po raz pierwszy od kilkunastu lat czuję się zupełnie bezpieczna.

IV. KRAINA DZIKIEJ RÓŻY

Gdy zapukał do drzwi jej hotelowego pokoju i usłyszał zapraszające „proszę wejść” wiedział, że będzie to dobry dzień. Siedziała w fotelu przy półotwartych drzwiach balkonu, cała skąpana w słońcu, promienna, radosna i spokojna, słyszał to w jej głosie, widział w uśmiechu, czuł w otaczającym ją blasku.

— Dzień dobry — powiedział. — To ja. Jak się spało w tych Kalgarach?

— Dzień dobry, doskonale. Prawie jak w Szaflarach czy Kowarach. I dziękuję za śniadanie, tam bym takiego nie dostała.

Podążyła mu na przywitanie rękę, chciał przez sekundę złamać od dawna przyjęty zwyczaj nie całowania rąk żadnej kobiety, ale opanował się, uściśnął tylko serdecznie jej dłoń i przysiadł na stołeczku obok fotela.

— Wygląda pani na dobrze wypoczętą — powiedział zmuszając się do unikania zdawkowych komplementów. — Naprawdę odetchnęła pani po podróży?

Wychodząc wcześniej rano na konferencję i objazd terenu przyszytych zawodów zostawił w portierni polecenie, żeby nie budzono jej przed jedenastą i podano śniadanie do pokoju. Wiedział, że mimo zmiany stref czasu będzie musiała nadrobić zaległości, wczoraj wspomniała, że z Michigan jechała całą noc, prawie wcale nie spała w autobusie, a podczas lotu byli tak zajęci rozmową, że nie pomyślał o zaproponowaniu jej drzemki. Dlatego też zaraz po wczesnym obiedzie w hotelowej restauracji wyprawił ją na górę i zaopatrzył w lekki środek nasenny, chciał bowiem, żeby przez okres tych kilku dni była świeża, wypoczęta, gotowa przyjąć w siebie i na zawsze zachować całą tę urodę życia, jaką chciał jej ofiarować. Przez jakiś jeszcze czas siedział z kolegami w barze, wypił dwa koniaki i omówiwszy plan na dzień następny położył

się koło dziesiątej. Przez otwarte drzwi balkonu płynęło zimne powietrze podgórskiej nocy, chłodziło rozpaloną głowę, pozwalało myśleć spokojnie i rzeczowo.

Dlaczego ją tu przywiózł? W gruncie rzeczy postąpił bez sensu, wciągnął nieznaną kobietę w swoje życie i sam w jej życie wkroczył na krótko, ale na pewno nie bez śladu. Czy może właśnie o pozostawienie takiego śladu chodziło? O to, żeby po powrocie do Polski mogła powiedzieć Dianie, a wiesz, poznałam tego twojego Krzemienia, bardzo sympatyczny, wcale ci się nie dziwię, że coś was łączyło... I świetnie sobie daje radę, woził mnie samolotem po całej Kanadzie...

Zapałił papierosa i ze złością zdmuchnął zapałkę. Czy jestem dzieckiem? — pomyślał. — Chcę jej imponować? Czym? I po co? Pamięta mnie jednak, wie o mnie, przecież powiedziała córce, że w ostateczności... Więc ciągle mi jeszcze ufa? Po tym, co mi zrobiła? Ufa, że w razie potrzeby pomogę?

Mimo że od tamtego czasu upłynęło tak wiele lat, często myślał o swojej miłości do Diany, pamiętał noce w Kazimierzu, gdy po powrocie z sowieckiej niewoli odnalazł ją, dawną, piękną i kochającą Dianę z dni okupacji, gdy uwierzył, że czekała i kochała go, że wspólnie budować zaczną nowe życie wolne od wojny i przemocy. I pamiętał przyjazd Kasi do Szklarskiej Poręby, jej uwodzicielskie próby zakończone w wiadomy sposób, a potem jej pogardliwy śmiech, gdy powiedziała mu o tym, co Diana przez te trzy lata jego niewoli robiła, o jej mężu, oficerze sowieckiej Informacji przebrany dla niepoznaki w polski mundur... I list, którym Dianę pożegnał. I wiadomość przywieziona przez Pileckiego o jej prawie natychmiastowym po tym liście ślubie, małżeństwie z mieszkającym u nich na kwaterze wojskowym lekarzem, ojcem Inki... I to ostatnie, najbardziej niespodziewane spotkanie z Dianą na MDM, w przededniu odlotu z Polski, jej zrozpaczone oczy, jej błagające o coś spojrzenie, jej niema prośba o pomoc...

A więc pomagam, Dianio, twojej córce, odrzuciłem wszystko, dumę, żal, cierpienia tych wszystkich lat w Szklarskiej, Kowarach i Szaflarach, a potem za granicą, w Anglii i jeszcze tutaj, w Kanadzie, moje dwa nieudane małżeństwa, żadna z nich nie mogła ciebie zastąpić, bo ciągle jeszcze, przez lata cię kochałem, Dianio, aż kiedyś zrozumiałem, że wypaliło się to we mnie, poczułem się wolny, mając przeszło pięćdziesiąt lat nareszcie wolny i wkrótce potem zjawia się pani Janina Urgacz i prosi mnie o pomoc. Dla siebie? Dla ciebie, Dianio?

Postanowił nie palić więcej przed snem, ale jeszcze jeden papieros był konieczny, żeby odzyskać tak nagle utracony spokój,

równowagę ducha, jakiej dopracował się latami wysiłku, kontrolowania swoich emocji, wyrzekania się bezpłodnych marzeń. Kiedy w rok po przyjeździe do Londynu poznał Krystynę, pomyślał, że ta dziewczyna, dziecko prawie, pozwoli mu zapomnieć o Dianie. Byli oboje studentami, Krzemień zdał przyspieszoną maturę, której nie zdążył zrobić przed wojną, a zaniedbał w czasie okupacji, zajmując się innymi rzeczami, zapisał się na dziennikarstwo za radą ojca, uważającego, że kariera sportowa Janka skończyć się musiała gdy przekroczył trzydziestkę, ale zainteresowania i wiedzę nabytą poprzednio można i należało wykorzystać. Krystynę poznał w domu przyjaciół ojca, była jedną z tych patriotycznie wychowanych Polek urodzonych w Anglii, ale duszą i sercem oddanych Krajowi (przez duże K, oczywiście), którego nie tylko nigdy nie widziała, ale nawet nie zamierzała odwiedzić mimo popaździernikowych zmian. Pułkownik Grzymała, jej ojciec, z najwyższą pogardą mówił o tych zdrajcach, co wzięli się na lep propagandy i opuścili szeregi niezłomnych dla taniej w Polsce kariery. Nazwiska Cata-Mackiewicza nie wolno było u Grzymałów wymawiać.

Krystyna miała lat siedemnaście, Jan trzydzieści sześć, a mimo to wierzył, że będą z sobą szczęśliwi. Pokochał jej dziewczęce ciało, jej miękkość i delikatność, jej dobre maniery i cichy, opanywany głos... Po roku stwierdzili zgodnie, że nie mają sobie nic do powiedzenia, a sesje w łóżku nie zastąpią współzycia. Rozstali się zgodnie i bez żalu, Krystyna wkrótce potem poznała młodego malarza z Warszawy, przeniosła się do Polski mimo groźby wydziedziczenia, według ostatnich plotek miała czworo dzieci i była cudownie szczęśliwa, działała w kręgach „Solidarności”, razem z mężem produkowali jakieś podziemne pismo literacko-artystyczne... Nie wiedział, co się z nią stało po wprowadzeniu stanu wojennego, przypuszczał, że działała dalej, z nieco mniejszą energią, cichym uporem, wytrwałością...

Gdy był na ostatnim roku studiów, niespodziewanie natknął się na Stefana Rojewskiego, który w drodze z Ottawy do Hong Kongu wpadł na kieliszek wódki do „Ogniska”. Krzemień nie poznał go, ostatnio widzieli się w Lublinie, we wrześniu czterdziestego czwartego, Stefan nosił wtedy długą, rudą brodę, za którą, jak mawiał, ukrywał się, a Janek przyjechał na parę dni z wojska, miał już berlingowski mundur i gwiazdki na naramiennikach, co wcale nie przeszkadzało im dogadać się wspólnych przeżyć, wspomnień ze szkoły i partyzantki, pili wino i błaznowali, a Diana cieszyła się ich radością, jeszcze niewinna, jeszcze ufna, jeszcze bezpieczna...

Wstał teraz i podszedł do otwartych drzwi balkonu. Wyso-

kie domy centrum Calgary świeciły tysiącami okien, gasiły blask zimnych gwiazd na niebie sięgającym aż po horyzont, gdzie niewruszenie stały dalekie góry. Puste o tej porze ulice, czasem zapóźnione auto, nigdzie ani śladu człowieka. „Zgasić światło”, przypomniał sobie nawoływania z podwórza, gdy nad Lublinem pojawił się niemiecki samolot, a Stefan, wychylny z okna, rzucał w odpowiedzi na bruk żarówki i cieszył się ich detonacjami jak małe dziecko...

Tak czy inaczej, Stefan poznał go w jednej chwili, chwycił w swoje potężne ramiona, wyściskał, wycałował. O Dianie nie mówili, Krzemień krótko uciął ten temat, Rojewski też miał inne sprawy na głowie, był specjalistą handlu międzynarodowego w swojej gazecie, jechał właśnie na wielką konferencję, słysząc nawet nie chciał o sprzeciwie, gdy tylko Janek skończy studia, przeniesie się do Kanady, już tam będzie na niego czekać dobra posada, my stara partyzancka wiara nie możemy się nie popierać. Wypili pod te projekty, a ku zdumieniu Krzemienia okazało się, że kolega dotrzymał słowa, w rok później opijali pierwsze dziennikarskie kroki w barze na Yonge Street, w samym sercu Toronto. Wołał wtedy nie myśleć o tym, że Stefana poznał przez Dianę, nie chciał jej nic zawdzięczać, nawet pośrednio, rzucił się w nową pracę, niedługo potem poznał Margaret, kierowniczkę działu mody w jednej z tamtejszych stacji telewizyjnych, dzięki niej przeszedł do CBC, a w miesiąc potem zaproponowała mu małżeństwo, na co przystał, spragniony domu, którego nie miał od wczesnej młodości, zmęczony samotnością i przelotnymi przygodami o czysto erotycznym znaczeniu, nic więcej. I jeśli z Krystyną łączył go tylko seks, w drugim małżeństwie tego właśnie zabrakło. Margaret, schludna, spokojna protestantka o mocnych przekonaniach etycznych i jeszcze mocniejszej wierze we wszechpotęgę pieniądza, uważała małżeństwo za drogę do urzędującego sobie spokojnego, uregulowanego życia, ale „te rzeczy”, jak je nazywała, przestały ją interesować, gdy tylko dostała męża. W dodatku postanowiła go całkowicie nawrócić na brytyjskość, czemu Krzemień od dzieciństwa zakochany we wszystkim, co angielskie, na razie się nie sprzeciwił, ale gdy posunęła się już do tego, że kazała się nazywać Mrs. Stone twierdząc, że nazwiska Krzemień żaden cywilizowany człowiek nawet nie spróbuje wymówić, przyszedł moment otrzeźwienia i pełnej identyfikacji z polskością, nigdy nie zapomnianą, ale czasami ustępującą przed oszołomieniem czarami stałego pobytu w kręgu kultury anglosaskiej. Po jednej ze scysji na te tematy Krzemień w odpowiedzi zaczął nazywać żonę Mrs. Flintstone, co doprowadzało ją do furii, zwłaszcza gdy porównywał ją do bohaterki popularnych kreskówek.

Rozstali się więc szybko i bez konfliktów, spotykali przypadkowo w sklepach czy na zawodowych konferencjach, mówili wzajemnie parę miłych słów i rozchodzili z mocnym postanowieniem unikania na przyszłość. Przynajmniej ta historia nie miała z Dianą nic wspólnego, ale zostawiła wielką, niezaspokojoną tęsknotę za miłością, nawet tak bardzo spóźnioną, nawet beznadziejną, ale prawdziwą. Jestem po prostu niedopieszczony, mruknął w końcu, wrócił do łóżka i do szóstej rano spał zupełnie dobrze.

A teraz patrzył na Inkę wypoczywającą w słonecznej smudze, w której dym z papierosa unosił się błękitnie, przyglądał się jej bezkarnie korzystając z tego, że twarz z zamkniętymi oczyma wystawiała na pieśczętę jesiennego słońca. Jeszcze wczoraj, w samolocie, gdy zdjęła żakiet i w obcisłym sweterku kręciła się po kabinie, zauważył piękno jej piersi i pomyślał, że gdyby nawet nie wiedział, czyją była córką, to jedno podpowiedziałyby mu wspomnieniem, zachowanym na zawsze w każdym i we wszystkich zmysłach. Dzisiaj miała na sobie gruby, brązowy sweter, a mimo to widział, jak wspaniale jest zbudowana, potem przeniósł spojrzenie na trzymającą papieros rękę, zauważył, że zamiast wczorajszej obrączki nosiła gruby, szeroki pierścień z głęboko osadzonym, pojedynczym brylantem, coś mu się przez ułamek sekundy przypomniało, ale natychmiast zniknęło, gdy Inka otworzyła oczy i odpowiedziała:

— Tak, odpoczęłam znakomicie. A pan?

— Och, ja już zdążyłem wszystko załatwić.

— Wszystko? A gdzie nasi towarzysze?

— Levitoux z drugim pilotem, którego pani widziała, pojechali do jego rodziców, wrócą po południu, żeby zabrać moich panów z powrotem do Toronto. A my — czy jesteśmy gotowi?

— Gotowi na co?

— Na podbój nowego świata. Poważnie: czy jest pani na tyle wypoczęta, żeby wyruszyć dalej?

Patrzyła mu długo w oczy, intensywnie, badawczo, bardzo poważnie, aż w końcu cicho i bez uśmiechu powiedziała:

— Tak. Jestem gotowa.

Istotnie, okazało się, że spakowana walizka stała już na stojaku, podał jej tylko płaszcz i zwiózł windą do hallu, lekceważąco wyminął portiernię, a na wahający gest Inki mruknął, że to już załatwione i że obiecała mu nie wtrącać się do takich spraw, wyprowadził ją przed hotel, gdzie na najbliższym parkingu stało duże, czerwone auto.

— Niestety — usprawiedliwiał się otwierając przed nią drzwi — ani u Avisy, ani u Hertza nie mieli wozu z opuszczanym dachem, przezroczysty musi nam wystarczyć.

— Czy pan ciągle pamięta „Bluzeczkę zamszową”?

— A pani? Przecież to piosenka mojego pokolenia.

— O, ja jestem w starych piosenkach dobrze wyedukowana.

— Czy pani lubi Brahmsa? — spytał żartem, wyprowadzając wóz na ulicę.

Nie odpowiedziała, zajęta nakładaniem dużych, przeciwśrodkowych okularów, a potem pochłonięta oglądaniem ulic, przez które ich czerwony Trans-Am sunął powoli i statecznie. Krzemień postanowił na czas jakiś zrezygnować z podtekstów i zaczął opowiadać jej historię tej półmilionowej metropolii wyrosłej u podnóża gór, na granicy bezkresnych prerii. Mówił więc, jak polowali tu, żyli i ginęli wojownicy z plemienia Czarnych Stóp, o początkach miasta będącego niczym więcej, niż wielkim targiem bydła, o odkryciu potem nafty, raptownym wzroście, napływie ludności i bogactwie, pokazywał jej kryte korytarze łączące szereg wieżowców śródmieścia, inaczej niż w Toronto i Montrealu, gdzie zimą życie handlowe schodzi pod ziemię, podczas gdy tu, symbolicznie nieomal, wznosi się nad powierzchnię i śmiało spogląda w stronę gór. Pokazywał mijane w drodze parkingi zaopatrzone w elektryczne kontakty, tak aby zostawiając wóz na mrozie nie trzeba się było martwić o szybki start, starał się zainteresować ją wszystkim tym egzotycznym i nowym, jakby w ten sposób oddalić pragnął nieuniknione pytanie — co potem?

Nim skończył mówić, pędzili już po czarnej bieżni transkandyjskiej szosy Nr 1, coraz ostrzejszymi zakrętami wchodzili we wnętrza wysokich gór, stopniowo zwierających się wokół nich ostrymi szczytami i ścianami szarych, gęsto porośniętych drzewami zboczy. Lasy paliły się we wczesnopołudniowym blasku wszystkimi odcieniami złota i czerwieni, ale powoli klony ustępować zaczęły miejsca iglastym lasom i kosodrzewinie zarastającej pobocza szosy, podchodzącym pod samą taśmę jezdni, jakby na powitanie w tych wysokich górach.

Inka nie podjęła rozmowy, była bardzo skupiona, patrzyła na boki niby z zainteresowaniem, ale nie usłyszała od niej ani jednego okrzyku zachwyty czy entuzjazmu, nie wskazała mu ani razu na szerokie doliny otwierające się to z jednej, to z drugiej strony szosy, nie pytała go nawet o egzotycznie wyglądające zabudowania starych oberży czy moteli, czasami pojawiające się zza zakrętu. Prowadził więc wóz w milczeniu, wygodnie rozparty w szerokim siedzeniu, kierownicę trzymał palcami lewej ręki, prawą wybijał na kolanie takt jakiejś melodii, która dźwięczała mu w myśli. Nie mógł jej zidentyfikować, sądził, że była to X Rapsodia Liszta, zapamiętana jeszcze z bardzo wczesnej młodości jak hymn radosnego, szczęśliwego dnia. Miał kiedyś taką zimę, gdy mieszkał

podczas wojny u przyjaciela, a ten umiał wspólne wieczory grając na pianinie, i wtedy to właśnie, gdy Janek wrócił z jakiejś narciarskiej wyprawy, kradzionej okupacyjnej rzeczywistości, cały rozgrzany słońcem i wiatrem, pachnący pocałunkami dziewczyny, tamten powitał go tą melodią jak zwycięską fanfarą. Odtąd kojarzyła mu się często z górami, zarówno tamtymi, w Polsce, w których przeżył prawie dziesięć lat, jak i tutejszymi, Skalistymi, dokąd zimą uciekał na narciarskie urlopy z zadymionego i wilgotnego miasta.

— A wie pani — powiedział wreszcie — że i ja mieszkałem okresowo w Kowarach.

— Naprawdę? — zdziwiła się. — W sanatorium?

— Nie, ale i tam zaglądałem, miałem tam przyjaciela. A co pani tam robiła, jeśli wolno wiedzieć?

Było to pierwsze od momentu spotkania osobiste pytanie, jakie jej zadał, uznał jednak, że skoro mają spędzić razem te cztery dni, czas zacząć mówić szczerze, wiedział bowiem, że prędzej czy później do rozmowy o Dianie dojść musi.

Zachmurzyła się i sięgnęła po papierosa, jak to robiła za każdym razem, gdy chciała zyskać na czasie. Podał jej zapalniczkę, czekał, nie ustępował.

— Och, to było w moim czarnym okresie — wyrzekła wreszcie niechętnie i zmarszczyła brwi, skrzywiła wydatne wargi.

— Czarnym okresie?!

— Tak. Miałam taki w czasie studiów, ściślej mówiąc po Gdańsku. Wie pan kiedy, w siedemdziesiątym roku.

— Wiem. Na tyle jestem obznajomiony z narodowym kalendarzem. Ale dlaczego?

Widział, że zastanawiała się, czy w ogóle ma o tym mówić, potem potrząsnęła głową jakby w milczącym dialogu samej z sobą i spojrzała na niego spoza okularów.

— Czy chce pan wszystko o mnie wiedzieć?

— Tyle tylko, ile pani sama zechce mi powiedzieć.

— Dobrze, powiem panu wszystko, prawie wszystko, ale jeszcze nie teraz, dobrze? A w ogóle proszę mi wybaczyć, że dzisiaj nie jestem najweselszą towarzyszką podróży. Ale to mi zaraz minie.

Skinął głową, obie ręce położył na kierownicy, wyprzedzał trzy pod rząd ciężarówki, raz po raz musiał manewrować biegami, zmieniał linie, cały czas drąc auto ostro pod górę. Nie, to nie była chwila na zwierzenia, tym bardziej, że wąwóz, przez który jechali otworzył się nagle szeroko, ukazując sceneryę gór tak wspaniałą, że Inka nie mogła powstrzymać okrzyku.

— Boże! — zawołała. — Jak tu cudownie!

— Jesteśmy w Banff — odrzekł. — I tu spędzimy nasze wakacje.

Wjechali w zamkniętą trójkątną skałą ulicę małego, kolorowego miasteczka, między domy będące czasem imitacją bawarskich czy tyrolskich stylów, to znów udające indiański prymityw, czy zgoła silące się na wielkomiejskość, obwieszone reklamami i ogłoszeniami, minął je, skręcił w jakąś w dół wiodącą drogę i Inka znów rozłożyła ramiona, jakby chciała objąć całe to piękno otwierające się przed nimi. Bo oto u końca ulicy, w dole stał dom z bajki, inaczej potem nie umiała go nazwać. Był to pałac, jakie widuje się tylko na bardzo starych filmach, potężna, siedmio- czy ośmiopiętrowa budowla z czerwonej cegły, zwieńczona mnóstwem przybudówek, wieżyczek, mansard, ale nabudowanych tak proporcjonalnie i zręcznie, że to wiktoriańskie чудо wyglądało istotnie jak pałac z dziewiętnastowiecznej bajki. Usiadłszy u stóp stromej góry odbijał się w zakolu rzeki, czy raczej szerokiego, górskiego strumienia, jak marzenie o spokoju, ciszy i najpełniejszym wypoczynku, wśród płonących złotem klonów, pod czystym niebem leciutko tylko przesłoniętym siatką białych obłoków, oddalony od tandetnej kolorowości miasteczka dom ten obiecywał piękno, dobro i ciepło.

— I tu się zatrzymamy — powiedział Krzemień i zahamował wóz.

A potem wprowadził ją do przestronnego hallu, gdzie czerwień, złoto i miękkość aksamitów wypełniały wysoką komnatę, posadził ją w głębokim, wygodnym fotelu, sam poszedł załatwiać zameldowanie w recepcji, a gdy wyciągnęła do niego rękę z paszportem, mimo że bardzo chciał sprawdzić datę jej urodzenia, pokręcił przecząco głową.

— Niech pani to schowa — powiedział z uśmiechem — bo łatwo zgubić i potem przykrość.

— Ale przecież muszę...

— Wszystko już załatwione. Pozwoliłem sobie zarejestrować panią jako Mrs. Krzemień, mam nadzieję, że mi pani wybaczy. Mamy sąsiednie pokoje na siódmym piętrze, wspólny balkon. Jedźmy od razu na górę, proszę, tu jest pani klucz. Zajdę po panią za pół godziny, nie będzie za wcześnie na małego *drink'a*?

Mówiąc prowadził ją do windy, otwierał i zamykał drzwi, przerzucał z ręki do ręki jej walizkę, swoją torbę, oba płaszcze, starał się być bardzo zajęty i rzeczowy, dopiero przed drzwiami jej pokoju pochylił przed nią siwą głowę i dodał zupełnie cicho:

— Zrobię wszystko, żeby było tu pani dobrze. Bardzo dobrze.

Ale kiedy po godzinie wszedł do jej pokoju, był znowu bez-

troski i rozgadany. Pod pachą niósł ciemną, matową butelkę, w rękę trzymał niewielką książeczkę. Zdążył zmienić koszulę i krawat, chociaż był ciągle w tej co wczoraj marynarce z grubego, szorstkiego tweedu, za co ją od razu przeprosił tłumacząc się, że nie był przygotowany na towarzystwo wyjeżdżając z Toronto, będzie więc musiała cierpieć go w tym samym stroju przez resztę pobytu.

Stali w progu balkonu, na tle ostrej i wysokiej skały wyrastającej naprzeciw okien, słońce rozpałiło na niej drzewa najwspanialszymi kolorami jesieni, było ciepło, pogodnie, bezpiecznie.

— Skąd pan wynalazł taki rajski zakątek? — spytała, gdy nalał koniak i podawszy jej szklanekę, wyszedł za nią na zewnątrz.

— O, to długa historia. Był taki wielki polski malarz, Malczewski...

— Jacek?

— Nie, Rafał, jego syn. Przed wojną najlepszy malarz Tatr, znalazł się później w Kanadzie i rozkochał się w tutejszych górach. Poznałem go kiedyś przypadkowo, a chociaż należał do pokolenia mojego ojca, zaprzyjaźniliśmy się serdecznie. Dowiedział się kiedyś o mojej narciarskiej przeszłości i namówił mnie na pierwszy urlop właśnie tutaj... I tak już przywykłem do tej, jak ją nazywają, Krainy Dzikiej Róży.

Wrócił do pokoju, podniósł ze stołu swoją książeczkę i cofnąwszy się na balkon dodał:

— Ilekroć tu przyjeżdżam, zawsze wożę z sobą jego kanadyjskie opowiadania. Wydał je na rok przed śmiercią, ale dla mnie żyje on ciągle w książce. Proszę, niech pani posłucha tylko tego początku.

Przysiadł na poręczu balkonu, jakby wtopiony w ten kolorowy, ciepły krajobraz, i zaczął cicho czytać:

— *Siedzę na kępcze zeschniętych traw i maluję. Przede mną zaśnieżony szczyt wynurzający się z mgieł. Dołem lasy szpilkowe, niżej, prawie u moich stóp płynie rzeka, zielona, górską rzeka. Mógłby to być Poprad lub Dunajec, może Białka. Jest październik — niebo takie samo jak nad Tatrami. Panuje niezmaczona cisza, słońce rozgania mgły, świat nabiera ostrości, złudzenie pierzcha, to inna ziemia, nieznanne góry, rzeka inna. Toczą się jej wody gładko i cicho, mocno zielone, malachitowo-turkusowe, nie te niezapomnianej barwy jasnej, rezedowej, pełne lśnienie, gwarów i szumów. Lasy też inne. Smreki smukłe jak iglice, wielkie cedry jak wieże gotyckiej katedry, hemloki podobne do cisów. Góry też niepodobne, nieznanne, nienazwane, obce...*

Odwróciła się, podniosła ręce do twarzy, długo tak stała,

wpatrzona w siebie, nie widząc wspaniałości przyrody, potem uniosła głowę i powiedziała po prostu:

— Jakie to piękne. I jakie strasznie smutne.

I niespodziewanie pogładziła go po ramieniu gestem tak dobrze znajomym, że aż przeraził się siły przypomnienia. Diano, chciał zawołać, więc wróciłaś, jesteś... Ale stała przed nim obca, młoda kobieta, zupełnie do Diany niepodobna, przypominająca ją tylko zarysem brwi i warg, otwartością spojrzenia szarych, ufnych oczu, ale inna, zupełnie inna... Ujął tę współczującą dłoń, podniósł do ust i pocałował. I stali tak przez długą, nieskończone długą chwilę zbliżenia i zrozumienia, wśród powoli zapadającego wieczoru, choć ciągle jeszcze w ciepłe zachodzącego za górami słońca.

Nagle Krzemień odsunął od ust jej rękę, spojrzął uważnie na pierścionek i zawahawszy się przez moment rzekł:

— Czy pamięta pani swoją babcinę?

— Brunową? — spytała natychmiast.

— Tak. Moja znajomość linii Małyniczów równa jest zeru.

A więc zdobył się na to, przełamał, wypowiedziane zostało głośno nazwisko, dwa nazwiska, Diany i jej męża, ojca Inki, nazwiska, których od lat zabraniał sobie wymienić nawet w myśli, oddzieliwszy je od wspomnień Diany pozostającej nienazwaną, tylko Dianą właśnie, bez powiązań, bez materialnego bytu w ciągu tych wszystkich lat, chociaż była, żyć musiała, ta młoda kobieta stojąca przed nim w ciepłym świetle wieczoru była tego najżywszym dowodem, a przecież nie chciał się pogodzić z tym, że gdzieś tam, najdalej, Diana żyje pod czymś dachem, współżyje, śpi z innym człowiekiem... Miał ją ciągle w sobie, całą tylko dla siebie, chociaż odebrała mu ją kiedyś świadomość, że zaniem wrócił, należała do innego, obcego, wroga... Dlatego nie chciał myśleć o niej w sposób konkretny, jak o kimś żywym, umieścić ją w sferze swojej własnej, najtajniejszej legendy, a wymówienie jej nazwiska byłoby sprowadzeniem jej z krainy marzeń i wspomnień na płaski, codzienny grunt rzeczywistości, o której lepiej nie myśleć, zwłaszcza, gdy człowiek dobiega sześćdziesiątki i niewiele już od życia się spodziewa. A teraz nagle, bez wysiłku, bez bólu nawet usłyszał te dwa wykreślone ze świadomości nazwiska... I nic przy tym nie poczuł, to dziwne.

— Czy poznał pan jej pierścionek?

— Tak, tak mi się przynajmniej zdaje. Nosiała go zawsze na prawym ręku, na średnim palcu, prawda?

Potaknęła bez słowa i raz jeszcze położyła mu rękę na ramieniu, a potem sięgnęła za siebie, po szklaneczkę koniaku.

— *Salute?* — spytała z uśmiechem.

— Czuł, że nie może odpowiedzieć, coś dławilo w gardle, kiwnął tylko głową i wypił łąpczywie, po szewsku, do dna.

— Tak, to pamiątka po babci Rinie — w zamyśleniu powiedziała Inka, sącząc swój koniak małymi łydkami, a Krzemień jak w blasku nagłej błyskawicy zobaczył przybitą pineskami wizytówkę w spisie lokatorów, gdy przyświecając sobie zapalniczką, na pół przytomny po całodziennym pijaństwie, odnalazł adres Diany i złożył jej pierwszą wizytę. Tak, oczywiście, „Irina Brunowa, wdowa”, przeczytał wtedy i potem jakoś nigdy nie zastanawiał się nad tym imieniem, choć dobrze miał poznać historię matki Diany, jej ucieczkę ze zrewolucjonizowanej Rosji, gdy była świadkiem zamordowania rodziców przez bandę czerwonogwardzistów, jej próby spolonizowania się do końca...

— ...zostawiła mi go — mówiła tymczasem Inka — na prezent ślubny, jako najdroższą pamiątkę rodzinną, jedyną rzecz, jaką z domu swoich rodziców wyniosła. I to chyba wszystko, co wiem o nich, o jej przeszłości, pamiętam tylko ten jej piękny, kresowy akcent...

— Nic pani nie wie o swojej prababce?

— Nie, nawet jak się nazywała. U nas w rodzinie w ogóle mało się mówi o przeszłości, nie zachowujemy żadnych tradycji. A przecież umarli żyją tak długo, jak długo ktoś ich pamięta, prawda? Czy choćby tylko wspomina.

Czy powinien jej powiedzieć, że nazywała się Orłowa, że podobno była kaukaską księżniczką, romantycznie porwaną przez carskiego oficera, po to tylko, żeby wraz z nim zginąć najokrutniej w osiemnastym roku? Że po niej to Diana odziedziczyła tę wspianiałą, orientalną niemal urodę, tak jak po matce sposób wymawiania niektórych spółgłosek, tego wschodniopolskiego „ł”, ale po co miał jej to mówić, jeśli nie wyniosła tego z domu, nie dostała od matki? Zbyt wiele tam było spraw trudnych, spraw do ukrycia, a nie do dzielenia się nimi z młodą dziewczyną...

— Tak — zgodził się. — To samo można powiedzieć i o żywych.

— A jednak mnie do pana przysłała — rzekła nagle i zdecydowanie, głosem tak ostrym, że Krzemień oparł się o poręcz balkonu i spojrzął na nią, zdumiony, starając się w szybko zapadającym mroku zobaczyć wyraz jej oczu, bo głos powiedział mu wiele, ale nie wszystko. Opanował się jednak i teraz on podniósł szklaneczkę dodając:

— Za wierną pamięć. *Salute!*

Koniak zaczął powoli działać, oboje stali się odważniejsi, gotowi wreszcie do szczerzej rozmowy zamiast towarzyskich konwersacji, pełnych wprawdzie ukrytych treści i podtekstów, ale

od szczerości dalekich. Czy miał podjąć wyzwanie? Czy nie za wcześnie? I czy był na tę rozmowę gotowy? Nie, zdecydował, poczekajmy do nocy, wtedy lepiej się rozmawia o sprawach mających być podsumowaniem całego życia, wyjaśnieniem wielu tajemnic, nigdy do końca nie wyjawionych, nawet przed samym sobą. Ta kobieta, stojąca teraz prosto, odważnie, patrząca z mroku tymi szarymi, szeroko osadzonymi oczyma, ciekawiła go coraz bardziej, nie tylko jako córka Diany, ale jako Janina Urgacz, Inka...

— Czy nazywają panią Inką po to, żeby ukryć pierwszy człon imienia? — zaryzykował mimo wszystko.

— Czy nie jest pan zbyt próżny, panie Janie?

— Może. Chyba. Na pewno. Po prostu pytałem.

— Nie wiem, na jaką, czy czyją cześć tak mnie nazwano. U nas, jak mówiłam, nie dyskutuje się na te tematy. Są pewne tabu...

Przerwała, zamyśliła się i nagle, bez zdawało się najmniejszego powodu, rozplakała się głośno, rozpaczliwie. Krzemień, nie myśląc, instynktownie zrobił ten jeden, decydujący krok i oto miał ją już w ramionach, jej ręce wokół szyi, głowę na swym ramieniu, tuż przy twarzy zapach jej włosów, ich miękkie, delikatne futerko poddające się pieszczocie jego palców, jej piersi, jej ciało przylegające mocno i gorąco, to biedne ciało wstrząsane teraz płaczem, ciało Diany, nie, obcej, pociągającej młodej kobiety, która Dianą nie była a przecież była tak bliska, tak znajomie bliska...

Nie przestając jej obejmować, drugą ręką sięgnął do kieszeni, próbował podać jej chustkę, mówił cicho i uspokajająco:

— No, dobrze już, dobrze, nie trzeba płakać, Inko, duże dziewczynki nie płaczą. Proszę wytrzeć nos, nie trzeba płakać, naprawdę nie trzeba.

Nie przestawał głaskać jej włosów, próbował jednak podnieść jej twarz i zajrzeć w oczy, ale wtuliła się jeszcze mocniej i nagle głośno, do siebie jakby zawołała:

— Jestem tak strasznie, tak okropnie nieszczęśliwa — i znów zaniosła się płaczem, niepowstrzymanym, dziecinny, głośny.

Delikatnie, niedostrzegalnymi prawie ruchami przesuwając się zaczął w stronę fotela, chciał uwolnić się z tego objęcia, nie, wcale nie chciał, niechby tak trwało, jej ciało, jej zapach, bicie jej serca i rozdzierający płacz, a przecież trzeba było jakoś to rozwiązać, jakoś jej pomóc, porozmawiać po męsku, co za nonsens, rozmawiać po męsku z kimś, kto jest uosobieniem kobiecości, wszystkim napiętniejszym, czym kobieta być może, kimś najbliższym, Dianą i nie Dianą, najbardziej znajomą i pociągająco nieznaną...

Pochylił się, pozwolił jej opaść na fotel, rozluźnił uścisk jej

ramion, zsunął je z szyi, ale zanim się wyprostował, wyszeptał jeszcze z bliska w jej włosy, w ich puszystą miękkość, cały jeszcze pełen zapachu i dotyku jej ciała:

— Cichutko, Inko, nie trzeba płakać. Niech pani teraz odpocznie, potem proszę się przebrać, wypięknąć, zabiorę panią na wspaniałą kolację, w jasnym świetle wszystko wyda się łatwiejsze, prostsze. Przyjdę po panią za godzinę, dobrze?

Cofał się powoli, tyłem do drzwi, nie widział jej w mroku, mówił do cienia skulonego w fotelu na tle jasnego zarysu nocy za oknem, tym głośnym szepceniem utrzymywał więź jaka ich przed chwilą dotykalnie łączyła. A potem otworzył drzwi i wysunął się na jasno oświetlony korytarz, gdzie nie było miejsca na czary i zaklęcia. Ani zjawy z przeszłości.

Kiedy po godzinie zapukał do jej drzwi, otworzyła mu natychmiast. Gruby sweter zamieniła teraz na wieczorową bluzkę, wysoki, ciasny kołnierzyk ostro kontrastował z nagimi ramionami, czerń połyskliwego materiału podkreślała tę nagość niemal wyzywająco, ale twarz miała łagodną, uspokojoną. I tym razem nie nałożyła żadnego makijażu, cerę miała świeżą, prawie dziewczęcą, usta lekko tylko pociągnięte, oczy najdelikatniej podkreślone cieniem. Była opanowana, uprzejma, towarzyska, bez śladu niedawnych emocji.

— Czy wejdzie pan na sekundę?

— Nie, dziękuję, może nie teraz. Jestem pewny, że umiera pani z głodu, przecież nic nie jedliśmy od śniadania.

— Więc zaprasza mnie pan na ucztę?

Skłonił się i wyciągał do niej rękę, przyjęła ten gest z uśmiechem, starannie zamknęła za sobą drzwi i powiedziała po prostu:

— Chodźmy.

Siedzieli potem w sali nazwanej Alhambra, a urządzonej w stylu dziewiętnastowiecznej Europy, Inka zdała się na wybór swego towarzysza, Krzemień zamówił więc francuski obiad, wybrał lekkie wino, poskarżyła mu się bowiem, że wolałaby nie pić dużo, popołudniowy koniak pulsował bólem głowy, a chciała być w najlepszej formie, cieszyć się wszystkim, wchłonąć w siebie wszystko. Rozmawiali o Albercie, o historii tego malowniczego kraju, Jan obiecywał pokazać jej nazajutrz różne niespodzianki, wraz z nią cieszył się na ten następny dzień, choć wolał nie myśleć o godzinach, które od niego dzielił. Obiecywał sobie już tyle razy nie brać swojego Valium, od czasu powrotu z Europy udawało mu się tego unikać, ale obawiał się, że tym razem nie zaśnie bez pomocy. Na razie jednak był uroczym i zabawnym

kompanem, mówił jej o ludziach, jacy tu zajeżdżali, naftowych bogaczach i niebieskich ptakach, dyskretnie pokazywał jej charakterystyczne postaci, zachęcał do jedzenia, ostrożnie dolewał wina.

— Czy wolno zaprosić panią teraz na mały dansing? — spytał, gdy skończyli kawę.

— Dansing? Tutaj?

— Tak, przejdźmy obok, do następnej sali, powinni mieć tam dobry zespół jazzowy, niezbyt hałaśliwy, spokojny. Nie wiem, może będzie nawet grać Chuck Mangione, pamięta go pani z transmisji Olimpiady w Lake Placid? On tu często występuje.

— Rozpuszcza mnie pan — odparła. — Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz tańczyłam. Ale dobrze, chodźmy na króciutko.

Na pół ciemna salka nazywała się Saudance Cabaret, było tam niemal pusto, kilka zaledwie par kręciło się w takt wolnej melodii, którą ciągnął saksofonista, ktoś o nieznanym nazwisku, ale znający swój fach bez zarzutu. Krzemień zamówił koniak, poprosił ją do tańca i znów miał ją blisko przy sobie, znów czuł ją całą, wdychał zapach jej włosów, miał jej ramiona na sobie. Tańczyli bez słowa, oboje pełni niejasnych uczuć, próbujący siebie zrozumieć i pojąć, co się z nimi dzieje. Nie wiedział, o czym myślała, ale sam ciągle wracał do tamtego wieczora w czasie okupacji, gdy poznał Dianę, gdy przetańczył z nią parę godzin, gdy pojął, że miała być kimś więcej niż tylko przygodną towarzyszką miłego spotkania u wspólnych znajomych. Pamiętał, że powiedział jej wtedy o swoich marzeniach wyjazdu do Ameryki, gdy tylko skończy się wojna, o pragnieniu wyrwania się z ówczesnych problemów i powikłań, o tym, że chciałby być wolny... Jakże straszliwie, przeraźliwie ostrożnym trzeba być, gdy wypowiada się takie życzenia, myślał teraz trzymając w ramionach córkę Diany i tańcząc z nią w luksusowym hotelu, w samym sercu Gór Skalistych. Jestem wolny, myślał, i jestem niewolnikiem moich niespełnionych marzeń, jestem niezależny i samodzielny, a równocześnie oddałbym wszystko, żeby zamiast tej pięknej kobiety była tu ze mną Diana, ale nie ta prawdziwa, skażona na zawsze niezawinioną hańbą swojej przeszłości, ale tamta Diana z jesieni czterdziestego trzeciego, czysta, niewinna, ufna i słodka Diana mojej młodości...

Podziękował jej za taniec, spytał, czy nie jest zmęczona. Tak, powiedziała, czuje się nieco senna, mimo dobrze przespanej nocy poprzedniej nie nadrobiła jeszcze zaległości, a pewnie to także górskie powietrze no i ten koniak, wszystko to razem powoduje, że czuje lekki zawrót głowy, powinna się chyba położyć. Odwiozł ją więc na górę, pożegnał przed drzwiami jej pokoju i wszedł do siebie.

Nie zapalał światła, pozwalał, żeby księżyc oświetlał niewyraźnie zarysy obcych sprzętów, leżał nie rozbierając się i patrzył w przeszłość wywołaną tej nocy raz jeszcze, zawsze żywą, zawsze boleśnie żywą. Dopiero gdy usłyszał, jak cicho odsuwają się drzwi balkonowe, otworzył oczy i podniósłszy się na łokciu, spojrzął w tamtą stronę.

Ciemność rozpekła wąską smugą księżycowej jasności, stała w tym promieniu prawie naga, dostrzegł tylko, że otacza ją mgiełka jakiegoś najłżejszego stroju, widział wyraźnie jej nogi, wysokie i krągłe biodra, zarys piersi i ramion, zobaczył pokorne niemal pochylenie głowy i usłyszał słowa, które sam wypowiedział przed laty przychodząc do Diany:

— Czy mogę ci powiedzieć dobranoc?

V. SZLAKIEM ORLICH GNIAZD

Wsparty na łokciu, wpół uniesiony na łóżku, wpatrywał się w ledwie widoczną w mroku postać u drzwi balkonu, choć ciągle jeszcze miał pod powiekami ją całą, prześwietloną smugą światła, ponętną i tajemniczą, niespodziewanego choć może wyczekiwanego gościa.

— Czy długo jeszcze u drzwi twoich czekać mam na zmiłowanie? — spytała z ciemności. — Zimno mi... Czy mogę...?

Bez słowa odsunął się na bok, uniósł narzutę i koc, pod które wśliznęła się szybciej, niż zdążył o tym zamarzyć. Przez cienką materię dzielącą ich teraz czuł jak drży cała, nie wiedział, z zimna czy emocji, wołał nie pytać. A wtedy powiedziała błagalnie:

— Przytul mnie mocno, proszę.

Ciągle jeszcze nic nie mówiąc wyprostował lewe ramię, podsunął je pod ciepłą gładkość jej pleców, poczuł, jak owija je wokół siebie, miał teraz pod palcami niepowtarzalny, doskonały kształt jej piersi, i oto trzymam w drżącej dłoni, pomyślał słowami jakiegoś swojego młodzieńczego wiersza, rozbudzonego ptaka nocy, serce, co rozedrgane dzwoni, ale nie wiedział, czy bardziej poruszyło go dotknięcie jej ciała, czy świadomość, że ma w swoich rękach jej rozbudzone serce, nie umiał sobie na to pytanie odpowiedzieć i może odpowiedzieć nie chciał. A wtedy Inka raz jeszcze powtórzyła „przytul mnie, proszę” i już nie szukał żadnej odpowiedzi na żadne pytania.

Dopiero potem, gdy leżeli obok siebie, cisi i uspokojeni, zrozumiał, że spytać musi, inaczej to wszystko, całe ich spotkanie, cała ta noc straci jakikolwiek sens, niczego nie rozwiąże ani o niczym nie zdecyduje. Odwrócił więc w jej stronę głowę i choć bał się tego, co może usłyszeć, spytał:

— Dlaczego, Inko?

— Czy żałujesz?

Nie zmieniając pozycji, płasko wyciągnięta na plecach, z szeroko otwartymi oczyma wbitymi w sufit, na którym mżyło światło księżyca, powiedziała znużonym głosem:

— Dobrze, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, jeśli nie wystarczy ci to, że jestem. Daj mi tylko papierosa i słuchaj, ale uprzedzam, że nie będzie to wesoła historia.

Przywykłem już do niewesołych historii, pomyślał i zapalił obojgu papierosy, to będzie już druga w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, ale jakich wesołych historii spodziewać się można w pokoleniu moim czy w jej, następnym, pokoleniu?

— Nie — powiedział głośno — nie wystarczy mi twoje ciało, wiesz, że pragnę więcej.

Oderwała wzrok od sufitu, spojrzała na Jana z bliska, badawczo, widział, że zastanawia się nad każdym jego i swoim słowem.

— Nie wiem, czy mogę dać ci więcej. Ale spróbuję odpowiedzieć na twoje pytanie, może okrężną nieco drogą, spróbuję. Należy ci się przynajmniej wyjaśnienie, choćby dlatego, że wszystko właściwie zaczęło się przez ciebie i od ciebie. Jeszcze w siedemdziesiątym. Byłam wtedy trochę chora, nic poważnego, ale nie pojechałam z rodzicami na zimowe wakacje do Krynicy, jak zwykle to robiliśmy. Zostałam sama w domu i trochę z nudów zaczęłam kiedyś szperać w szafie matki. I znalazłam twoje listy, paczkę listów... I ten ostatni, w którym napisałeś jej całą prawdę. O niej. O tym wszystkim, o jej przeszłości, jej zakłamaniu, okrucieństwie, krzywdzie, jaką ci zrobiła. Bo, widzisz, ja ciebie dobrze zapamiętałam, jeszcze z dzieciństwa.

— Zapamiętałaś mnie? Skąd?

— Byłam jeszcze mała, matka, jak zwykle, przyjechała po mnie do szkoły, miałyśmy pojechać na MDM po jakieś zakupy, nie wiem, co takiego, gdy wtem, u wylotu Koszykowej, ledwieśmy wysiadły, nagle chwyciła mnie za rękę, ścisnęła z jakąś dziwną trwogą, a gdy spojrzałam nie mogłam jej poznać, twarz miała tragiczną, wykrzywioną straszliwym bólem, po chwili pokrytą łzami, szarpnęła mnie za rękę i wskazując przygarbioną sylwetkę mężczyzny, co właśnie nas minął powiedziała głucho, przejmująco: „Inko, popatrz i zapamiętaj tego człowieka, przyrzeknij, że nigdy go nie zapomnisz, pamiętaj”. „Ale dlaczego, mamo?”, spytałam. Przez chwilę nie odpowiadała, patrzyliśmy za tobą, jak odchodzisz, malejesz, niksiesz w perspektywie pustego placu, potem przesłonił cię przejeżdżający tramwaj i już cię nie było, zniknąłeś bez śladu, a wtedy ona powiedziała raz jeszcze: „Pamiętaj, to był człowiek bardzo ważny w naszym życiu”, i już nie poszłyśmy na zakupy, wciągnęła mnie do auta, a potem w

domu, przysłała wieczorem do mojego pokoju, zakłęta mnie, że-
bym nigdy nikomu o tym spotkaniu nie mówiła, nigdy... Więc
nie mówiłam, aż do dzisiaj, aż tobie.

Dopiero teraz, słuchając jej spokojnego, opanowanego głosu
zdał sobie sprawę, że istotnie, wtedy, gdy w przededniu wyjazdu
z Polski spotkał przypadkowo na ulicy Dianę, trzymała za rękę
małą dziewczynkę, miał ten obraz właściwie w oczach przez
wszystkie te lata, ale był zawsze tak zaabsorbowany wyrazem jej
twarzy, że nawet nie dostrzegł obecności tej małej... Małej...
Leżała teraz obok niego piękna, dojrzała kobieta, która przed
chwilą dała mu więcej rozkoszy, niż zdarzyło mu się zaznać od
lat, miał ciągle jeszcze we wszystkich zmysłach poczucie jej ciała,
wiedział, że zachowa ją w pamięci na zawsze, tę małą, ledwie
kiedyś zauważoną dziewczynkę z MDM...

— Więc kiedy znalazłam te listy, od razu wiedziałam, kto je
pisał, pomogły mi skryształizować cały mój stosunek do matki,
dzięki nim zrozumiałam, jaka była podła, okrutna, bezlitosna...
Nie tylko w stosunku do ciebie, wierz mi. Ale wtedy, w sie-
demdziesiątym, twoje listy pomogły mi stworzyć sobie własny,
prywatny azyl, zbudować moją własną, prywatną mitologię, w
której centrum stałeś ty, mój własny, wymarzony Lord Jim.

— Nigdy o sobie w ten sposób nie myślałem — wtrącił, ale
nie słuchała go, cała pogrążona we wspomnieniach.

— Tak, widziałam cię wyraźnie, jak odchodzisz, znikasz w
mroku zapomnienia, odrzucony i skrzywdzony przez wszystkich,
ale niepokonany, dumny. Poprosiłam jednego kolegę, zdolnego
grafika, żeby mi zrobił szkic, jasna sepia na czerpanym, starym
papierze, na zawsze rozdzielone dwa wierzchołki góry rzucające
okrutny cień na ongiś szczęśliwą równinę Patusanu, a na tym tle
napis, cytując Conrada: „Odchodzi od żywej kobiety, aby zawrzeć
bezlitosne śluby z mglistym ideałem postępowania”. Poczekaj,
nie przerywaj. Matka natychmiast kazała mi zdjąć ten, jak mó-
wiła, prowokacyjny obrazek, odmówiłam, była straszna awan-
tura, potem rozchorowałam się nerwowo, spędziłam trzy miesiące
w sanatorium w Kowarach, miałam dość czasu, żeby sobie to
wszystko przemyśleć. I nie tylko to. Dopiero tam się dowie-
działam o roli wojska w Gdańsku, w grudniu, dopiero tam
otworzyły mi się oczy na ten świątek, w jakim się wychowy-
wałam, zobaczyłam jasno, kim są ci ludzie, jakie to wszystko
zakłamane, pazerne, ohydne... I na tym tle twoja postać wystę-
powała coraz jaśniej, coraz wyraźniej, Janie Krzemieniu, stałeś
się dla mnie symbolem tego wszystkiego, czego mnie od dzieciń-
stwa pozbawiono, czego mi nigdy nie dano, czystości, uczciwości,
prawdy.

Wstał i nagi podszedł do jasnych od księżycy drzwi balkonu, oparł o szybę czoło i z zamkniętymi oczyma słuchał jej słów, tej najmniej spodziewanej rehabilitacji, uznania z ust kobiety, która była przecież córką Diany. Ale kiedy usłyszał, że podeszła i stanęła tuż za nim, tak blisko, że czuł na skórze pleców ucisk jej piersi, na całej długości nóg kształt i ciepło jej ud, jej kolan, jej goleni, odwrócił się i objąwszy ją mocno pocałował bez słowa w te usta. A potem powiedział:

— Nie ruszaj się, proszę, chcę cię taką właśnie widzieć, całą skąpaną w księżycu. I wypić z tobą toast za władcę tej góry, pod jego czujnym okiem. Nie widzisz? Spójrz tam, pod księżyc, między drzewa, gdzie błyska na nas ironicznie zielonym okiem, raz i raz, widzisz?

— Kto jest władcą tej góry? — spytała, przyjmując grę.

— Powiem ci jutro, na razie wypijemy za niego, kimkolwiek by nie był, za to, że dał nam tę noc.

Czekała posłuszna, nieruchoma jak stalowy posążek, cała pomalowana światłem, przyjęła z jego rąk szklaneczkę z ciemnym jak tajemny nektar koniakiem, wypijała do dna i powtórzyła:

— Kimkolwiek by nie był, dziękuję mu za tę noc.

Jan ostrożnie odstawił szklanki, przyciągnął ją i razem, zespoleni jak jedno ciało, osuwać się zaczęli w głąb ciemności, zapadać w milczenie podwójnej choć jednoczącej tajemnicy.

I tylko później, gdy podjęła swoją opowieść, pomyślał, że wszystkim potęgom, bez względu na to, kim były, dziękować musi, że ciało ma jeszcze sprawne i silne, że twardość mięśni i opaloną sprężystość skóry może bez wstydu pokazać tej kobiecie, która czubkami paznokci wodziła po jego piersi i w zamyśleniu powtarzała „a więc taki naprawdę jesteś, Krzemieniu”, jakby odkrywając go, przynosząc z krainy dziewczęcych marzeń w półsennej rzeczywistości tej księżycowej nocy w cieniu skalistej góry wiszącej nad ich pałacem z bajki. A równocześnie słuchał jej równego, monotonnego niemal głosu, wiedząc, że dano mu przywilej niezwykły, możliwość wysłuchania spowiedzi cudzego życia, które było również jego życiem.

— ... tak, to był czarny okres w moim życiu, choć miał on dopiero zacząć czasy znacznie gorsze. Ale na razie leżałam na werandzie sanatorium, patrzyłam na dalekie Karkonosze i próbowałam pozbierać resztki mojego systemu wartości, który, jakby to Wiech powiedział, rozsypał się w drobny mak, że go skleić nie było mowy... Cóż mogłam ocalić z wiary w godność i uczciwość rodziców, ich świata, środowiska mundurów i wojskowej symboliki? Co w ogóle wiedziałam o świecie poza tym środo-

wiskiem, o ludziach w cywilnych ubraniach? Postanowiłam pójść na studia, mimo że byłam nieco starsza od typowych pierwszorzeczników, zapisałam się na socjologię, ale to tylko pogłębiało rozdźwięk między tym, co słyszałam na uczelni a domem, z którego nie chciała mnie puścić. Bo, widzisz, ona miała to wszystko już od dawna pięknie zaplanowane.

Przerwała na moment, słyszał, że walczy ze słabością głosu, że usiłuje się opanować, poczuł jak pręży się jej ciało w jego objęciu.

— Upatrzyła go sobie już dawno, jeszcze w Dęblinie na promocji. Taki najładniejszy chłopak z całej wsi, wysoki, blondyn, oczka niebieskie i niewinne, cera jak u dziewczyny. I pierwsza lokata, złoty kordzik, nagroda ministra, cały ten kram. Muszę przyznać, że miała nosa. Zaczął się bardzo szybko wyróżniać, najpierw w konkursach krajowych, między pododdziałami i grupami, potem w całym bloku, stał się ulubieńcem kadeelów, pieśczochem demoludów. Kariera stała przed nim szeroko otwarta, typowali go na następcę Gagarina czy Hermaszewskiego, już nie pamiętam. A przede wszystkim na mojego męża.

Sięgnęła po papierosa, przyjęła bez słowa ogień i zaciągnęła się łapczywie.

— A w dodatku pochodzenie klasowe bez zarzutu, lepszego nie wymyślisz. Ojciec, stary pepeerowiec, niemal od dzieciństwa, razem z Machejkiem walczył przeciwko bandzie „Ognia”, potem posłował na sejm z tej swojej ziemi nowotarskiej czy nowosądeckiej, nie wiem nawet, matka z małorolnych i niegramotnych, a syn nieomal bohater narodowy, najlepszy myśliwiec bloku. Ożenić z nim córkę generała, wynająć na przyjęcie ślubne cały Klub Oficerski, strzelać korkami szampana! A on wziął mnie pierwszej nocy, zgwałcił jak dziewczkę od krów i pastwił się nade mną w najohydniejszy sposób. A potem za każdy razem, gdy wracał z tych swoich tryumfalnych wypraw, kazał mi powtarzać z nim te wszystkie najobrzydliwsze sztuczki, jakich go te moskiewskie kurwy nauczyły. O, Boże, ty nie możesz nawet wiedzieć, co ja wycierpiałam... *Oficersza*, oficerska dama, to była kariera mojej matki i taką sobie dla mnie wymarzyła. Próbowałam się jej poskarżyć, nawet nie chciała o tym słyszeć, zapatrzona w sławę swojego wspaniałego zięcia, pułkownika Józefa Urgacza. Wiesz po kim to imię, prawda? Urodził się przecież w pięćdziesiątym pierwszym, kiedy to jeszcze słońce narodów lśnił pełnym blaskiem... A to się liczy, nawet dzisiaj, ludzie pamiętają i cenią, zwłaszcza ci, co ciągle od tego czasu są u władzy. A ona pławi się w tym blasku, trzeba ci ją było widzieć, jak była wniebowzięta, gdy Jaruzelski ofiarował mu „Wilgę”...

— Co to jest wilga? — spytał cicho Jan.

— Nie wiesz? Cud polskiej techniki, najlepszy samolot sportowy. Może sobie teraz latać na dziewczynki nie oglądając się na mnie, chociaż i tak przez te ostatnie lata niewiele nas łączyło.

— Ale przecież macie dziecko, prawda?

— Tak, to była z mojej strony głupia naiwność. Zaraz na początku naszego małżeństwa, gdy jeszcze wierzyłam, że nie jest tak całkowicie zdemoralizowany, wrócił właśnie z manewrów w NRD i zabrał mnie do Kazimierza...

Jakby uderzony między oczy Jan poderwał się na pościeli, usiadł czujnie wyprostowany i zupełnie trzeźwy.

— Czy chcesz powiedzieć — spytał ostro — że poczęłaś z nim dziecko w Kazimierzu?

— Tak. Czy coś w tym złego?

Nie, nic, chciał jej odpowiedzieć, tylko dlaczego wszystko musi być zohydzone do końca, dlaczego nawet pielęgnowane w najtajniejszym wspomnieniu kazimierskie noce z Dianą muszą wracać zabrudzone wyobrażeniem tego innego, niedobrego związku dwojga wzajemnie nienawidzących się ludzi? Czy nie wolno zachować w sercu już żadnego piękna, żadnej czystości? I zaraz następna myśl, że przecież tamte noce zbrukane były kłamstwem Diany, nie były czyste, skażone zostały już w momencie jej zgody na wspólny wyjazd, jeśli postanowiła ukryć prawdę, oddać mu się dla interesu, dla ocalenia swojej reputacji na pewno znanej wielu ludziom w Lublinie, w wojsku... Przetarł dłonią twarz, zacisnął powieki, jakby wyrzucić chciał spod nich tamte obrazy od lat tkwiące najgłębiej, czasem najboleśniej, czasem najpiękniej.

— Nie — powiedział głośno. — Cóż mogło być w tym złego?

Inka podniosła się także, wsparła plecami o jego piersi, opasała jego ramieniem i nagle sennym, bardzo znużonym głosem wyszeptwała:

— Chcę, żebyś wiedział, że od tego czasu nikt... Że jesteś pierwszy. I jedyny... Taka jestem zmęczona, Janku...

Zaciążyła mu w ramionach, zaczął ją najdelikatniej kołysać, jak małe dziecko, jak małą dziewczynkę bardzo potrzebującą czułości i pomocy, a potem, sam nie wiedząc kiedy, zasnął tuląc ją w ramionach i o niczym już nie musiał pamiętać.

Obudził się w pełnym blasku dnia, gdy tylko usłyszał pukanie do drzwi z korytarza. Z przyzwyczajenia chciał spojrzeć na zegarek, ale w jednym momencie przypomniał sobie i to, jak rzucił bransoletkę na dywan, i to, dlaczego to zrobił, i Inkę wtuloną w jego ramiona, i wszystko, co między nimi ostatniej nocy zaszło,

wszystko to dziwne, piękne, bezsensowne?... Spodziewane? Zasluzone?

— *Come in!* — zawołał pamiętając, że nie zamknął drzwi, jak to zwykle robił w dobrych hotelach, starając się w ten sposób stworzyć złudzenie swobodnego zadomowienia.

I już była przy nim, na nim, wokół niego, obsypywała go pocałunkami, głaskała po włosach, ciepła, pachnąca, najbliższa po tej jednej nocy, własna. Nie przywykły do takiego pokazu uczucia Krzemień uśmiechał się zażenowany, ale Inka nie zwracała uwagi na jego zaskoczenie, zachowywała się jak małe dziecko nagle przywrócone rodzicom, spragnione piesszczot i czułości. I mówiła, niemal bez przerwy, gdy tylko odrywała usta od jego skóry, od jego twarzy, mówiła szybko, spieszenie, gorąco, nie ta sama milcząca Inka, jaką poznał poprzedniego dnia, ale ktoś całkiem nowy, oswobodzony z narzuconej sobie widocznie dyscypliny, radosny, szczęśliwy. Dowiedział się więc, że spał jak ma-
lutki chłopczyk, nie chciała go budzić, wyszła przez balkon, tak jak przyszła, potem paliła jeszcze na świeżym powietrzu, przy księżycu, nic nie słyszał, spał tak mocno, a ona już od godziny jest na nogach, wzięła prysznic, ale nie może dłużej bez niego wytrzymać, świat jest tak wspaniale piękny, czeka na nich, szkoda każdej zamarnowanej minuty, muszą natychmiast wyjść, zobaczyć to wszystko, a poza tym obiecał jej pokazać tę tajemnicę góry, czy pamięta?

Pamiętał wszystko i jeszcze znacznie więcej. Podczas gdy golił się w łazience, Inka zdążyła mu opowiedzieć o swoim pobycie w Ann Arbor, o próbach opanowania techniki komputerów, o samotności wśród ludzi, a Krzemień słuchając jej nie mógł przestać myśleć o podobnym ranku przed wielu, wielu laty, gdy przed oknem zamiast czerniejącej świerkami góry widział biały mur kazimierskiego klasztoru i słuchał głosu Diany opowiadającej o trzech samotnych latach, o wszystkim... prawie o wszystkim, poprawił się zaraz. Inko, pomyślał, przecież ty nie jesteś niczemu winna, nie możesz odpowiadać za postęпки twojej matki wtedy, gdy cię jeszcze nie było na świecie. Przywiozłem cię tutaj, bo chciałem dać ci chociaż krótkie parę dni radości i spokoju, zanim wrócisz do tego swojego świata pełnego smutku i konfliktów, do tego swojego piekielka, jakie stworzyła ci przecież i Diana...

Zmusił się do słuchania jej opowieści, szybko skończył golenie, gotowy dotrzymać danej sobie obietnicy.

— Chodźmy na szybkie śniadanie — powiedział, gdy już był ubrany — a potem ruszamy na podbój świata. Ale... Inko, czy nie masz z sobą jakichś solidniejszych butów? Te pantofelki nie wytrzymają ani pół dnia na tutejszych szlakach.

— Nie, niestety. Ani tu, ani nawet w bagażach w Toronto. Kupowałam tylko te rzeczy, które mi się podobały, właśnie te lekkie, niepraktyczne, to, czego w kraju nie miałam od lat. Czy nie są piękne?

— Piękne to one są — odpowiedział kiwając głową — ale pożytku z nich nie będzie. Zaraz po śniadaniu kupimy ci coś mocniejszego, tu w hotelu jest pełno sklepów.

— Dobrze, ale pod warunkiem, że sama zapłacę.

Siedząc na przeciw niej w jadalni i czekając na kelnera tłumaczył jej cierpliwie jak dziecku, że pieniądze przydadzą się jej na potem (unikał jednak sprecyzowania tego „potem”), na razie jest jego gościem i ponosi wszelkie tego konsekwencje. I musi o tym pamiętać. A gdy istotnie wybrała po śniadaniu parę sportowych półbutów na gumowej podeszwie przypominającej zęby rekina, odsunął bezceremonialnie jej rękę z wyciągniętym portfelem i podał swoją kartę kredytową.

— Czy mogę cię o coś osobistego spytać? — powiedziała, gdy szli do windy, żeby zmienić buty przed wycieczką. A na jego zachęcający uśmiech dodała: — Zauważyłam, że za wszystko płacisz taką kartą. Dlaczego? Jak to działa?

— Widzisz — odpowiedział nagle zgorzkniały — to takie plastikowe pieniądze, symbol mojego życia. Nie potrzebuję gotówki, a gdy muszę mieć parę dolarów, idę do najbliższego automatu bankowego, wkładam moją magiczną kartę i automat wypłaca mi ile zażądam. CBC przesyła pensję na moje konto w banku, honoraria za audycje idą tamże, a ja tylko podaję gdzie trzeba moją plastikową kartę, naciskam tajne hasło i pieniądze same się sypią... To samo w sklepach, restauracjach, hotelach.

— Jakie to cudowne! Jak w bajce!

— Może. Dla mnie to, jak powiadam, symbol mojej tu egzystencji. Bo co ja wiem o tym kraju, który stał się moim domem z wyboru? Mieszkam tu od przeszło dwudziestu lat, a co wiem o życiu kanadyjskich farmerów na wielkich preiach? O traperach czy eskimoskich myśliwych? O robotnikach, którzy budowali te wspaniałe szosy? Znam tylko narciarskie resorty i wspaniałe w blasku reflektorów lodowiska, widzę wszystko przez pryzmat kamery i tak, jak to ukaże się na szklanym ekranie, gładkie, kolorowe, czyściutkie i całkowicie wyprane z jakiegokolwiek treści. Dziennikarz sportowy! Wspaniała kariera! Inko... To jest sztuczne, plastikowe życie. Ale takie sobie wybrałem.

— Żałujesz? — spytała po raz drugi od ostatniego wieczoru.

— Nie. Nigdy niczego nie żałuję. Podejmuję moje decyzje i konsekwentnie potem postępuję. Ale to nie znaczy, że jestem wobec życia bezkrytyczny.

— Czy... czy myślisz, że w Polsce byłbyś...?

— Nie mówmy o tym, dobrze?

Wyszedł na balkon, rozprostował szeroko ramiona i przeciągnął się z widoczną przyjemnością. A gdy Inka stanęła przy nim, Krzemień pokazał jej zamykającą widok górę, nad której zboczem lśnił jak sznur gwiazdek szereg srebrnych wagoników kolejki linowej.

— Tam pojedziemy — powiedział objąwszy ją opiekuńczo.

— Chcesz?

— Z tobą — odrzekła poważnie — wszędzie, nawet do samego diabła.

— Niewiele się pomyliłaś. Właśnie tam jedziemy.

Przekonała się wkrótce, że nie żartował. Gdy tylko odeszli nieco od hotelu, poczuła tak silny zapach siarki, że zatrzymała się zdziwiona, szukając jakiejś fabryki czy innego źródła zatrucia, Krzemień jednak wziął ją za rękę i pociągnął w stronę małego strumyka, który parował w czystym powietrzu jakby podgrzewany od wewnątrz przez jakieś nieczyste moce. Tuż obok, w okrągłym basenie, pławiło się kilka osób, nieczułych ani na buchającą z wody parę, ani na zapach siarki. Ich rozpalona kąpielą skóra natychmiast pokrywała się kropelkami, gdy tylko wychyliły ponad wodę, na zimny, poranny wiatr szumiący w gałęziach lasu.

— Tak — powiedział Krzemień — nie chcę cię dłużej zwodzić. Ta góra nazywa się Sulphur Mountain i wiesz, w którym jest władaniu, wiesz, dokąd cię przywiozłem, komu zawdzięczam tę noc.

Patrzyła na niego zdziwiona i ciągle jeszcze niepewna, czy żartuje, czy też mówi prawdę, ale nie, był bardzo poważny, nawet zatroskany. Nie wypuszczając jego dłoni ze swojej spytała:

— Ty naprawdę w to wierzysz?

— A ty, czy wierzysz w legendę Fausta?

— Metaforę, tak, mogę to przyjąć jako metaforę...

Nie odpowiedział, ruszył w głąb lasu, ciągle zamyślony a jednak konkretny, bliski, czuła palcami gorącą skórę jego ręki, szła za nim bezwolna, zafascynowana tym człowiekiem, którego, jak sądziła, zdążyła już poznać tak blisko, jak blisko poznać kogoś można po nocy wspólnie spędzonej, a przecież co chwila inny, czasem dziwny, czasem niepokojący, czasem wręcz obcy. Powiedziała mu o tym wprost, gdy wsiedli do malutkiego, srebrnego wagoniku kolejki linowej, tej czteroosobowej, jak to nazwał, gondoli i wznosić się poczeli pionowo niemal w górę, ponad lesistym, czarnym zboczem Siarkowej Góry.

— Zawsze, od czasu, jak cię zapamiętałam w moim pierwszym wspomnieniu — mówiła nie puszczać jego ręki, — mój ty Lordzie Jimie, sądziłam, że znam cię, że rozumiem cię coraz lepiej. I dlatego cię odszukałam. I pojechałam z tobą, bez pytania, co chcesz ze mną zrobić. I dlatego przyszedłam do ciebie, bo byłeś mi tak bliski, najbliższy. I teraz nagle cię nie poznaję.

— Nigdy nie byłem Jimem — odrzekł spoglądając na otwierającą się pod nimi wspaniałą panoramę doliny. — Jeśli myślałem o sobie kategoriami Conrada, to utożsamiałem się raczej ze starym Payrolem, korsarzem, który pod koniec długiego życia sądził, że znalazł spokój.

— I który gotów był spokój ten i nawet życie poświęcić dla ocalenia cudzej miłości?

Nie odpowiedział, tylko podbródkiem wskazał jej coraz szerszą perspektywę łańcuchów wysokich gór z wolna wstających wokół miski zielonej doliny, otaczających ich coraz potężniejszym kręgiem, blednących w porannym słońcu a przecież twardych, trwałych, konkretnych. Zapatrzyli się oboje w ten widok, który Jana nigdy nie przestawał fascynować, mimo że znał niejedne góry i w niejednych spędził długie okresy życia. Tak, myślał, to jest to, co najbardziej kocham w Kanadzie, może na całym moim obecnym świecie, te wielkie Góry Skaliste, pięcioma potężnymi łańcuchami ciągnące się aż po Alaskę, aż po kraj tego świata, oddzielające od zimnych wód Pacyfiku, niezbadane i swobodne, wieczne, dzikie. Tatry, Alpy, Pireneje czy Apeniny wydawały się przy nich wypiełgnowanymi szkółkami dla grzecznych turystów, choć nie lekceważył ich niebezpieczeństw, jakie niejednokrotnie poznał w czasie swych narciarskich włóczęg. Ale Rockies, jak je piśmiotliwie zwykł nazywać, to było coś zupełnie niezwykłego, trudnego do określenia, czy nawet nazwania, to był dla niego symbol prawdziwej swobody, o jakiej zawsze marzył — pięknej, dzikiej, nigdy do końca nie poznanej.

— Jak kobieta? — spytała, gdy przestał mówić.

Wagonik zakołysał się i zahamował na końcowej stacji kolejki, wyszli wprost na restaurację, co jak latający talerz siadła na szczycie góry i oszklonymi wokół ścianami patrzyła w niczym nie ograniczoną przestrzeń, z której z wolna napływać zaczęły niskie, białe obłoki, cicho, spokojnie rzucając plamy cienia na dalekie dno dolin. Latający talerz zdawał się teraz płynąć nad chmurami, na których powierzchni zobaczyć mogli cień stacyjki otoczony jaskrawie kolorową tęczę. Inka oparła się o szybę i trzymając się obiema rękami poręczy wokół szklanej ściany, jakby obawiając się zawrotu głowy, patrzyła na to niezwykłe widowisko, które

Jana za każdym razem napełniało zachwytem i zdumieniem nad bogactwem wrażeń, jakich dostarczyć mogą tylko góry.

— Napijesz się piwa? — spytał, chcąc przywrócić ich oboje rzeczywistości.

— Piwa?!

Nie wiedział, czy była bardziej zdumiona, czy oburzona, pośpieszył więc z wyjaśnieniem:

— Kanadyjskie piwo należy do najlepszych w świecie. I naprawdę nie ma stygmatu taniego pijaństwa, jaki w Polsce kojarzy się z piwem. Spróbuj, gorąco polecam.

Wzruszyła ramionami, ale nie odmówiła, ciągle zdana na jego przewodnictwo w tym nieznanym świecie, pełnym niespodzianek i dziwów. Ale kiedy spróbowała złotego płynu, uśmiechnęła się z aprobatą.

— Dobre — powiedziała. — Nawet o tak wczesnej porze. Ma smak tutejszego, górskiego powietrza.

— Bez siarki? — spytał, otwierając przed nią drzwi na taras przed restauracją. Z papierowymi kubkami pełnymi pieniącego się piwa zeszli potem niżej, na skalny występ obok stacji kolejki linowej i siedli twarzami zwróceniu ku zachodowi, skąd coraz gęściej napływały pojedyncze obłoki, przesuwały się nad doliną u ich stóp, jak pełne zamyślenia twory żyjące własnym, niepojętym dla ludzi życiem, a przecież realne, dotykalne nieomal z wysokiego szczytu, na którym siedzieli. Wyżej, na niebie lekko tylko przesłoniętym przezroczystą siatką drobnych obłoczków, krążył ogromny orzeł na nieruchomych, szeroko rozpiętych skrzydłach. Krzemień wskazał ręką na ptaka.

— Orzeł, widzisz? Mają tu w pobliżu gniazda.

— Naprawdę? — zdziwiła się. — Zawsze myślałam, że nazwy w rodzaju Szlak Orlich Gniazd to turystyczny slogan. Bo my też taki szlak mamy w Polsce, wiesz?

— Tak, wiem. Nawet niedawno ktoś mi o tym opowiadał. Często tam jeździłaś?

— Nie. Wolałam prawdziwe góry. A my teraz jak wysoko jesteśmy? — dodała rzeczowo, zdawałoby się nie dostrzegając misterium piękna, które rozgrywało się dokoła.

— Jakies dwa i pół tysiąca metrów, mniej więcej tyle, co Rysy. Nie szkodzi ci taka wysokość?

— Nie, pomyślałam tylko, co powiedzieliby nasi ekolodzy, gdyby im zaproponować kolejkę linową na Rysy czy Łomnicę...

— Pamiętajmy o proporcjach. Tatrzański Park Narodowy, jeśli się nie mylę, ma niecałe dwieście kilometrów kwadratowych, podczas gdy tu mówimy o tysiącach mil. Nasza skałka

tutaj jest tylko pagórkami, jednym z niezliczonych pośród tego ogromu wokół nas.

— I wstąpiłam na skałę pięknej Kaliopy?

— ... gdzie dotychczas nie było śladu polskiej stopy? Chyba nie, ale tak mało o tym wiemy. Możliwe, że wśród pierwszych osadników Manitoby czy Alberty, rekrutujących się *nota bene* między innymi z francuskich jeńców spod Waterloo, znalazł się jakiś Rafał Olbromski, do ostatniej chwili wierny cesarzowi, a potem pokutujący za to w kanadyjskiej głuszy.

— Myślałam, że Rafała zabili chłopci w rebelii czterdziestego ósmego.

— Być może. Ale co nam szkodzi pofantazjować?

— Więc myślisz, że mógł tu siedzieć i wspominać swoje tatrzańskie chwile z Heleną?

Spojrzał na nią ostro, uważnie.

— Kto wie? Zależy tylko, które z nich — czy te z nią, czy tamte późniejsze, bez niej.

Zmieszała się, opuściła głowę i powiedziała cicho:

— Nie przypuszczałam, że tak dobrze znasz literaturę.

— Należę do pokolenia, które wychowało się na Żeromskim, musisz o tym pamiętać.

— I na Conradzie?

Objął ją mocno i przytulił do piersi, miał teraz na ustach jej krótkie włosy, ich miękkość i zapach, ich delikatny dotyk na wargach, podczas gdy przed oczyma rozwijała się daleka, nieskończenie daleka przestrzeń wielkich gór, jedne za drugimi, łańcuch za coraz wyższym łańcuchem ciągnących się aż poza najdalszy horyzont. I tak było dobrze, najlepiej, w tej ciszy, chłodzie wczesnego przedpołudnia, wysoko ponad światem, z nią w ramionach, ze wspomnieniami i skojarzeniami w myśli, z nieogarniętym pięknem w oczach. Trwać, pomyślał, tak trwać. I wiedział że to wszystko przeminie, tak jak przemijało coraz szybciej jego życie, barwne, dobre i smutne.

Zrozumiał to jeszcze wyraźniej, gdy zjechawszy do miasteczka srebrną gondolą przejść musieli koło małego cmentarza, który jak zaczarowany krąg zieleni leżał w samym środku osiedla i spokojnie patrzył nielicznymi kamieniami nagrobków w otaczające dolinę górskie grzbiety. Było tu tak spokojnie i cicho, że mimo woli zatrzymali się przed furtką, a potem bez słowa weszli i przysiedli na pierwszej z brzegu ławce.

— Spójrz — powiedział wskazując Ince płaską, szarą płytę i wyryty na niej, niewyraźny ze starości napis. Pochyliła się, ale po chwili rozłożyła ręce.

— Ani mój angielski — poskarżyła się — ani umiejętność czytania gotyku nie są dostatecznie dobre, żeby to zrozumieć .

— *Sleep after toyle, port after stormy seas,*

Ease after warre, death after life, does greatly please — odczytał.

A gdy milcząco skinęła głową na znak, że rozumie, Krzemień dodał:

— Ten sam napis kazał Conrad umieścić na swoim grobie, a przedtem użył jako motto do „Korsarza”. Czy to nie dziwny zbieg okoliczności, że teraz go tu napotykamy?

Przyjrzała mu się nieufnie.

— Nigdy tu przedtem nie byłeś?

— Nigdy, naprawdę. Zawsze przyjeżdżam tu zimą, kiedy ziemia pokryta jest metrami śniegu. Nawet nie wiedziałem, że tu jest ten cmentarzyk.

— Więc wierzysz w te wszystkie tajemnicze, nadprzyrodzone, może nawet szatańskie sprawy?

— A ty?

— Janku — szepnęła i przywarła znów do jego piersi. — Mnie nauczono w nic nie wierzyć. A to, w co wierzyłam kiedyś, dawno już zginęło. Jestem pusta, tak strasznie pusta, zdewastowana i zniszczona. Bądź moją siłą, naucz mnie wierzyć. W coś, w cokolwiek, ale daj mi wiarę.

Milczał przez długą chwilę, wpatrzony w trójkątną skałę nad miasteczkiem, przesłoniętą teraz niskim, szarym obłokiem, który usiadł na jej piersi jak dławiąca zmora i rwał się na strzępy na jej ostrej grani. A potem powiedział:

— Inko, cóż ja ci mogę dać? Te parę jeszcze lat życia? Trochę spokoju i wygody? Czy można tym zrównoważyć dziecko, przyjaciół, kraj? A tutaj... nie, nie chciałbym, żeby na ciebie patrzono jak na typową poławiaczkę pereł, jak te panie tu nazywają, jeszcze jedną przyjezdną, która połakomiła się na starszego pana. Zanim cię na to szanuję.

— A uczucie? — spytała cicho, nie podnosząc głowy.

Długo namyślał się nad odpowiedzią. Patrzył, jak szara chmura podarta na brudne pasma opadała coraz niżej, aż stoczyła się na szczyty świerków i wśród nich przepadła jak ulotna mgła.

— Uczucie, powiadasz... Ojcowskie?

Wyprężyła się, prosta teraz i twarda, z oczyma ciągle jeszcze błyszczącymi od łez, ale gotowa walczyć o swoje szczęście.

— Ojcowskie? To, co robiliśmy w nocy niewiele przypominało pokój dziecinny, jeśli jeszcze pamiętasz.

— Inko, ja mam prawie sześćdziesiąt lat i chociaż jestem, jakby to delikatnie powiedzieć, sprawny fizycznie, nie mogę być

partnerem dla kobiety tak młodej, jak ty. Ani w życiu, ani w łóżku.

— Możesz. I jesteś. I będziesz.

Nagłym ruchem ściągnęła z palca pierścień z brylantem i nim Jan zdążył zaprotestować, wsunęła go na mały palec ręki męzczyzny.

— *With this ring* — szeptała wolno, rytualnie — *I thee wed*, tak to się mówi? W obliczu tych gór, które tak kochasz, w obecności tych wszystkich Rafałów, z naszego i każdego poprzedniego pokolenia, jakie kiedykolwiek zostawiły tu ślad polskiej stopy, z pamięcią starego, conradowskiego korsarza i ofiary jego życia, biorę sobie ciebie, Janie, na zawsze, na zawsze, bez względu na to, ile mil, łądów i oceanów dzielić nas będzie, ile granic legnie pomiędzy nami, jesteś i będziesz mój.

Ujął jej głowę w obie dłonie, wpatrzył się w te szare oczy, śmiertelnie teraz poważne, skupione i ciemne, czuł, jak sprężone jest całe jej ciało, jak przeżywa ten moment.

— Inko — powiedział wreszcie. — Zastanów się, co robisz. Czy nie odgrywamy oboje sceny z jakiegoś filmu Wajdy? Ja boję się mocy słów raz wypowiedzianych, doświadczyłem jej niejednokrotnie, ciągle jeszcze doświadczam, miła moja, droga moja. Widzisz, ja naprawdę wierzę w tajemne potęgi, o jakich nie mamy pojęcia. Czy masz odwagę wiązać się ze mną w cieniu Siarkowej Góry, wiedząc, że jesteśmy skazani na rozłąkę silniejszą i trwałszą niż przestrzeń, rozłąkę w czasie? Inko, my należymy do dwóch innych pokoleń...

— A jednak jesteś i będziesz mój. Zawsze. Bo zawsze byłeś.

Ta niespodziewana egzaltacja, tym dziwniejsza, że tak ostro kontrastująca z jej dotychczasowym opanowaniem, przeraziła go. Opuścił ramiona, palcami lewej ręki powoli obracał teraz pierścień na palcu drugiej dłoni, aż na brylant Iriny Orłowej padł nieoczekiwany promień słońca zza niskich chmur i błysnął wszystkimi kolorami.

— *So be it* — wyrzekł wreszcie i zamknął oczy. I nim zdążył je otworzyć, na wargach poczuł usta Inki, ciepłe, żywe, bliskie.

Siedzieli potem na werandzie jakiejś małej restauracyjki, góry wokół dymiły coraz gęstsza warstwą przelatujących nisko chmur, było ciepłe, wilgotne, jesienne popołudnie, pełne spokojnego oczekiwania na spełnienie wszystkich nadziei. Krzemień powoli ciągnął „Złotego Molsona” i słuchał, jak Inka z prawdziwą pasją opowiadała o sytuacji w Polsce, wprowadzała go w arkana intryg politycznych i personalnych, rozgrywek o władzę i pieniądze, o lepsze stanowiska i zagraniczne wojaże, mówiła o wszystkim

tym, od czego uciekł przed laty, a co było przez długi czas jej środowiskiem, środowiskiem jej rodziców, jej przyjaciół i koleżanek. Nazwiska Moczarów, Jaruzelskich, Baryłów i Pileckich, jedne obce, inne aż zbyt dobrze znane, przewijały się w jej opowieści z zadziwiającą regularnością, słuchając miał niejednokrotnie wrażenie, że jest wśród dworaków renesansowego księcia, w świecie Szekspira czy może raczej Goldoniego, gdzie rywalizacja, intryga i plotka nabierają siły trucizny, a głowy przegranych aktorów toczą się za kuliszy historii jak bezkrwawe rekwizyty. I to miała być Polska, do której tęsknił, do której co noc wracał we snach i marzeniach? Tak wyglądała rzeczywistość oglądana oczyma kobiety tkwiącej w samym środku tego światka, a równocześnie naukowo obiektywnej i przygotowanej do chłodnej analizy? Polska wojskowych władców?

— ... bo u nas wszystko opiera się na zasadzie leninowskiej pryncypialności, czyli, mówiąc po prostu, zasadzie „kto kogo”. Kto nie z Miciem, tego zmiciem, mówiło się za panowania miłościwego Moczara. Kto z Miciem wojuje, ten od Micia zginie, i tak dalej. I czy uwierzysz, że ja przez całe lata tego nie widziałam? Lub przyjmowałam jak coś normalnego, naturalnego? Dopiero potem, po siedemdziesiątym, po Gdańsku... Ale chyba już wcześniej zaczęłam coś podejrzewać, kiedy pobrano do wojska moich kolegów i nagle z tych eleganckich chłopaków zrobiły się brudasy, niechluję...

— W wojsku? — zdziwił się Krzemień.

— Tak, właśnie w wojsku. Nie byłeś, to nie wiesz, ale w Polsce od lat postępuje stopniowa degradacja nie tylko pozycji, ale nawet wyglądu wojska. Potem to nawet napisałam pracę magisterską na temat właśnie tej degradacji, od czasów przyjęcia godła Huzarów Śmierci Mackensena przez bandytów z SS aż po nasz nowy, knajacko-sowiecki sposób noszenia wojskowej czapki, wiesz, tak na oczy, jak się nosiło oprychówki na Targówku czy Pelcowiznie.

Roześmiał się z tych obserwacji, tak odmiennych od oficjalnych zdjęć kompanii honorowej paradującej na Placu Zwycięstwa, ale, pomyślał, Inka pewnie ma rację, jest przecież fachowcem. Więc postanowił opowiedzieć jej, jak to za jego polskich czasów, wkrótce po wojnie wyglądało, przypomniał anegdotę o swym koleździe Leszku, który na przymusowe wzięcie do wojska zareagował w sposób niezwykły, chodząc po Warszawie w oficerskim co prawda mundurze, ale za to porozpinany, bez pasa i bez czapki, a gdy raz i drugi zatrzymały go patrole WSW oświadczył, że jest architektem a nie wojakiem, i w wojsku tylko potrzebny dla odbudowy stolicy czas marnuje.

— No i co? — śmiała się zaciekawiona Inka.

— A no, wyobraź sobie, wprost z aresztu przewieziono go na Klonową i tak jak stał, bez pasa i czapki, wprowadzono przed oblicze Rokossowskiego.

— Niemożliwe!

— A Lesio, jak gdyby nigdy nic, ukłonił się nisko, po chłopsku i czeka. Marszał łagodnie, grzecznie pyta *w czom dieło*, a Leszek swoje, że architekt, że odbudowa, te rzeczy. I wyobraź sobie, stary wyga dał mu rok urlopu z wojska, każąc się po tym roku zameldować z konkretnymi wynikami cywilnej pracy Leszka.

— Zameldował się?

— Nie, bo w rok potem było już po październiku i Kostia wrócił na ojczyzny łono. Ale dobry był panisko, nie uważasz?

— Jak dla kogo — odpowiedziała chłodno i zaraz wróciła do spraw lat ostatnich, a Krzemień wyczuł, że mimo pełnej otwartości boi się, czy po prostu nie może głośno o tamtym okresie mówić. Działać w niej musiały jakieś potężne hamulce, które rozumiał tylko częściowo, przeżywszy połowę lat pięćdziesiątych w Polsce, wielu jednak spotykał od tego czasu przyjeźdźnych ukompleksionych okresem stalinizmu do tego stopnia, że sama wzmianka o tamtych czasach zamykała im usta. Inka, wychowana w rodzinie wojskowej i to wysokiego stosunkowo stopnia, musiała podlegać tym samym prawom psychologicznym, co nie przeszkadzało jej być otwarcie krytyczną wobec polityki okresu obecnego. Jeszcze jedna różnica między nami, myślał słuchając jej wynurzeń na temat stosunków wśród generacji okresu stanu wojennego, kiedy to wojskowym przypadło rządzić krajem zniszczonym ekonomicznie, podzielonym społecznie i coraz bardziej świadomym swej ukrytej mocy. Akcenty osobiste, nienawiść do związanego z tą rządzącą grupą męża i wyraźna niechęć do matki raz po raz przebijały przez tę opowieść o korupcji, pysze i bezradności grupy władającej Polską od prawie roku. Szczególną nienawiścią zdawała się obdarzać PRON, Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego, w którym pułkownik Urgacz musiał grać jakąś niepoślednią rolę. Słuchając jej opowieści o tej grupce samozwańców roszczących sobie pretensje do reprezentowania interesów całego narodu, Krzemień przypomniał sobie jak to w Lublinie, w lipcu czterdziestego czwartego roku, na pustym, opróżnionym już z więźniów Majdanku rozpaczliwie trzymało się swoich stanowisk półtora tysiąca odpasionych i zdolnych do walki żołnierzy SS, udając, że są nawet w tym pustym obozie potrzebni, byle tylko nie pójść na zbliżający się front. Ci ludzie w obecnej

Polsce też uważali się za nieodzownych, byle nie stanąć twarzą w twarz z koniecznością wyboru między prawdą a oszustwem, nie musieć wziąć się do konkretnej pracy...

— ... i do tego wszystkiego mam wracać? — spytała nagle i zajrzała mu z bliska w oczy.

— Zrozum mnie dobrze — odpowiedział wolno, spokojnie, jak małemu dziecku. — Byłbym ostatnim człowiekiem namawiającym cię do powrotu, gdyby nie...

— Gdyby nie co?

— Jak sobie wyobrażasz swoje tu zostanie, teraz, po naszym...?

— Czym? Zawarliśmy ślub, pamiętaj.

— A mimo to nie jesteś moją żoną.

— Nie ożenisz się ze mną?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo jestem dla ciebie za stary.

— Do łóżka nie jesteś.

— Małżeństwo to coś więcej, niż łóżko.

— Więc zostanę jako twoja kochanka.

— Jesteś dziecko. I masz dziecko, prawda?

Opuściła głowę, zasłoniła twarz rękami, skulona, zacichła, nagle samotna w tej pokrytej chmurami kotlinie wśród najpiękniejszych gór świata, u boku tego siwego i bezradnego człowieka.

Odwróciła się dopiero, gdy na schodki werandy wkroczył młody, barczysty mężczyzna w kolorowym, jak z filmu mundurze — czerwona kurtka, granatowe bryczesy z żółtymi lampasami i wysokie buty, na głowie kapelusz z szerokim rondem, u pasa potężny pistolet. Przechodząc obok nich przyłożył rękę do kapelusza i powiedział coś z uśmiechem, na co Krzemień odpowiedział przyjaznym gestem ręki i głośnym „Hi!” i z przyjemnością popatrzył na tego czyściutkiego, zgrabnego chłopaka.

— Znasz go? — spytała zdziwiona. — Kto to jest?

— Nie wiesz? Sierżant King z Królewskiej Konnej Policji oczywiście.

— Policjant? I taki miły?

Położył jej rękę na ramieniu.

— Nie, Inko, wcale go nie znam, a sierżant King, to bohater książek mojego dzieciństwa, opowieści Curwooda czy Londona.

— A więc jak to jest? Nie znasz go, a on ci mówi dzień dobry?

— Taki tu zwyczaj, wszyscy się nawzajem pozdrawiają, a

policjant jest opiekunem i przyjacielem, a nie wrogiem czy prześladowcą.

— Taki tu zwyczaj — powtórzyła. — Daj mi trochę piwa, zaczynam się powoli przyzwyczajać. Boże, jak to smakuje z papierosem!

A równocześnie nie przestawała uważnie obserwować kolorowego policjanta, który flirtował z kelnerką, i Krzemień miał wrażenie, że to był pierwszy żywy człowiek, jakiego dostrzegła od wczoraj, przez cały bowiem dzień, przy śniadaniu, na szczycie góry czy potem w Banff wpatrzona była tak intensywnie w siebie, swoje tajemne myśli, że wątpił, czy nawet jego, najbliższego z wielu względów, jedyne go dla niej w tej chwili, zdołała w każdym momencie zauważać. Potem, gdy przystojny chłopak przeszedł obok i raz jeszcze pozdrowił ich uśmiechem, Inka obdarzyła go spojrzeniem tak znaczącym, że obaj mężczyźni, młody policjant i nagle przygarbiony za stołem Krzemień poczuli się niezręcznie. A widzisz, chciał powiedzieć głośno, ale i tak wiedział, że zrozumiała, że zapłatała się sama w sprawy, o których lepiej nie mówić. Czy tylko wy macie apetyt na młodsze od siebie?, powtórzył w myśli i mimo woli pogładził się po swych siwych włosach.

— Wiesz — powiedział nagle — ruszajmy dalej. Chciałbym ci jeszcze tyle tu rzeczy pokazać, a niedługo robi się ciemno, niewiele zobaczysz.

— Czekam na tę ciemność — odparła wpadając w rolę i Jan raz jeszcze podziwiać musiał jej intuicję czy też po prostu umiejętność kontrolowania sytuacji, natychmiastowego przedstawiania się zależnie od potrzeby. Ta młoda kobieta była istotnie pełna niespodzianek, nie rozczarował się od momentu, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, biedną, samotną, zgubioną w hoteliku obcego miasta, niestrudzoną podróżniczkę, nieodrodną córkę swojej matki.

— Dobrze. Naszym własnym, prywatnym Szlakiem Orlich Gniazd, byle dalej od wspomnień, od świata, od ludzi.

VI. NAD WODĄ WIELKĄ I CZYSTĄ

— Więc czy możesz mi raz wreszcie powiedzieć, co było naprawdę między tobą a moją matką?

Leżeli na tarasie hotelu, wyciągnięci na leżakach, próbując nasycić się jak najpełniej późnym, popołudniowym słońcem, które niedługo skryć się miało za ścianą lodowca Victoria, jak ciężka, biała zasłona grodzącego wnętrze gór po drugiej stronie jeziora. Niespodziewanie ciepły i jasny dzień zwolna dobiegał końca, ale od wielkiej i czystej powierzchni Lake Louise ciągnęło już lekkim chłodem, więc pochylił się nad nią i zamiast odpowiedzieć, poprawił biały koc, którym poprzednio otulił Inkę, gdy z westchnieniem ułożyła się na leżaku. Mieli za sobą drugą już wspólnie spędzoną noc, od poprzedniej tym tylko różną, że Jan zamówił po prostu jeden pokój w Château Lake Louise, dokąd przejechali z Banff. Inka, mimo swego trzeźwego sceptycyzmu, nie protestowała, gdy wspomniał, że teraz nie muszą już korzystać z opieki władcy Siarkowej Góry, wręcz przeciwnie, im dalej, tym lepiej, a sąsiednia miejscowość nad jeziorem miała okazać się bardziej jeszcze niż Banff atrakcyjna, choć stanowiła część tego samego Parku Narodowego. Istotnie, gdy zatrzymał wóz tuż nad brzegiem wody drgającej smugą księżycowego blasku, kiedy u krańca jeziora ujrziała potężny masyw lodowca w obramieniu ostro ściosanych skał i czarnej wśród nocy gęstwy lasów, poczuła, że pokazał jej piękno dotychczas nie spotykane, wspaniałość nie skalaną ani przez czas, ani przez ludzi, otworzył przed jej oczyma świat najczystszy i najcenniejszy, że dał jej najwyższą radość i wielkie uspokojenie. Chciał zgasić w aucie radio, ale swymi silnymi, długimi palcami przytrzymała jego rękę.

— Nie — wyszeptwała. — Niech gra. Może to kicz, może to tani efekt, ten Mozart, góry, jezioro, księżyc i ty, ale pozwól

mi się tym cieszyć, nigdy, nigdy w całym moim życiu nie byłam tak całkowicie, nieskończenie szczęśliwa.

Nie protestował. I jego też, mimo tyloletnich doświadczeń i przeżyć, opanował czar tej chwili, zdawał sobie sprawę z prawie filmowych, nierealnych efektów otaczającej scenerii, a równocześnie, wtedy, tej wczorajszej nocy i teraz, poddając twarz promieniom słońca zapadającego za góry, myślał, jak bardzo dobrze jest żyć. Przypominał sobie, wtedy i teraz, lata okupacji, gdy pracując w samochodowym warsztacie wczesną wiosną wymykał się na zastawiony wozami plac za halą, siadał w którymś z czekających na reperację aut i włączywszy cichutko radio, tak właśnie opalał się, marząc, że nie ma wojny, że jest gdzieś w górach, że ma przy sobie piękną dziewczynę i wraz z nią podróżuje po świecie... Nie znał wtedy, oczywiście, historii Elwiry Madigan i potęgi namiętności, która doprowadzić miała do tragicznego upadku kochanków, potem jednak, gdy po wielu latach obejrzał film, teraz przypominający się motywem fortepianowego koncertu w radio, nieraz wspominał tamte marzenia o ucieczce z przerażającej, okupacyjnej rzeczywistości, oczywiście razem z kimś, dziewczyną wyśnioną, najwspanialszą, jedyną, wielką miłością.. I dziewczyna ta, oczywiście, miała wówczas twarz Diany...

— Więc czy możesz mi powiedzieć? — powtórzyła niecierpliwie.

— Po co? Przecież wiesz.

— Nie, wiem tylko trochę, niedokładnie i nie wszystko.

Słońce zsunęło się teraz niżej, gdy otworzył oczy mógł dostrzec, jak zaczyna dotykać ostrej grani lodowca, którego śniegi nagle zapłonęły czerwono i groźnie.

— Lepiej popatrz na zachód słońca — poradził.

— Dobrze, będę patrzeć i słuchać równocześnie. Proszę, powiedz, nie męcz mnie dłużej. Pamiętasz, w nocy przyrzekłeś, że nie będzie między nami żadnych tajemnic.

Czy istotnie jej to przyrzekłem?, pomyślał, próbując raz jeszcze przypomnieć sobie tę noc, gdy na przemian kochali się i zasypiali znużeni, po to, żeby obudzić się i znów mówić, mówić o wszystkim, z wyjątkiem tego najważniejszego, co mogło ich łączyć i rozdzielać, z wyjątkiem sprawy Diany. Ale obiecał jej nad ranem, gdy ponownie zasypiała, że opowie jej wszystko, nie będzie niczego ukrywał. Trzeba było słowa dotrzymać, Inka nie należała do kobiet, które łatwo zapominają. Zamknął oczy i bez trudu przeniósł się raz jeszcze do warsztatu na Żabiej, do lat okupacji, do czasów Diany. Mówił, że tak, że był w jej matce zakochany, oboje byli wtedy bardzo młodzi i było im dobrze razem, ale nie, nigdy nic między nimi wtedy nie było, młodzień-

cza miłość, romantyczna i naznaczona cieniem okupacji, niepewności jutra, niebezpieczeństw. A potem poszedł do partyzantki...

— Oczywiście byłeś w AK? — spytała.

— Dlaczego oczywiście?

— No, nie wyobrażam sobie ciebie jako pepeerowca czy bojownika za władzę ludu.

— Chyba masz rację, to było moje miejsce. Jak to kiedyś pięknie powiedziała Achmatowa, byłem razem z moim narodem.

— No i co? A ona? Co wtedy zrobiła?

Więc opowiadał jej o powrocie do Lublina w lipcu czterdziestego czwartego, o tym, jak znalazł Dianę pracującą jako pielęgniarka w szpitalu, jak potem poszedł do wojska, skąd Rosjanie wygarnęli go wraz z innymi akowcami i wywieźli do obozu, jak wrócił po trzech latach i znów spotkał Dianę, która czekała, czekała jako jego nieoficjalna naręczona, choć nigdy przedtem o tym nie było mowy, jak stracił całkowicie głowę, stęskniony za kobietą, jak spełniła się ich miłość, tamtą dawną, jasną i ciepłą jesienią, nad czystą i wielką wiślaną wodą, w cieniu trzech krzyży padającym na pełne księżycyca noce ich miłości...

— Tak — przerwała niecierpliwie — nie musisz mnie wprowadzać w intymne szczegóły, zwłaszcza teraz. Ale ja chcę wiedzieć, dlaczego? Co się stało, że tak nagle zerwaliście? I że potem nigdy nie wolno mi było o tobie nawet wspomnieć, dopóki nie znalazłam tych listów, które też nie były dla mnie jasne. Czy ona cię zdradziła?

Czy mam ci powiedzieć?, pomyślał. Czy mam jeszcze zwiększyć twoją do własnej matki nienawiść? Jeszcze bardziej skomplikować twoje i tak niełatwe życie? Po co? Powiedzieć ci, że zaraz po tych nocach w Kazimierzu dowiedziałem się od Kasi, mojej poprzedniej dziewczyny, że Diana w czasie mojego uwięzienia była żoną oficera sowieckiego kontrwywiadu, jednego z tych oprawców, którzy nas aresztowali, więzili, mordowali? I że mi o tym nie powiedziała nawet w chwilach największego uniesienia, podczas tych nocy, wobec których nasze ostatnie dwie wyglądają jak sportowe ćwiczenia, pełne energii i zadowolenia, ale pozbawione tego, co najważniejsze, miłości? Czy mam ci to wszystko powiedzieć, Inko, nazwana Janiną na cześć... Na pamięć?

— Nie — przeciągnął w zamyśleniu. — Nie zdradziła mnie w pospolitym sensie tego słowa. Zdradziła raczej moją w nią wiarę, wiarę w pewne rzekomo wspólne nam ideały.

— I dlatego odszedłeś? Od żywej kobiety?

— ... dla mglistego ideału postępowania, tak, dobrze pamiętam wybrany przez ciebie cytat z Conrada. Tak, Inko, odszedłem

od żywej kobiety dla ideału postępowania, czy, jeśli to wolisz nazwać staroświecko, pewnego pojęcia honoru.

Siedziała teraz sztywno wyprostowana, dawno już zapomniawszy o przepysznym widoku zachodzącego za górami słońca, w liliowym półświecie wpatrywała się teraz w Jana, intensywnie, ostro i uważnie, jakby przeniknąć chciała jego myśli, nieufna, nie przekonana do końca, że powiedział jej całą prawdę. Odpowiadając na jej spojrzenie wzrokiem otwartym i ostentacyjnie szczerym, zastanawiał się przez cały ten czas, dlaczego chciała wiedzieć, kto bardziej ją w całej tej sprawie interesował, Diana czy on, jej od trzech dni towarzysz i opiekun, od dwóch — kochanek. Co nią powodowało — ciekawość, nienawiść, nowe uczucie? Nie wiedział, ale bez względu na motywy był zdecydowany nie powiedzieć jej prawdy. Postanowił był przecież jeszcze w czwartek, że da jej parę najlepszych dni, że zaopatrzy ją w kapitał dobrych chwil na czekające ją w Polsce ciężkie lata, że postara się pozostawić po sobie najlepsze wspomnienie, nie miał bowiem ani na moment wątpliwości, że pozostanie dla niej tylko wspomnieniem.

— A czy wiesz — dopytywała ciągle jeszcze sprężona i nieufna — kiedy i dlaczego pobrali się moi rodzice?

— Nie wiem — skłamał. — Może z miłości?

— *C'mon*, jak ty zawsze mówisz, po tym, co było między wami? Ja bardzo szanuję mojego ojca, ale trudno go uważać za Don Juana.

— Może dawniej...?

— *C'mon* — powtórzyła. — Weterynarz w roli Romea? Daj spokój.

Po raz pierwszy wprowadziła do rozmowy Małynicza, który przez cały ten czas zdawał się tkwić gdzieś w ukryciu, stale obecny, niewidoczny, ale obecny, ojciec Inki, mąż Diany i następcą Krzemienia u jej boku. Jan nie znał go wcale, widział raz tylko przelotnie, potem od czasu do czasu czytywał o nim w gazetach, mimo że generał nie afiszował się zbyt często, niekiedy tylko występując jako reprezentant Ministra Obrony Narodowej na takich czy innych uroczystościach, promocjach podchorążych, czy odsłonięciach kolejnych pomników. Krzemień, który prasę krajową śledził dość pilnie, jako jedyną formę żywego kontaktu z krajem, bawił się nieraz tymi doniesieniami i potem, w gronie znajomych w Domu Kombatanta SPK w Toronto, zaśmiewał się nad warszawskim humorem, który projekt pomnika ku czci ubowców i ormowców z miejsca ochrzcił mianem ubelisku czy pomnika utrwalacza... Ale uważnie wpatrywał się w fotografie z tych uroczystości, starając się na niewyraźnych, rozmazanych na tandet-

nym gazetowym papierze zdjęciach rozpoznać rysy być może znajome, czasem ukryte gdzieś w tłumie za oficjalną trybuną czy w pierwszych rzędach publiczności zgromadzonej na akademii ku czci... Raz tylko udało mu się wyraźnie zobaczyć bezbarwną, opuchniętą twarz człowieka w generalskim mundurze pokrytym rzędami orderowych wstążeczek tuż obok znajomej, ciągle jeszcze prostej i smukłej sylwetki drugiego wojskowego dygnitarza i przeczytać, że generałowie Małynicz i Pilecki zostali przyjęci przez pierwszego sekretarza PZPR na specjalnej audyencji poświęconej przygotowaniom do zorganizowania obchodu ku czci... A teraz, patrząc na piękną, szlachetnie prostą twarz Inki, na jej szeroko rozstawione oczy, duże, wyraziste usta, mocny podbródek i wspaniałą, dumnie wyprostowaną szyję próbował odnaleźć w niej nie podobieństwo do generała, ale dostrzec choćby jedną cechę ciemnej, egzotycznie barwnej i równocześnie delikatnej urody Diany. I mimo że od pierwszego momentu spotkania wydała mu się znajoma, swojska, bliska, nie umiał w jej rysach Diany odnaleźć. A może to i lepiej?, pomyślał i uśmiechnął się do tej innej, a przecież już własnej, już najbliższej teraz Inki.

— Nie wiem, naprawdę nie wiem. Zresztą... czy to nie wszystko jedno? Stare dzieje, nic w nich nie zmienimy, nie ma o czym mówić.

— Nie ma o czym mówić? — wykrzyknęła z oburzeniem. — I to ty, Jan Krzemień, którego miłość do mojej matki wyгнаła z kraju, powiadasz, że nie ma o czym mówić?

— Skąd wiesz? — spytał ostro, nagle zaalarmowany świadomością, że ta młoda kobieta musi o nim wiedzieć znacznie więcej, niż to dotychczas zdradziła, że pewnie sprawdza go i bada. Czy miał jej z kolei powiedzieć, że i ona jest przedmiotem obserwacji tak skrytej, że sama o tym myśl dotychczas przyprawiała go o drżenie rąk i uderzenia krwi do głowy. Czy miał jej opowiedzieć, jak dziś rano, gdy była w łazience, niespodziewanie zadzwonił telefon, a gdy Krzemień, zdziwiony kto mógłby do niego dzwonić, podniósł słuchawkę, usłyszał uprzejmy, męski głos pytający po polsku: „Czy pan redaktor Krzemień?”. „Tak jest — odpowiedział machinalnie — a kto mówi?”. „Tu radca Stanisław Protasiewicz z ambasady Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w Ottawie. Czy mogę mówić z panią pułkownikową?”. „*Wrong number*” — warknął Krzemień i odłożył z obrzydzeniem słuchawkę, jakby odrzucał coś wstrętnego. A gdy Inka wyszła z łazienki, pyszna otwartą nagością, dumna ze swej olśniewającej urody i figury dojrzałej, wspaniale zbudowanej kobiety, i spytała, kto dzwonił, odpowiedział obojętnie, że to pomyłka. „Zdawało mi się, że powiedziałeś po polsku: tak jest”. „Nie, powiedziałem

po prostu: *yes*”, odparł i już więcej do tej sprawy nie wracali, a przecież przez cały dzień, gdy woził ją po okolicznych górach i jeziorkach, gdy wspinali się na małe skałki, odpoczywali w lesie, czy jedli *lunch* w jakiejś gospodzie przy szosie, myśl o tym telefonie nie opuszczała go ani na chwilę. Domyślił się stosunkowo łatwo, jak go tu wytropili, nie robił tajemnicy z planów spędzenia *week-end*’u w górach i powrotu dopiero w poniedziałek, a Myrtle, jego sekretarka od trzech lat, znała jego miejsca postoju w Banff, toteż z kanadyjską łatwowiernością na pewno podała adres uprzejmie pytającemu cudzoziemcowi, jeśli w dodatku przedstawił się jako rodak i to jeszcze dyplomata ze stolicy... Ale skąd wiedział o Ince? Czy pilnowali jej w Michigan, a gdy uciekła zaniepokoiłi się, że im umknie i zaczęli szukać? Ba, skąd jednak trafili za nią do Toronto? Czyżby śledzili ją cały czas, widzieli, jak razem z nim wyjechała z hotelu? Bo potem było im już łatwo, zapewne Pete lub Phil dali się też nabrać na uprzejmość tego człowieka. A przede wszystkim: po co dzwonił? Czy miało to być ostrzeżenie dla „pani pułkownikowej”, dla Krzemienia? Przed czym, przed długim ramieniem PRL-u? Wojskowego kontrwywiadu, który był w prostej linii spadkobiercą tradycji i metod niesławnej pamięci Informacji Wojskowej, odpowiedzialnej za deportacje lat czterdziestych, miejsca pracy i działalności jeszcze mniej sławnej pamięci kapitana Iwana Klimowa, pierwszego męża Diany? A może chciał im po prostu popsuć ten *week-end*? Zatruc i zanieczyścić, jak wszystko w kraju, nawet prywatne życie obywateli? Nie, bracie, mówił sobie Krzemień przez cały dzień, starając się zapomnieć ten miodowy, uprzejmy głos w telefonie, nie uda ci się, przynajmniej dopóki Inka jest pod moją opieką, nie uda ci się. Nie odbierzesz jej tych paru dni, moja w tym głowa. A równocześnie dręczyło go pytanie o tego człowieka, a teraz, w momencie wzmożonej podejrzliwości postanowił zaryzykować i spytać.

— Skąd wiesz — powtórzył — że wyjechałem przez nią? A może nie miałem w Polsce innych możliwości, były akowiec, więzień sowieckich obozów? Może mi się coś otwierało za granicą? Może miałem tam ojca, którego nie widziałem przez prawie dwadzieścia lat?

— Może — zgodziła się łatwo. — Ale... widzisz, ja trochę o tobie wiem, więcej, niż ci powiedziałam na początku.

— Od kogo? Od twojej matki?

— Nie. Ona nigdy o tobie nie mówi. Ale kiedy Marysia miała wychodzić za mąż, przepuścili przez komputer jej narzeczonego i wyszło, że chłopak ma wujka w Kanadzie. A jak mi Marysia powiedziała nazwisko, od razu sobie pokojarzyłam tamto spot-

kanie na MDM-ie, twoje listy, oczy matki, wszystko. Janku, to się nie da ukryć, byłeś i stale jesteś niepoprawnym romantykiem. Czy ty ją jeszcze... kochasz?

— Nie. Nikogo nie Kocham.

— A mnie?

— Ani nawet ciebie — powiedział miękko i położył rękę na jej ramieniu. — Ale słuchaj, coś mi się tu nie zgadza. Skąd znałaś moje nazwisko, przedtem, przed tym ślubem?

— To już moja tajemnica. Miałam swoje sposoby.

— No i co, byłaś na tym ślubie, poznałaś moją siostrę?

Zawahała się przez króciuką chwilę, w ciemności wczesnego wieczoru nie mógł dostrzec jej twarzy, ale usłyszał wyraźnie ten moment zastanowienia.

— Nie — powiedziała dość stanowczo. — Nie mogłam wtedy pojechać do Warszawy, miałam obronę pracy magisterskiej.

— A... twoja matka?

— Tak, była.

— I co, mówiła coś o teściowej twojej młodej przyjaciółki?

Znow sekunda zastanowienia, a potem, ciszej już:

— Tak. Powiedziała, że to bardzo nieprzyjemna pani...

Krzemięń roześmiał się głośno, wyobraziwszy sobie spotkanie Diany z Teresą po tylu latach, po wszystkim tym, o czym obie wiedziały najdokładniej, Diana zawsze wobec Teresy nieufna, a siostra Jana wobec „narzeczonej” wręcz wroga, zawsze blisko związana z Kasią, której Diana rzekomo Janka zabrała... I oto nagle spotkać się musiały jako dwie starzejące się kobiety, Teresa w pełni świadoma, że oddaje swego jedyne go syna pod wpływ ludzi, dla których Diana była najbliższą przyjaciółką i nieomal członkiem rodziny... Zrozumiał teraz, dlaczego Teresa była tak szczęśliwa, gdy pisała, że Wojtek wyjechał na placówkę, że będzie przez dłuższy czas za granicą. Widocznie nie ja jeden, pomyślał z humorem, uciekłem od Diany, mój czcigodny siostrzeniec, jej własna córka... Co to za kobieta?, zastanawiał się teraz, przypomniawszy sobie wszystkie niedopowiedzenia Inki, jej nienawiść do własnej matki, jej łyzy i obawy.

— Powiedz mi — spytał ciągle jeszcze wesoło i beztrąsko — a czy w tym miłym towarzystwie nie zetknęłaś się kiedyś z panem Protasiewiczem?

Nie spodziewał się takiej reakcji. Jak uderzona batem Inka zerwała się z leżaka, wtuliła w jego ramiona i ukryła głowę na piersi Jana. Drżała tak silnie, że musiał przytrzymać ją w obawie, żeby nie zsunęła się na beton tarasu.

— Jezus, Maria... Jezus, Maria... — szeptała. — Ty go znasz? Skąd?

— Znam i nie znam — mówił uspokajająco i gładził ją po włosach — to nie takie ważne. Dlaczego się go boisz?

— Jak to dlaczego? Przecież to ten typ z Ann Arbor, który groził, że mnie zniszczy, jeśli nie...

Krzemięń zrozumiał teraz wszystko w jednym momencie olśnienia, całą sieć intryg wokół Inki, prób wykorzystania jej sytuacji pod każdym względem, inwigilacji i pogroźek. Jasne było, że czuwający nad nią agent podążył za uciekinierką do Kanady, zapewne w mieście tak niewielkim, jak Ann Arbor nietrudno mu było dowiedzieć się, dokąd kupiła bilet na linię Greyhound, reszta była dla fachowca także drobiazgiem. Dzwonił, żeby Janowi dać znać, że ją mają w swojej władzy, że nie popuszczą, bo jest ich własnością, nie właścicielką, jak oni, ale zwykłą obywatelką Polki Ludowej, przedmiotem, figurką, którą można przesuwac w miarę potrzeb takiej czy innej rozgrywki, a gdy trzeba to i zagrozić, a gdy się da, to i wykorzystać. Krzemięń zacisnął pięści i po raz pierwszy od trzech dni zadał sobie pytanie, czy ma prawo odmawiać Ince osobistego azylu.

Tuliła się do niego, jak przestraszone, małe dziecko, bezradne wobec niebezpieczeństwa, przerażone otaczającym je mrokiem, z którego wyłonić się mogły tajemnicze i straszne groźby, niewiadoma, lecz zawsze pełna niepokoju przyszłość. Biały koc leżał u jej nóg jak odrzucony symbol bezpieczeństwa i czystości, wokół czaiła się coraz głębsza noc, tylko od wody niosło ciągle jeszcze podmuchem świeżości, ale już masyw gór poza jeziorem wisiał nad nim jak nowa, ponura i okrutna zapowiedź rzeczy nieuniknionych. Pogodne przed zachodem niebo pokrywać się teraz zaczęło sunącymi zza gór warstwami chmur, przez które księżyc przeświecał słabo i niepewnie. Z lasów otaczających jezioro słychać było jakieś odgłosy trudne do zidentyfikowania, nie wiadomo, zwierząt czy ludzi, drzew czy skalistych ostępów. Za każdym razem, gdy rozlegało się to niby pohukiwanie, niby pojękiwanie, Inka drżała coraz mocniej i coraz silniej tuliła głowę do piersi Jana. Była rozgrzana i ciepła, poprzedniego dnia w Banff kupił jej puchową, pokrytą grubym nylonem kamizelę, mimo protestów kazał jej ubrać ten nieodzowny w górach strój, wciągnąć na jej brązowy sweter, z którego tak była dumna. Znalazł jej też tweedową spódnicę, przeplatającą brąz z czernią szeregiem nierównych wzorów i cieszył się, gdy przez cały dzisiejszy dzień nosiła te prezenty i korzystała z każdego pretekstu, by spytać, czy ładnie w nich wygląda. Kiedy rankiem, po długim spacerze wzdłuż brzegów Lake Louise zawiózł ją do pobliskiego Lake Moraine, siadła na ogromnym głazie i przeglądając się w niczym nienaruszonej powierzchni opalowej wody jak w magicznym lus-

terku pytała, niby w dziecinnej bajeczce, kto jest najpiękniejszą na świecie, aż Jan musiał ostrzec ją przed niebezpieczeństwem zadawania takich głośnych pytań.

— Czy widzisz — mówił wskazując ogrom pokrytego śniegiem szczytu — tę górę, tam, na lewo? Wiesz jak się nazywa? Tower of Babel, jeden z dziesięciu szczytów, które nas otaczają, nazwany tak dlatego, że rozumie życzenia wypowiedziane w każdym języku.

— Naprawdę? I co robi?

— Mówi prawdę. Co wtedy, jeśli odpowie ci po chińsku, a ty nie będziesz mogła zrozumieć?

Czubkami palców podniosła zewnętrzne koniuszki oczu, stanęła twarzą do rozświetlonego wierzchołka góry i zawołała z całej mocy:

— Wieżo Babel, prawda, że jestem najpiękniejsza?

Jakże była wtedy radosna, beztroska, pełna jeszcze tajemnego ciepła wspólnie spędzonej nocy, a równocześnie świeża całą młodością tego poranka nad ukrytym wśród poszarpanego łańcucha szczytów przezystym jeziorem. Jak daleko zostały zmartwienia, kłopoty, niepokoje i obawy. Brała w siebie te góry, tę wodę i powietrze, wszystkie te żywioły tak zachłannie i gorąco, jak nocą brała w siebie kochanka i opiekuna, tego mężczyznę, który był jej opoką nie tylko w tym obcym świecie, ale, jak mówiła, od lat, tam, w kraju, który dla niego z kolei był tylko daleką, nieosiągalną legendą. Ale dla niej legendą były te tajemnicze góry, które starał się jej pokazać i objaśnić. Obiecał, że nazajutrz wstąpią nad jezioro Minnewanka, co było indiańską nazwą Jeziora Wodnych Duchów, leżące u stóp Diabelskiej Przełęczy, że pokaże jej górę zwaną przez Indian Śpiący Buffalo, że zaprowadzi ją raz jeszcze do gorących źródeł w Banff, od siedmiu tysięcy lat stanowiących obiekt czci Indian, którzy zjeżdżali tu z całych Gór Skalistych na obrzędy i zloty, miejsce to uważając za siedlisko dobrych i złych duchów. Słuchała, wyciągnięta na głazach głęboko sięgających w jezioro i patrzyła na Jana szeroko otwartymi oczyma. Aż nagle powiedziała ze zdumieniem:

— Ty w to wszystko naprawdę wierzysz!

Powiodł wokół ręką, zatoczył krąg obejmujący całą dolinę, góry, lasy i wodę, a potem spojrzał na nią.

— Jak można nie wierzyć? Przecież te wszystkie mity, legendy, to sama najgłębsza prawda życia. To źródła naszego istnienia. Była czy nie była Wanda, co nie chciała Niemca? Jako symbol polskiej historii?

— Jako symbol, tak, to co innego. Ale ty wierzysz, jesteś przekonany, że tu, w tej wodzie w rzeczywistości pływały przed-

potopowe ryby i że przez przełęcz schodziły diabły, żeby sobie pobaraszkować z wodnymi duchami...

— ...rusałkami — wtrącił — kuszącymi biednych diabłów wyzywającymi pozami ciała, wyciągniętymi beztrzesko na kamieniach.

— Mój ty biedny święty Antoni!

— Więc jak to jest, diabeł, czy święty?

Nie odpowiedziała, tylko przyciągnęła go do siebie i zaczęła całować tak zachłannie, jakby gotowa była oddać mu się jawnie, wśród tych gór i wody przychylnej im obojgu, swojskiej i obcej jednocześnie.

Więc teraz, gdy drżała mu w objęciu na wspomnienie ludzkiej podłości i strachu, nie przestawał głaskać jej głowy i cicho, niemal do ucha szeptał:

— Nie bój się, Inko, jesteś ze mną, pod moją opieką, nikt i nic nie może ci zagrozić.

A równocześnie wiedział, że kłamie.

— A może ty masz rację — odpowiedziała ciągle nie podnosząc głowy — że działają wokół nas ciemne siły, że dzieje się coś, czego nie potrafimy zrozumieć?

Och, gdyby mógł jej powiedzieć, że te siły, jakie tym razem stanęły na ich drodze zna aż za dobrze, że może nazwać je po nazwisku, łącząc z wieloma innymi nazwiskami, które wymieniała niejednokrotnie w ciągu ostatnich paru dni, ale po co, i tak jej ta wiedza nie ominie, prędzej, niż sądzi — przecież „Batory” odpływa pojutrze.

— Ten facet w Michigan... Czy mieszkał tam od dawna?

— Nie, o ile wiem, przyjechał tylko na jakieś stypendium, ale nie znam szczegółów, poznałam go dopiero w ostatnich tygodniach. Ty coś o nim wiesz, prawda? Błagam cię, powiedz!

— Bardzo niewiele. Tyle, że może być groźny dla ciebie tam, w kraju.

— Groźny? W jakim sensie?

— W takim samym, jak w Michigan. Potwarze, szantaż, próby wymuszenia. Strzeż się go, jeśli możesz.

— Ale jak? Jak można ustrzec się przed ludzką podłością?

Nie miał na to odpowiedzi. Widział w swym długim życiu tyle już przypadków niesprawiedliwości, fałszu, pomówień i intryg, że dawno zrozumiał bezradność prawdy czy uczciwości w walce ze złem. Stąd może wywodził swoją głęboką wiarę w istnienie złych sił, a potwierdzenie swych wierzeń raz po raz znajdował zarówno w codziennych doświadczeniach, jak i w mitach, legendach, bajkach, które ze szczególną siłą przemawiały do wyobraźni właśnie tu, wśród gór ciągle jeszcze pełnych indiań-

skiego folkloru, dla jednych zepchniętego do roli turystycznych atrakcji czy muzealnych eksponatów, do innych jednak, do których Krzemień się najchętniej zaliczał, widocznego w każdym zakątku tego olbrzymiego kraju, na każdej ośnieżonej grani, w głębi każdego wysokogórskiego jeziora. Czyż Wielki Duch tak bardzo różnił się od chrześcijańskiego boga? Czy zasady etyki i honoru tych rzekomo prymitywnych Indian tak bardzo odbiegały od zasad wypracowanych przez wieki europejskiej cywilizacji? Czy ich stałe obcowanie z przyrodą, i to przyrodą wspanialszą, niż fantazja wyobrazić by to mogła, nie dało tym ludziom mądrości o jakiej współczesny człowiek marzy tylko? Zdawał sobie sprawę ze swych panteistycznych ciągotek, jak je zwykle nazywał, ale dobrze mu z nimi było i nie miał zamiaru nawracać się na konwencjonalne formy wiary. Od religii odszedł już dawno, rozgoryczony niesprawiedliwością zbyt często doświadczaną, a może po prostu nie spotkał kogoś, kto by go do niej z powrotem przywiódł. Krystyna była zbyt młoda i właściwie religijnym problemom obojętna, mimo że gorliwie uczęszczała na polskie w Londynie nabożeństwa, trochę z przyzwyczajenia, trochę uważając je za towarzyską rozrywkę. Jego druga żona, protestantka z przekonania i zasad, religię traktowała jak ciężki obowiązek, nic więcej, nie podkładała pod nią żadnych intelektualnych czy nawet emocjonalnych treści, toteż dopiero zostawszy sam Krzemień dopracował się własnego na te sprawy poglądu, a częste pobyty w górach i niespodziewane zainteresowanie historią kanadyjskich Indian pomogły mu wielce. Nie, nie żartował mówiąc Ince tej pierwszej wspólnej nocy w Banff, że gotów jest dziękować szatanowi czy diabłu za dar należny tylko młodości. Patrząc wstecz, zwłaszcza dzisiaj, po tym porannym telefonie, zobaczył żelazną logikę zdarzeń, które mu Inkę dały, i z trudem tylko nazwać by je mógł działaniem błogosławionej opatrności. Tuląc do piersi tę młodą kobietę, której pożądał z każdym dniem coraz silniej, którą nie mógł się nasycić wiedząc równocześnie, że bierze w siebie truciznę zbyt mocną na swój wiek i siły, odważnie spoglądał ponad jej nisko schyloną głowę w stronę czarnych teraz i ponurych gór, śmiało podniósł ku niebu oczy i gotów był rzucić wyzwanie wszystkim mocom, które mu ją oddały i natychmiast chciały odebrać. I wiedział w tym samym momencie odważnego porywu, że wobec mocy tych, ziemskich czy nadprzyrodzonych, okaże się raz jeszcze bezradny, wiązało ich bowiem tak mało naprzeciw spraw, które musiały ich rozdzielić. Czas, czas, śmieszny Fauście, działa przeciwko tobie, mówił bezgłośnie, ciągle jeszcze opaloną i surową twarzą zwrócony do czarnych gór, nie dziś, to za miesiąc lub rok czas upomni się o swoje prawa

i odbierze ci ją bardziej dotkliwie, niż stanie się to teraz, gdy oboje jesteście mimo wszystko przygotowani na rozstanie. Za rok czy dwa, jeśli twoje zmęczone serce pozwoli ci żyć tak długo, Inka będzie ciągle jeszcze młodą i ponętną kobietą, pełną tego samego temperamentu i seksualnych pragnień, które z takim upodobaniem demonstrowała podczas tych paru nocy i dni, podczas gdy ty, Janie Krzemieniu, niedobitku drugiej wojny światowej, weteranie i były więźniu obozów... Co, u diabła, układam swój nekrolog, czy co?

— Słuchaj, mała — powiedział podnosząc się z leżaka, na którym wspólnie teraz leżeli — robi się naprawdę chłodno, czas na coś pokrząpającego ducha, coś w rodzaju mocnego *drink'a*, co?

Podniosła się posłusznie, ale nie puszczała jego ręki, nawet gdy schylił się po porzucony koc, nawet gdy wprowadził ją do niespodziewanie jasnego hallu, gdzie nieliczni o tej porze turyści, przeważnie starsi i mało interesujący ludzie, w milczeniu spoglądali na migoczącą kolorowymi obrazkami telewizję. W ostrym świetle wielkich żyrandoli wyglądała blado i mizernie, przy czym, jak tego Krzemień nie omieszkał sobie uświadomić, tryb życia ostatnich dwóch nocy grać musiał rolę niemałą. A jak ja wyglądam?, zastanawiał się prowadząc ją w stronę baru, gdzie dyskretny półmrok pozwoli im skryć się przed zbyt ciekawymi spojrzeniami, jakimi milczący widzowie odprowadzili tę niedobraną parę — szczupłą i wysoką dziewczynę czy kobietę w puchowej kamizelce i z lekką przygarbionego jej towarzysza, z daleka rzucającego się w oczy siwą czupryną kontrastującą z głęboką opalenizną twarzy.

— Uważają mnie pewnie — zauważył, gdy siedli przy stoliku — za twojego *sugar daddy*.

— Nie rozumiem. Słodkiego tatusia?

— Nie. Po prostu pozwalającego się naciągać opiekuna.

Nawet w przyćmionym świetle dostrzegł, że się zaczerwieniła, ale gdy chciał ją przeprosić za nietakt, wyrwała mu dłoń.

— Dobrze mi tak. Należy mi się. A tak cię prosiram, że chcę sama za wszystko płacić!

— Ależ Inko, ja nie o tym... Ja mówię o ewentualnościach na przyszłość.

Zamówił dwa bourbony z wodą sodową, podał jej papierosa, którym zaciągnęła się głęboko. Ale kiedy podniósł w jej stronę szklaneczkę ze złocistym płynem, odpowiedziała mu spojrzeniem tak smutnym, że znów wyciągnął do niej rękę.

— *Salute!* — powiedział. — Za lepszą przyszłość.

— *Salute!* — odrzekła. — Nie będzie lepszej przyszłości dla

nas. Ani tu wspólnie ani dla ciebie samego, ani dla mnie samej, tam, w Polsce. Pijmy za chwilę obecną, dopóki trwa i nie mówmy o jutrze, dobrze?

Więc nie mówili. Ani przy drugim *drink'u* w barze, ani potem, gdy po pół godzinie zeszli odświeżeni na obiad do prawie zupełnie pustej restauracji, ani tym mniej jeszcze później, gdy sami tylko, w mroku drugiego baru, tańczyli przytuleni do siebie nierozłącznie. „The Glacier Lounge” rozbrzmiewała znów, jak poprzednio w Banff, sentymentalnymi melodiami okresu młodości Jana, okazało się zaś że i Inka nie przepadała za współczesnymi rytmemi rock-and-roll, a nie tylko wołała, ale wcale dobrze znała repertuar lat czterdziestych, okres świetności wielkich orkiestr jazzowych i filmowych. Mogli więc unikać tematów kłopotliwych, a zamiast nich cieszyć się jeszcze jedną łączącą ich więzią, wspólnym zamiłowaniem do tej samej muzyki.

— Skąd ty tak dobrze znasz słowa do tych piosenek? — spytała, gdy zanucił refren jednego czy drugiego popularnego przeboju z dawnych lat.

— Widzisz, to była muzyka mojej młodości, w dodatku zabroniona przez Niemców, więc tym cenniejsza. Gershwin, Cole Peter, Les Brown, wielcy kompozytorzy tamtych lat, to wtedy brzmiało jak tajemnicze wezwanie z dalekiego, nieosiągalnego świata.

— Nie przypuszczałam, że tak bardzo, w każdej niemal sprawie, żyjesz do dzisiaj tamtym okresem.

Pominał podtekst jej słów, próbował tłumaczyć, że to znów dzisiaj modne, że nostalgia, że styl retro, ale zaplątał się i postanowił szybko zmienić temat.

— Żebyś nie myślała — powiedział po którymś tańcu — że jestem zupełnie zmumifikowany... och, nie przerywaj, mówię nie o tych rzeczach... powiem ci, że za parę lat tu będzie centrum świata.

— Tu? W tej głuszy? Nad tym cudownie spokojnym jeziorem?

— Ale zachowaj to dla siebie, na razie to jeszcze nieoficjalne. Wszystko wskazuje na to, że za sześć lat, po Sarajewie, tu będziemy gościć następną olimpiadę zimową.

— Coś takiego! Tu, w Lake Louise?

— Częściowo, przynajmniej konkurencje narciarskie, bo resztę przyjmie zapewne Calgary.

— Stare, poczciwe Kalgary? Dobrze, ale dlaczego to ma być tajemnica?

Roześmiał się nad jej niewinnością obywatelki demoludu,

tłumaczył, jak tego rodzaju wiadomość podnosi cenę ziemi i jakie stwarza możliwości spekulacji. Były to dla niej rzeczy tak nowe, że nie mogła zrozumieć jak w wielkim Parku Narodowym wykupywać można działki i sprzedawać je potem z dziesięciokrotnym zyskiem, dopiero gdy przytoczył przykład Zakopanego, zaczęła pojmować, jak przez ludzką chciwość z uzdrowiska można zrobić śmietnik.

— To nie tylko Lake Louise, czy Banff, wszystkie tutejsze resorty narciarskie skorzystają z tego, nie mówię już o inwestycjach, ale ruch turystyczny, światowa sława zmienia charakter tego rejonu, nie wiem tylko, czy na lepsze.

— Czy nie obrazisz się, jeśli ci zwrócę na coś uwagę? Już drugi raz używasz określenia resorty, mając na myśli ośrodki turystyczne czy sportowe. W Polsce dzisiaj resort to tyle, co ministerstwo.

Teraz Jan poczuł, że się czerwieni, choć zdarzało mu się to ogromnie rzadko, szczycił się swoją czystością języka, dumny był, że mieszkając tyle lat poza krajem zachował nie tylko dobry akcent, ale zarówno gramatykę, jak słownictwo czy nawet nowe idiomy przyswajał sobie z łatwością, ba, chwalił się tym, że wymowa nowoprzybyłych z kraju była sztuczna, telewizyjna, podczas gdy jemu udało się zachować staranność, kulturę języka wykształconych ludzi okresu przedwojennego. I oto teraz tak fatalnie się potknął!

— *Touché* — powiedział i podniósł kieliszek koniaku, którym kończyli niedzielę nad wielkim jeziorem. — Dziękuję ci za uwagę, naprawdę bardzo sobie to cenię, że mnie poprawiłaś...

Mówiąc czuł, że wpada w sztampe, używał frazesów mających pokryć zmieszanie, brzmiał sztucznie, fałszywie. Może to urażona duma, może rozdrażnienie poprzednimi myślami sprawiły, że coś się nagle popsuło, atmosfera tego wieczoru, który miał być bez troski, pękła, uleciała. Wypił koniak i niezręcznie spojrzął na zegarek. Zrozumiała i podniosła się z krzesła.

— Jeszcze jeden taniec?

— Tak — odpowiedziała ironicznie. — Ostatnie tango w Paryżu.

Odprowadził ją na górę i pod pretekstem załatwienia jeszcze kilku spraw na jutro zszedł na dół, do najbliższego telefonu. Podał numer karty kredytowej i poprosił o połączenie z Ottawą, skąd natychmiast odezwał się lekko zaspany głos Romka Kaplińskiego, przyjaciela od wielu lat wspólnej pracy telewizyjnej, w CBC, gdzie Roman prowadził dział nieoficjalnych, plotkarskich nieraz infor-

macji dyplomatycznych, wzorując się stylem reportażu na amerykańskim korespondencie ABC, Salingerze. Swoje upodobanie do wszystkiego co francuskie demonstrował najchętniej przy stole, na którym dobre wino znaczyło czasem więcej, niż potrawy, starannie zresztą dobierane, a dla Krzemienia, samotnika i często abnegata, będące symbolem zadomowienia, sytego, mieszczańskiego szczęścia.

— Cześć, Romek, Janek mówi.

— A, jak się masz, stary? Skąd dzwonicz?

— Nie obudziłem cię przypadkiem?

— Nie, skąd znowu, dziecinna godzina, do północy daleko. Jesteś może w okolicy? Mam dobry koniak, prosto z Francji.

— Dziękuję, chętnie, ale może innym razem, teraz trochę za daleko, bo dzwonię z Banff.

Usłyszał, jak cichutko szcęknął telefon i wiedział, że Madame Kaplinsky, czy po prostu Madelon, nie mogąc dłużej powstrzymać swej chorobliwej ciekawości, podniosła drugą słuchawkę. Roman, którego zazdrość i ciekawość żony doprowadzały do szału, i tym razem zaryzykował dowcip, nigdy nie wiedząc, ile ta przebiegła kanadyjska Francuzka zdoła zrozumieć z języka, który oficjalnie bojkotowała:

— Nie ma to, jak być rozwodnikiem... Co ty tam robisz w tej dzicz?

— Opowiem ci kiedy indziej, na razie mam do ciebie prośbę po linii zawodowej.

— A, jeżeli po linii, to słucham.

— Czy nazwisko radcy Protasiewicza mówi ci coś?

Kapliński zastanawiał się przez długą chwilę, słysząc było, jak sapał i mruczał, w końcu powiedział:

— Coś tak jakby znajomego, ale nie skleję... Zaraz potrzebujesz?

— Jeśli to możliwe.

— Wiesz co, Janek, daj mi popytać, oddzwonię ci za pół godzinki.

— Wolałbym raczej nie.

— Nie jesteś sam?

— Powiedzmy.

— *J'espère qu'elle ne parle pas polonais?* — przeszedł na francuski wiedząc, że ciekawość żony musiała osiągnąć punktu wrzenia, jak działa się za każdym razem, gdy zaczęli mówić o kobietach w języku, którego udawała, że nie zna.

— *Elle est Polonaise.*

— *Oh, boy* — jęknął tamten. — *Spricht sie Deutsch?*

— *Ich hoffe nicht, aber ich weiss nicht.*

— *Espagnol?*

— Co ty mi u diabła egzamin z języków obcych urządzasz? — zdenerwował się w końcu Krzemień. — Możesz się dowiedzieć, to dobrze, zadzwonię do ciebie za godzinę, *Okey?*

— Za godzinę udajemy się na spoczynek, jak mawiała miłościwie nam panująca królowa Wiktorja. Protasiewicz, powiadasz? Mały, łysawy blondyn? Głos miodowy, jakbyś masłem smarował? Najświeższy nabytek ambasady?

— Chyba ten sam — zaryzykował Krzemień, mając ciągle w uszach uprzedzająco grzeczną dykcję porannego rozmówcy.

— No, to już wiem, przypomniałem sobie. Trzymaj się z daleka. Rezydent.

— Co to znaczy prezydent? Prezydent czego?

— Ta rozpusta kiedyś cię wykończy, już ci się na słuch rzuca. Rezydent, baranie, nie prezydent. Ar, i, es, aj, di, i, en, ti, *ponimajesz po angijski?*

— Dobra, dobra, niech będzie rezydent. Co to znaczy? Że przyjechał na placówkę na stałe?

Kapliński zarechotał basowo, jego głos dudnił w słuchawce tak blisko, jakby siedział w tym samym pokoju, Krzemień widział jego roześmiane oczy i szerokie, grube usta.

— Tyle lat razem pracujemy, naiwniaczku ty mój, a jeszcze nie znasz podstawowej nomenklatury. Rezydent to szef wywiadu w ambasadzie, ważniejszy o dwa oczka od samego ambasadora. A co ty masz do niego, czy on do ciebie? Zaczepia cię? Chce darmowe bilety na jakiś mecz? Daj mu, niech się odczepi.

Dam mu, niech się odczepi, pomyślał gorzko, a głośno powiedział:

— Dziękuję ci, Romek. I przepraszam, że tak późno dzwoniłem. *Mes amitiés à Madelon* i cześć.

— Nie ma za co. Baw się dobrze i uważaj tam na zakrętach. Wiesz, jak jest, znamy się nie od dzisiaj. Czuwaj!

Zapałił papierosa i wyszedł przed hotel, chcąc uspokoić się przed powrotem do Inki. Potwierdzały się więc wszystkie najgorsze podejrzenia, była w ich ręku i oto znalazła drogę do niego, u niego szukała ratunku przed nimi, przed wszystkim tym, co za nimi stało, a on, Jan Krzemień, wielki kanadyjski dziennikarz, niezależny i bogaty, samotny i niczym nie związany, nie mógł zaofiarować jej niczego poza kilkoma nocami w luksusowym, wiktoriańskim hotelu nad brzegiem wody wciąż jeszcze wielkiej i czystej, ale już zabarwionej cieniem nieuniknionych, czarnych chmur. W głębi nocy majaczył biały duch lodowca, jego grań

ledwie połyskiwała odbitym księżycowym światłem, coraz słabszym, coraz bezsilniejszym wobec nawały ciemności ciągnącej wraz z nocą i zapadającej nad całym tym tak jasnym, tak barwnym i tak bardzo kruchym światem, którym cieszył się przez te parę krótkich dni.

Szerokim zamachem ramienia rzucił papierosa w stronę wody i nie czekając aż zgaśnie zawrócił do błyszczącego sztucznymi światłami hotelu. Była minuta po dwunastej.

VII. DROGA NA WSCHÓD

— Powinnam była zaśpiewać „Młynarko puść, do diabłów stu, nie będę stać na zimnie...”.

— „Młynarko puść — podjął Jan — nic złego tu nie stanie ci się przy mnie”.

Ostatnie słowa śpiewali już razem i razem roześmieli się na wspomnienie tej pierwszej wspólnej nocy sprzed dwóch zaledwie dni, która teraz, z perspektywy tego, co zdążyli przeżyć, wydawała się jakąś zamierzchną przeszłością, jakby zdarzyła się w innym, dawnym świecie, jeszcze pozbawionym gór, i księżycy, i następnych nocy, jeziora i odległego lśnienia lodowca, przyjaznych wiewiórek i złotoczarnych chipmunków co przychodziły jeść z ręki, i łagodnych saren wśród leśnego igliwia, i dalekich kozic na stromych zboczach skał... Czerwony wóz niósł ich lekko, swobodnie, miękko kładąc się na serpentynach szosy wiodącej w dół, coraz niżej w dół, a oni, jak dwoje rozbawionych młodzików, śpiewali beztronską piosenkę sprzed wieków, z innej epoki, z innego świata.

Krzemień prowadził wóz lewą ręką, prawe ramię otaczało plecy Inki, roześmianej, pogodnej, patrzącej prosto przed siebie, jakby to, co pozostawało za nimi zachowało tak mocno w pamięci, że nie czuła potrzeby oglądania się na zamykające się za autem góry. Raz tylko, gdy mijali Banff szosą wijącą się między ostrymi trójkątnymi skałami wokół miasteczka, Inka raptownie odwróciła głowę w prawo, jakby chciała raz jeszcze zatrzymać w oczach i Tunnel Mountain, i z daleka połyskującą sznurem wagoników linowej kolejki Siarkową Górę, i zagubiony gdzieś wśród drzew wiejski cementarzyk, ale zaraz potem znów wyprostowała się, spojrzała przed siebie i wtuliła ramiona w opiekuńcze objęcia Jana. Jechali prosto w wysokie nad dalekimi periami słońce,

raz po raz wynurzali się z cienia mijanych kolejno gór, niespiesznie ale stale dążąc ku celowi tej ostatniej wspólnej podróży.

Jeszcze poprzedniego wieczora odkrył, że Inka ma zupełnie dobry, choć niewyrobowany głos i od czasu, kiedy w tańcu zaczęła nucić „The Taste of Honey”, nieświadoma gorzkiego podtekstu, jaki Jan podkładał sobie pod tę melodię w związku z porannym telefonem, coraz częściej i śmieiej śpiewała, może nie tyle dla niego, co dla siebie samej, jakby w ten sposób chcąc wyrazić przepelniające ją szczęście. Okazało się, że już w czasach szkolnych, w Warszawie, zaczęła najpierw kolekcjonować, a potem studiować polskie i zagraniczne piosenki z lekkiego, rozrywkowego repertuaru, Janowi znanego z okresu jego własnej młodości. Ostatnio, w Michigan, połowę zarobków, jak twierdziła z przesadą, wydała na płyty i magnetofonowe taśmy nagrań muzyki zarówno poważnej, jak właśnie tej rozrywkowej, lekkiej, raz jeszcze więc wracał temat wiążący ich blisko, przypominali sobie wzajemnie melodie i słowa, kompozytorów, wykonawców, solistów i wielkie orkiestry tamtych czasów, a Jan, nucąc wraz z nią wracał do swojej młodości, nagle odzyskanym, nagle świeżym głosem. Gdy tylko minęli Banff i zjeżdżać zaczęli na coraz szerzej otwarte przetrzenie ta muzyczna sesja, jak mógł się tego spodziewać, doprowadziła do jednej jeszcze konfrontacji z przeszłością, i to zgoła niedawną. Oparta o jego ramię Inka pogłaskała czerwoną skórę wnętrza auta i nagle zaśpiewała po rosyjsku:

*O szaraban moj, amierikanka,
ja nie artystka, ja szarlatanka...*

Spojrzał na nią zdumiony, słowa te bowiem miał ciągle jeszcze w uszach z baru „Zum Blonden Kaetchen”, gdy uchwycona smugą reflektora Kasia skarżyła się ciemnej widowni, jakby podając w wątpliwość swoją, pożał się Boże, sztukę.

— A to skąd znasz? — spytał.

— Jak to, przecież to z repertuaru Ordonki.

— Naprawdę? Nie wiedziałem, że ona śpiewała po rosyjsku.

Inka zaczerwieniła się mocno, sięgnęła po papierosa.

— A, może kiedyś tam. Ale przepraszam cię, nie powinnam była.

— Dlaczego?

— Przecież sama zwróciłam ci uwagę, kiedy powiedziałeś coś po rosyjsku. Powinniśmy tego unikać.

Czy jednak, mimo pozorów, wiedziała coś o przeszłości, o swoim pochodzeniu, o Dianie? Czy może to posolidarnościowa reakcja na wszystko, co pochodziło ze wschodu?

— A Wertyńskiego znasz? Okudzawę? Galicza, Wysockiego? Ich też nie należy śpiewać?

— Też — powiedziała z zawziętym wyrazem twarzy. — To Ruchy.

— Tak ich nienawidzisz?

Zdjęła jego rękę ze swych pleców, położyła ją na udach i ścisnąwszy mocno palcami, aż do bólu, wyszeptwała:

— Tak. Tak. Jak zarazy najgorszej, jak moru, jak największego w życiu zła.

Zdumiał się siłą tej nienawiści. Sam spędził trzy lata w sowieckiej niewoli, przez Rosjanina stracił Dianę, którą kochał silnie i prawdziwie, przez stalinizm wyjechał z kraju i nigdy tam więcej nie decydował się wrócić, a mimo to zachowywał w głębi serca pewien sentyment do kultury rosyjskiej, chętnie czytał niektórych pisarzy, słuchał pewnych utworów, lubił język jędrny, dobitny i dźwięczny zarazem, nie, nie odrzucał z góry czegokolwiek dlatego tylko, że miało etykietkę rosyjskości. Starał się zrozumieć ten dziwny kraj, jego ludzi, historię i kulturę, a choć trudno było wiele rzeczy akceptować, niektóre zaś okazywały się wręcz odrażające, ogółem biorąc starał się być obiektywny. Daj Polakowi kieliszek wódki, mawiał nieraz, zaśpiewaj mu *cyganskiej roman* czy inną *sierdceszczipatelnuju piesnju* i możesz z nim robić, co chcesz, smarować go jak masło, mamy w sobie do kultury rosyjskiej stosunek co najmniej ambiwalentny, *odi et amo*, łączy nas być może równie wiele, jak dzieli, a my, urodzeni i wychowani w dawnej Kongresówce, wciąż w jej zasięgu, nie możemy się z tej presji otrząsnąć. Nie wszyscy się z tym poglądem zgadzali, Stefan Rojewski, nieprzejednany w swoim krytycznym stosunku do Rosji, spierał się nieraz z Krzemieniem na te tematy, inni, jeszcze bardziej „niezłomni” politycznie, wręcz posądzali go o sprzyjanie warszawskiemu reżymowi, więc nie afiszował się ze swymi poglądami, czasem tylko, po dwóch koniakach w Domu SPK gotów był prowokować rozmówców twierdząc, że Sołżenicyn jest jednak wielkim pisarzem, a koncerty fortepianowe Rachmaninowa mają światową klasę. Spierano się z nim gorąco, w końcu jednak fakt, że należał do nielicznych, którzy nigdy do Polski nie jeździli z głębokiego przekonania o niewłaściwości ubiegania się o pozwolenie na wjazd do własnego kraju, przekonywał o jego uczciwości nawet najbardziej „niezłomnych” ze starszego pokolenia. A ponadto coraz częściej spostrzegał, że nowoprzybyli, zwłaszcza ostatnia fala posolidarnościowej emigracji z Polski, byli bezkompromisowi i nieubłagani w swojej wprost dzikiej antyrosyjskości, irracjonalnej, ślepej, bezwzględnej. Tłumaczył to sobie zdrowym

instynktem samoobrony wartości narodowych, toteż i teraz zdecydował się zlekceważyć wybuch Inki.

Odwróciwszy dłoń pogłaskał ją delikatnie po udzie, ruchem pieścizliwym i intymnym, a zarazem uspokajającym. I zaraz przypomniał sobie pierwszą drobną sprzeczkę z Dianą, o politykę, oczywiście, jedną z tych, które miały potem powtarzać się częściej w czasie ich krótkiego, paratygodniowego zaledwie związku. Nie, powtórzył w myśli, nie pozwólmy popsuć sobie tych ostatnich chwil razem, tego zakończenia górskiej przygody.

— Obejrzyj się — powiedział łagodnie — jeszcze jedno spojrzenie na Rockies, jeszcze jedno *bye-bye*...

— Nie chcę — odmruknęła niechętnie. — Nie lubię się na nic oglądać, co moje, to mam w sobie, bez powtórek.

Ale nie odepchnęła jego ręki, przyjmowała tę pieśczoć jak coś naturalnego, pragnęła jej i potrzebowała. Strzałka szybkościomierza na tablicy czerwonego Trans-Am nie schodziła poniżej stu kilometrów na godzinę. Inka wyprężyła się na oparciu fotela, przymknęła oczy, aż nagle zwróciła się do Jana ostro, zaczepnie:

— Nie boisz się, że stracisz panowanie nad autem?

— W moim wieku nie traci się panowania tak łatwo. Nad niczym, nad autem, czy nad sobą.

— A nad losem? Czy chcesz prowokować los?

— Czy kiedykolwiek panujemy nad losem? — odpowiedział pytaniem, nie odrywając oczu od szosy, pustej jeszcze o tej wczesnej porze, ale od czasu do czasu blokowanej szerokimi karoseriami zjeżdżających z gór turystycznych pojazdów, rodzinnych domów na kółkach, wielkich ciężarówek. Koniec sezonu, pomyślał, coś się kończy, jak kiedyś zatytułował jedno ze swych opowiadań Ernest Hemingway. A mimo to, dla pewności, położył prawą rękę z powrotem na kierownicy.

— Już widać na horyzoncie Calgary — powiedział cicho.

Zwolnił, gdy szosa wprowadziła ich do miasta, pokazywał Ince mijane po obu stronach miejsca projektowanych tu konkurencji olimpijskich, a to Park Olimpijski, to znów uniwersytecki stadion i halę sportową, żartował, że olimpiada ta oznaczać będzie w jego życiu symboliczny awans, od czasów okupacji, gdy pracował w warsztacie koncernu „Auto Union” za znak firmowy mającego cztery kółka, aż po olimpijskie pięć kółek, co w jego ocenie sprawowało się do jednego zaledwie więcej zera, niczego więcej za całe czterdzieści lat dzielące te okresy, mówił o tym tak swobodnie, jakby oboje mieli uczestniczyć w przyszłych igrzyskach, jakby nie dzieliło od realizacji tych planów długie sześć lat, tysiące kilometrów, niezliczone granice i wielu, jakże niepokojąco wielu ludzi. Musiała o tym myśleć, bo tylko nieuważnym spojrzeniem

potwierdzała, że słyszy, ale zaledwie przejechali nad miastem i skręcili w stronę lotniska, spytała:

— I ty wierzysz, że to wszystko dojdzie do skutku?

— Olimpiada? — udał, że nie rozumie. — Oczywiście, planujemy od dłuższego czasu, a jeśli coś jest dobrze zaplanowane, musi się udać.

— A jeśli coś nie jest wcale zaplanowane? Może się udać?

Zatrzymał wóz przed parkingiem Hertza, zgasił motor i spojrzął na nią z czułością.

— Może, jak widać na załączonym obrazku. I to wcale nieźle. A teraz oddamy auto, samolot mamy za pół godziny, jeśli chcesz napijemy się kawy.

Posłusznie, bez słowa wysiadła, Jan zdjął z tylnego siedzenia jej małą walizkę, swoją torbę, potem dużą, nylonową walizę, którą mimo protestów Inki kupił w Banff na zapas, jak mówił, tłumacząc, że jej nowe ubrania i buty na pewno nie zmieszczą się w podręcznej walizce. Nie wspomniał wtedy, że zamierzał wypożyczyć ją później, w Toronto, w szereg jeszcze rzeczy, tak jak nie wspominał o grubym, złotym łańcuszku, który kupił bez jej wiedzy, mając na myśli pewien pożegnalny prezent, na później, także na później... Podczas gdy załatwiał proste formalności zdania wozu, sprowadzające się właściwie do podpisania karty kredytowej i oddania kluczy, Inka stała przy bagażach, nagle zgaszona, nagle bez uśmiechu, jakby po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że oto rusza w drogę na wschód, za sobą zostawiając krainę dzikiej róży i szlaki orlich gniazd, wszystkie to, co przepełniało ją nieznanym dotychczas szczęściem przez te ostatnie trzy dni. Tyle tylko, że ciągle jeszcze miała przy sobie mężczyznę, toteż gdy tylko wrócił, ujęła go mocno za rękę i nie puszczała jej nawet wtedy, gdy siedzieli już w samolocie, gdy cicho zagwizdały silniki i stuosobowy B 727 linii „Air Canada” w niedostrzegalnym, niemożliwym do ułowienia momencie oderwał się od ziemi.

— Czego się napijesz? — spytał Jan, gdy stewardessa zaczęła zbliżać się ze swoją tacą na kółkach. — Kawy, herbaty, soku? Czy może czegoś mocniejszego na początek dnia?

— A wiesz, że napiłabym się... piwa?

Roześmiał się i czule objął ją, wyswobodziwszy rękę z jej palców.

— Biedna ty moja ofiarno zgubnego nałogu! Już cię widzę, jak zatrzymujesz się przed każdą budką z piwem i zamawiasz kufel okocimskiego, czy żywieckiego, czy jak ono się teraz nazywa...

— Tak — powiedziała matowo, wcale nie ubawiona. — Ilekroć odtąd spojrzę na budkę z piwem...

Zabrakło jej głosu, odwróciła tylko głowę do okna i udała, że przygląda się powierzchni chmur, ponad które właśnie wyszli, że śledzi z zainteresowaniem cień maszyny wiernie im towarzyszący pod skrzydłem, ale Jan wiedział, że nic z tych widoków nie docierało do jej świadomości, że istotnie stała teraz przed budką z piwem na pustej, poznańskiej ulicy, samotna, zatopiona we wspomnieniach, bezbronna i tak bardzo biedna wobec tych wszystkich ludzi, swojej własnej matki, Urgaczów i Protasiewiczów, zazdrosnych kolegów z instytutu i sąsiadek, obmacujących oczyma każdy łaszek przywieziony z zagranicy, lustrujących jej kosmetyki i drobną biżuterię, rzucających domyślne uśmiešky. A potem nagle zobaczył, że Inka trzyma za rękę małego, trzyletniego chłopca, który tuli głowę do jej uda i prosi: Mamusiu, nie płacz...

Bez słowa podał jej zapalony papieros, starannie nalał piwo i siląc się na uśmiech powiedział:

— *Salute*, Inko. Ucho do góry.

Obrzuciła go uważnym, krytycznym spojrzeniem, była surowa i zamyślona, kiwnęła tylko głową i wypięła duży haust piwa. I dopiero wtedy wargi jej zmiękły, złagodniały, do oczu wrócił uśmiech.

— Dobrze. *In vino*, i te de, prawda?

— Jasne. Jedyne sposoby.

Obracała w palcach butelkę, patrzyła na błękitną etykietkę, na której dwa złote lewki przyjaźnie splotły łapki i z uśmiechem na pyszczkach patrzyły sobie wzajemnie w oczy.

— Już dawno chciałam cię o to zapytać: jak ty to robisz, że mimo tych ilości alkoholu, a zwłaszcza tego wspaniałego Molsona, nie wyhodowałeś sobie tego, co Niemcy tak ładnie nazywają *Bierbauch*?

— Ale się staram, prawda? Widzisz, to cnotliwe życie mnie chroni.

— Owszem, zauważyłam. Nie, naprawdę, jak zachowujesz sylwetkę?

Jan pogładził jej ramię z wdzięcznością.

— Zimą dużo jeżdżę na nartach, latem trochę chodzę na dalekie spacerki, trochę wiosłuję na jeziorze, jakoś się trzymam. A ty? Masz postać i ciało dwudziestolatki.

— Cnotliwe życie, nic więcej. Jesteś bardzo uprzejmy. Ale ja wiem, jeszcze rok, jeszcze dwa w naszych warunkach, przy stałym braku wszystkiego... U nas ludzie strasznie szybko się starzeją.

A niech tam, powiedział sobie w duchu, nie będę dłużej czekał, może nie nadarzyć się druga okazja, trudno, niech myśli o mnie, co chce.

— Czy masz może fotografię twojej matki? — zapytał obojętnie, wstrzymując się, żeby nie sięgnąć po nowego papierosa.

— Nie — odparła natychmiast. — Ale mogę ci powiedzieć, że chociaż to już starsza pani, Diana ciągle jest bardzo piękna i ma świetną figurę. Czas jest dla was łaskawy, moi państwo.

Przemilczał to połączenie, choć nie wiedział, czy cieszyć się nim, czy oburzać. Więc jednak, gdzieś w głębi serca, Inka kojarzyła go z Dianą, mimo wszystko, lata, konflikty, odległości i różnice nie zatarły tej więzi? Czy to dobrze, czy źle?, zastanowił się, machinalnie obracając na palcu szeroką obrączkę z głęboko w nią wprawionym brylantem. Inka obojętnie sączyła piwo i patrzyła na chmury. Silniki samolotu mruczały uspakajająco, łagodnie. Aż nagle odwróciła się do niego i wyszeptła:

— Popatrz, popatrz, co tam się dzieje, widzisz?

Lecieli nad szeroką, nieogarniętą przestrzenią wielkich prerii, przesłoniętą cieniutką jedynie warstwą szarych obłoków, ale na prawo od nich, od południa, rosła w połowie nieba wielka, gęsta ławica czarnych chmur, wypiętrzająca się dwiema olbrzymimi wieżycami, od wschodu ciągle jeszcze oświetlonymi słońcem, ale już ponurymi i groźnymi. Raz po raz, to jedna to druga, rozpałały się wewnętrznymi błyskawicami burz, jakie rodziły się w ich głębiach, toczyły między sobą bezgłośny, choć straszny pojedynek, dwa samotne giganty na piersi bezkresnej czerni nasuwającej się na spokojną, bezbronną ziemię leżącą gdzieś nisko, w dole, nieosiągalną choć bezpieczną przynajmniej przez chwilę, zanim spadnie na nią rodząca się gdzieś w nieznanym przestrzeni burza. Czerwone i złote sygnały zdawały się wstrząsać pozornie niewzruszoną potęgą obu wielkich chmur, od zewnątrz tak pięknych i spokojnych, jakby nie rozdzierały ich siły straszliwe w swojej mocy, potężniejsze od całej tej spokojnej jeszcze natury, którą zniszczyć mogły w jednym błysku, w jednym ciosie. Biało-czerwony samolot defilował obojętnie przed frontem tego gigantycznego widowiska, zapatrzony w swój odległy cel, mechanicznie precyzyjny i doskonały w swej precyzji, a równocześnie tak znikomy, tak drobny wobec ogromu szykującej się klęski, że nawet nie zauważony przez przewalające się tuż obok moce. Wolno, pracowicie pokonywał swoją trasę, zawieszony na metalowych skrzydłach, i gdyby nie dwie twarze przytulone do szyby owalnego okienka zdawać by się mogło, że nikt nawet nie zauważył tego, co działo się nad niedalekim horyzontem.

Dopiero po kilku minutach Jan poczuł, że paznokcie kobiety wbiły mu się boleśnie w skórę dłoni, ale nie odsunął ręki, spytał tylko najcichszym szeptem, jakby nie chciał zbudzić uwagi tych

mocy, które dano im było podejrzeć w najintymniejszym spotkaniu namiętności, rozpaczy i grozy:

— Nie boisz się, prawda?

— Boże, jakie to wspaniałe! — odpowiedziała jakby obudzona z najbardziej niezwykłego snu. — Przecież to Walhalla, żywy Wagner!

— Bardziej prawdziwy, upewniam cię. I cieszę się, że niedługo lądujemy.

Czy ta żona lotnika naprawdę nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie groziło im w każdej chwili? Nie, była zupełnie spokojna, a jeśli zdawała się być podniecona, to na pewno nie z obawy wypadku, po prostu przeżywała wspaniałość widowiska, niepomna na własne zagrożenie. Młodość, pomyślał Krzemień z odrobiną zazdrości, on, który miał już życie niemal całkowicie za sobą i niewiele mógł się jeszcze dobrego spodziewać. Tak, bądźmy wdzięczni za wszystko, co jest nam dane, bogom, *whoever they might be*, nie myślmy, patrzmy i podziwiamy, zanim samolot znów nie zanurzy się w szare chmury a okien nie przysłoni brudna, lepka mgła.

Miasto, które zobaczyli w dole było tak samo mokre, nieprzytulne i mgliste, jak wtedy, przed czterema dniami, gdy startowali swoim srebrnym odrzutowcem, pełni oczekiwań i niepokoju, jeszcze sobie obcy a już bliscy, podróżni złączeni losem niejasnym i nigdy do końca nie odczytanym, nawet teraz, gdy wielki samolot zniżał się z wolna pod litą powłoką chmur tak niskich, że ginął w nich szczyt telewizyjnej wieżycy nad jeziorem Ontario, a wysokie budynki śródmieścia ledwie przeświecały przez burą mgłę tysiącami matowych od deszczu okien. Toronto leżało przed nimi połyskujące pierwszymi światłami jesiennego dnia, szare, wielkie i bezkształtne, jak szara plama rozmazana u brzegu równie brudnej i niespokojnej wody jeziora. Okna kabiny zapłakały nagle ukośnymi, wąskimi strużkami deszczu i mgły, które szybkość lądującej maszyny rozciągała w warkoczyki drobnych perełek, jakże różnych od widzianych rankiem srebrnych koralików radośnie zdobiących ożłocone słońcem zbocze Siarkowej Góry. I krótko stuknęły o mokrą bieżnię koła, samolot wstrząsnął się niechętnie, jakby żał mu było porzucać czystą przestrzeń nad chmurami i toczyć się ociężale po czarnym od deszczu pasie wśród nieprzejrzanego morza lampek, oświetlających lotnisko jakby to nie było wczesne popołudnie, a nieuchronnie zbliżająca się noc. A potem był zwykły rozgardiasz otwieranych nad głowami skrytek, tłoczenia się w przejściu między fotelami w oczekiwaniu na

otwarcie drzwi kabiny, uprzejme uśmiechy stewardess i chłód korytarzowego rękawa prowadzącego do lotniskowej poczekalni, potem znów krótkie czekanie przy bagażowej karuzeli na obie walizki, cały ten tak zwyczajny, aż do znudzenia znany rytuał przylotu, tym tylko od setek poprzednich różny, że Ince wydawał się zabawny, bo nowy. Kiedy wreszcie odebrali bagaże, Krzemień posadził ją w poczekalni i poszedł po wóz, czekający za sąsiednim hangarem. Nim zdążyła rozejrzeć się po starannie urządzonej, pogodnej, przestrzennej i nieskalanej czystym ogromie prawdziwie międzynarodowego, ba, światowego lotniczego dworca już byli znowu w znajomym teraz, ciasnym wnętrzu sportowego auta, Inka całowała go nie zwracając uwagi na kierowców na sąsiednich pasach jezdni, wycieraczki cierpliwie zmiatały coraz gęstszy deszcz sprzed ich rozradowanych znowu twarzy, wolno, na drugim biegu biegu wysuwali się z lotniskowego tłoku, a gdy Porsche wpadł na swobodną przestrzeń ryknął całą potęgą swego ośmiocylindrowego silnika i skoczył do przodu, popędzany ich niecierpliwością.

Krzemień mieszkał blisko lotniska, w Bramalea, mieście od Centrum o kilkanaście kilometrów odległym, nim jednak skierował się do domu postanowił zajechać jeszcze na dworzec autobusowy, odebrać walizki pozostawione przez Inkę po przyjeździe do Toronto, a po drodze z powrotem raz jeszcze wstąpić do polskiej dzielnicy po zakup wiktuałów, przesycony restauracyjnym jedzeniem, którego, przyznać musiał, zalety oceniała tylko jego towarzyszką, metodycznie i spokojnie konsumująca wszelkie zaproponowane jej potrawy, a przy hotelowych śniadaniach oferujących dziesiątki specjałów kulinarnych zachęcająco rozłożonych na szeroko rozstawionych stołach, próbująca jednej za drugą w sposób równie sumienny i systematyczny jak robiła to studiując obiadowe menu. Nie wypowiedział głośno swych podejrzeń, ale był mocno przekonany znając obyczaje nowych przybyszów z kraju, że w Michigan po prostu głodowała chcąc zaoszczędzić na sukienkę, zabawkę dla małego, czy luksus nowej płyty. Od chwili, gdy ją zobaczył przed czterema dniami, nie tylko wyspokojniała i wypiękniała, ale mimo ustawicznych skarg, że utyje, Inka okrągliła się bardzo, musiał to przyznać, korzystnie, nawet owal twarzy, dotąd zwracający uwagę wydatnymi kośćmi policzkowymi nabrał nowej miękkości, dodał jej nowego uroku. Tłumaczył więc, chcąc uspokoić obawy, że powinna jeść na zapas, zanim bowiem przyzwyczai się do nowej diety na statku, przejdzie pewnie okres braku apetytu, kto zaś może ręczyć za pogodę na Atlantyku o tej porze roku i wynikające z tego konsekwencje? I te rzeczowe, gospodarskie rozmowy o jedzeniu, diecie, tuszy pozwalały im

bez tragizowania mówić o odjeździe Inki jak o rzeczy najzwyczajszej, naturalnej, tak, jakby wyjeżdżała po prostu na urlop, z którego wraca się po tygodniu czy dwóch w ramiona stęsknionego kochanka po to tylko, żeby być z nim znowu razem, dzień i noc razem. I tak było dobrze, ostatecznie byli przecież dwójkiem dorosłych ludzi, a nie parą zakochanych dzieciaków, prawda?

— Jak my zmieścimy te wszystkie moje ciuchy? — zaniepokoiła się, spoglądając na tył wozu, gdzie obie walizki zajmowały pół siedzenia.

— Dużo tego masz?

— Jeszcze dwie walizy, trochę większe od tej nowej. Ale wiesz co, upchnę wszystko do obu, a tę nową zostawię, przecież ty więcej ode mnie podróżujesz, przyda ci się.

Był już zdecydowany, że nie będzie musiała tego robić. Odebrał ze schowka na dworcu autobusowym jej rzeczy, umieścił je nie bez trudu w ciasnym wnętrzu auta i zamiast z powrotem na zachód podjechał kawałek dalej, do Yonge Street, tej, jak ją miejscowi nazywali, najdłuższej ulicy świata, i betonową spiralą wprowadził wóz na wysokie piętro ciemnego, wewnętrznego parkingu. A potem wysiadł, otworzył przed Inką drzwi i ukłonił się przesadnie nisko.

— *Voilà, madame* — powiedział. — Wprowadzam cię do jednego jeszcze zaczarowanego królestwa, którym włada niejaki pan Eaton.

Kiedy półmrok parkingu rozjaśnił się szeroko otwartym wyjściem, Inka zatrzymała się zaskoczona. Tuż pod jej stopami leżała wabiąca tysiącami kolorów, światła, kształtów przestrzeń ogromnego niby to budynku, niby placu o czterech piętrach otwartych swobodnie balkonów, przykryta szklanym dachem oddzielającym ją od szarego na zewnątrz świata. Na ścianach tego dziwnego wnętrza szły w dół i w górę kryształowe, przezroczyste windy, po rozległych jak ulice balkonach wszystkich pięter krążyło, chodziło, spieszyło mnóstwo ludzi, jakby to nie był dzień powszedni, a jakieś radosne święto, beztronski wypoczynek, ciekawy spacer wśród wszystkich tych wabiących, kuszących, nawołujących reklamami sklepów, stoisk, restauracji i kawiarni. Muzyka, gwar, zapachy i kolory zlewały się w jedną, zaczarowanie piękną harmonię pejzażu wielkiego, nowoczesnego miasta.

— Gdzie my jesteśmy? — pytała zdumiona, oparłszy się o poręcz balkonu, chłonąc wszystkimi zmysłami ten widok tak niespodziewany po ciemnych, zadeszczonych ulicach miasta.

— Nazywa się to The Eaton Center i jest jedną z wielu atrakcji tego miłego miasteczka. Podoba ci się?

Zamiast odpowiedzi pocałowała go w usta, gorąco i otwarcie.

— Jest twój — odpowiedział na to. — Wybieraj, co zechcesz.

Widział, jak normalne, ludzkie i kobiece pragnienie posiadania walczy w niej ze skrępowaniem, świadomością niezręcznej sytuacji, jak oczyma bierze w siebie każdy szczegół i drobiaż z tych tysięcy przedmiotów wyłożonych na zewnątrz, w zasięgu łakomego wzroku i dotyku, a równocześnie hamuje ją wychowanie, może wstyd, na pewno dotkliwa świadomość własnego ubóstwa wobec tego przepychu wielkiego świata.

Otoczał ich tłum równie kolorowy, jak wnętrze tego kompleksu sklepów, przeważali w nim ludzie w średnim wieku, ubrani dostatnie choć sportowo, ale nie brakowało tu grup pomalowanych w najdziwniejsze kolory *punków* z ich indiańskimi fryzurami, czy starannie ubranych, pięknych dziewczyn, których jedyną troską był ładny i efektowny wygląd.

— Czy ci ludzie — spytała szeptem — to jacyś traperzy, czy farmerzy?

— Nie, to taki właśnie trapersko-turystyczny fason, charakterystyczny dla Kanadyjczyków. Nic to zresztą nowego, pamiętam, jak za moich czasów spotykałaś na Krupówkach ludzi, którzy nigdy nart nie mieli na nogach, ale chodzili od kawiarni do kawiarni z kandaharami na szyi.

— Co to są kandahary?

— O, Boże, zapomniałem, że ty należysz do pokolenia, które jeździ na automatycznych wiązaniach, na Tyroliach i Salomonach... To były takie stalowe linki trzymające but, ale zdejmowało się je, żeby nie ukradli i wieszano na szyi dla bezpieczeństwa, a często dla fasonu.

Widząc jej głodne spojrzenie i uważne przyglądanie się cenom wystawionych towarów, pośpiesznie dodał:

— Nie, nie wygrałem na loterii, nie wierzę w te rzeczy, ale trochę ostatnio dostałem pieniędzy z pewnych inwestycji, naprawdę mam je na zbyciu — mówił uspokajająco i prowadził ją wzdłuż szeroko otwartych wewnątrz sklepów, zatrzymywał przed atrakcyjnymi pokazami mody czy kosmetyków, a w końcu posadził ją przy stoliku francuskiej restauracyjki i zaproponował kawę. Lunch jedli niedawno w samolocie, nie mogła być głodna, chciał jedynie, żeby z wolna przywykła, oswoiła się z całym tym przepychem tak całkowicie innym od pozostawionych rankiem pustych i dzikich gór.

— Więc jednak spekulujesz na olimpijskich obietnicach? — spytała, gdy przyniósł dwie filiżanki cappuccino ze śmietaną i cynamonem.

— Nie, ale mam trochę pieniędzy w akcjach, na giełdzie, wiesz, no i właśnie coś mi korzystnie wypaliło. Do grobu z sobą nie zabiorę, dzieci, jak wiesz, nie mam, hej-że hej, hej-że ha, żyjmy więc, póki czas, bo kto wie, bo kto wie...

— ... kiedy znowu ujrzę was — dokończyła melodyjnie. — Nie, tu nie wypada powtarzać naszych koncertów. Kup sobie coś, dom, auto, jacht, czy ja wiem?

Pokręcił przecząco głową.

— Mieszkanie, jak zaraz zobaczysz, mam dostatecznie przyzwoite, żeby się w nim czuć, jak w domu, tego Porscha kupiłem dopiero rok temu, a żeglarz ze mnie żaden, chociaż zamiast marzyć o spokojnym porcie po burzliwych morzach, jak w tym wierszu Spensera, ciągle słyszę mickiewiczowskie wezwanie „a mnie płynąć, płynąć, płynąć”... Oczywiście w innym znaczeniu, ale rozumiesz, o co mi idzie. Po Conradowsku, iść za marzeniem, *to follow the dream, and again to follow the dream — and so — ewig — usque ad finem...* Sama mi w nocy powiedziałaś, że dawać znaczy sto razy więcej, niż brać. The Eaton Center jest twój.

Zarumieniała się pod opalenizną ostatnich dni, pomieszała łyżeczką w kawie.

— Z tym dawaniem i braniem, to nie jest takie proste, przynajmniej w naszym wypadku, przynajmniej w sytuacji, o jakiej mówisz. Wcale nie wiem, kto z nas jest szcudrzej obdarowanym, jeśli już mamy być szczerzy. Jesteś pod każdym względem niezwykłym mężczyzną.

Schwycił się na tym, że anglosaskim zwyczajem chciał jej podziękować za komplement, zdał sobie jednak natychmiast sprawę, że to nie był komplement, że mówiła najotwarciej, jak umiała, ta skryta na ogół kobieta, otwierająca się tak rzadko, z takim oporem, jakby pokonywać musiała nagromadzone latami kompleksy. Więc pochylił się tylko i pocałował jej palce, a potem powtórzył:

— Wybieraj, co chcesz. Potraktujmy to, jak dobrą zabawę, zgoda? No co, od czego zaczynamy? Ciuchy, pantofle, kosmetyki? A może płyty czy taśmy? Mają tu pierwszorzędną wybór, od Vivaldiego do Springsteina, czy jak on się tam nazywa.

— Nie, najpierw powiedz mi, jak to możliwe, że istnieją jeszcze takie miejsca na świecie? W Ann Arbor widziałam te ichnie *shopping centers*, ale przecież to nie ma porównania.

— Cieszę się, że ci się to podoba. Widzisz, Kanada, jak to trafnie określiła kiedyś pewna tutejsza powieściopisarka, to rozsądny kompromis pomiędzy brytyjskim konserwatyzmem a ame-

rykańską przesadą. Masz tu solidny kawał starej Europy w najlepszym opakowaniu typu USA. Ale w gruncie rzeczy to *obłomowka*.

— Już kiedyś użyłeś tego słowa, a także jakiegoś niemieckiego określenia, i nigdy mi ich nie wytłumaczyłeś.

Zawieszony nad tętniącym życiem i gwarnym zbiorowiskiem bogatych i eleganckich sklepów, o jakich mieszkańcy PRL-u marzyć tylko mogli po obejrzeniu zachodnich filmów typu „Pogoda dla bogaczy”, popijając znakomitą kawę i otwierając nową paczkę Playersów tłumaczył jej więc Krzemień, co miał na myśli stary, rosyjski pisarz Gonczarow, tworząc swój obraz świata, w którym nic się nie dzieje, gdzie życie toczy się wolno i bezmyślnie, syto i sennie, bez podniet intelektualnych czy emocjonalnych, wyrównane do poziomu idealnej płaszczyzny, nie wspominał tylko o zawsze istniejącej groźbie pobliskiego wąwozu, który we śnie Obłomowa nabiera niemal eschatologicznych proporcji, nie chciał bowiem psuć jej i sobie przyjemności plotkowania o kraju, który w głębi serca bardzo lubił i cenił. Zamiast tego przeszedł do opisu idealnej krainy nazwanej przez Niemców Schlaraffenland, co w angielskim tłumaczeniu oddano jako raj głupców, gdzie pieczone gołąbki same wpadają do gąbki, choć oboje dobrze wiedzieli, że wcale to nie było prawdą w odniesieniu do Kanady, nawet oglądanej tak krótko i powierzchownie, jak mogła zobaczyć ją Inka.

— To bardzo polskie — mówił — a że nie odcinam się od dziedzictwa, z jakiego wyrosłem, tak jak każdy Polak lubię sobie poszczekać na kraj, który wybrałem i który dał mi więcej, niż wielu innym, bardziej na to zasługującym. Ale, w gruncie rzeczy, dobrze mi tu i powiem ci najszczerzej, że kiedy przyjdzie moja chwila, nie chciałbym, żeby mnie wożono ponad morzami, tylko wolałbym po prostu leżeć na tym małym cmentarzyku zapatrzonym w perspektywę gór, spokojnym i cichym, pełnym słońca, przelatujących nad nim jak czerwone strzały kardynałów i błękitnych *blue-jay*ów, wysoko krążących orłów.

— Dlaczego o tym myślisz? Jesteś jeszcze...

— Chciałaś powiedzieć „młody”? Inko, nie bujajmy się wzajemnie, wiesz najlepiej, że to mój wiek, nic innego decyduje za mnie i za ciebie. Ale daj spokój, śmiejmy się, kto wie, czy świat potrwa jeszcze trzy tygodnie. Pamiętasz, kto to powiedział? Ja też nie, ale to nieważne. Skończyłaś swoją kawę? Do roboty!

Odsunął jej krzesło, podał płaszcz i poprowadził w stronę ogromnego sklepu Eatona, gdzie, jak zapewniał, będzie mogła znaleźć wszystko, czego jej stęskniona dusza zapragnie. Ale Inka

nie była w nastroju do kupowania, leniwie przechodziła od sklepu do sklepu, dotykała materiału sukien, to znów bawiła się przy-
mierzaniem kapeluszy, oglądała pantofle i bieliznę, w istocie jed-
nak samo zwiedzanie i świadomość, że gdy zechce, może każdą
z tych rzeczy mieć, były całą jej radością. Rozumiał to dobrze,
powoli jednak, jakby niepostrzeżenie, udawało mu się przekonać
ją, żeby wzięła parę zamyszowanych pantofelków, a potem utkaną
z najcieńszej mgiełki koszulkę, dwie kolorowe bluzki i kilka par
białych, haftowanych w kwiaty pończoch, potem namówił ją
jeszcze na długą, najmodniejszą w tym sezonie, jak zapewniała
ekspedientka, spódnicę w odcieniu najdelikatniejszego fioletu, i
nim się spostrzegła, Jan szedł obok niej obładowany kilkoma
wielkimi torbami i paczkami.

— Boże! — wykrzyknęła szczerze przerażona. — Co myśmy
nakupowali? Po co mi to wszystko? Gdzie ja to zmieszczę?

— Mamy małą walizeczkę na wszystkie małeńkie co-nie-co
Kubusia Puchatka.

Zatrzymała się przed basenem z fontanną tryskającą na wy-
sokość trzeciego piętra, ale patrzyła tylko na Jana.

— Ty też? — spytała zdumiona.

— Ja też co? — zdziwił się i opuścił swój łądunek na marmur
chodnika.

— Przecież Milne to był pisarz mojego dzieciństwa. I to nie
zawsze ulubiony, bo stosunek mojej matki do mnie mogłam naj-
częściej podsumować słowami tego wierszyka:

*... jak mnie ciągle pytają w kóteczo:
No i jak tam, córeczko?
Grzeczna byłaś, Janeczko,
Byłaś grzeczna, Janeczko?
Grzeczna byłaś, córeczko?*

— *Have you been a good girl,* — powiedział Jan — *have
you been a good girl, Jane?* Znałem to tylko po angielsku, nie
wiedziałem, że jest taki dobry polski przekład. No, a jak tam,
grzeczna byłaś...

— Janeczko? Córeczko?

Korzystając z tego, że miał wolne ręce, Krzemień spojrzął na
zegarek i z udanym przerażeniem schwyił się za głowę.

— Polskie sklepy nam zamkną, umrzemy z głodu! W lodów-
ce nie mam nic poza piwem.

— Założę się, że zgadnę jakiej firmy. Ja już się obkupiłam,
czy raczej zostałam obkupiona. Jedźmy. Pamiętasz tę naklejkę
na zderzaku, którą widzieliśmy rano?

— Tę mądrość, że *good girls go to heaven, bad girls go everywhere?*

— Właśnie. Ponieważ nie jestem grzeczną dziewczynką, mogę jechać z tobą gdzie chcesz i kiedy chcesz.

— Dobrze, ale pod jednym warunkiem.

— Złamiesz choć jeden warunek... Przyjmuję każdy. A tylko przez kobiecą ciekawość — jaki?

— Że każdą z tych rzeczy przymierzysz dzisiaj wieczorem.

— I *the big show* zakończę *strip-tease*'m.

— Starsi panowie mają prawo mieć swoje drobne odchylenia, prawda?

— Jesteś nienasycony. Nie, nie odmawiam ci niczego, będziesz miał wszystko, o czym zamarysz, mój miły.

Dotrzymała słowa.

Krzemiń mieszkał w wielkim bloku, który z warszawska lubił nazywać mrowiskowcem, co wywołało gorący protest Inki, gdy jeszcze z podjeżdżającego na wzgórze auta zobaczyła osiedle Bramalea. Kilkanaście dużych, jasnych i przeszklonych domów siedziało miękkim półkolem na stoku łagodnie opadającym w stronę jeziora Ontario. Otaczała je ogromna przestrzeń nieba i jesiennej zieleni, zdawały się kąpać w tym przestworze, oddychać swobodnie i szeroko, dostatecznie jeden od drugiego oddalone, by się wzajemnie nie tłoczyć, a przecież powiązane wspólnym stylem, stanowiące kształtną, zgrabną całość.

— Bramalea to stolica, którą każdy się zachwyca — zacytował Krzemiń żartobliwe powiedzenie jednego ze swych polskich sąsiadów, ale to zwiększyło jeszcze bardziej oburzenie Inki.

— Widać, że nie byłeś w Polsce, pojęcia nie masz, co to są prawdziwe mrowiskowce, z klatkami schodowymi śmierdzącymi jak publiczne szalety, z windami, które nigdy nie działają, zdeptaną i zaśmieconą trawą... Kiedyś widziałam film o amerykańskich *slums*'ach, wielomieszkaniowych blokach tak zwanego *public housing* dla Murzynów, tak, je tylko możesz porównać do naszych dumnych osiedli mieszkaniowych, ale to? Przecież to luksusy!

Zgodził się łatwo, mieszkał tu z własnego wyboru, gdy kiedyś zwiedzał w Helsinkach wzorowe osiedle Tapiola, tak się nim zachwycił, że po powrocie długo szukał czegoś podobnego w otaczających Toronto, nowobudowanych grupach domów, dopóki nie znalazł tego właśnie, dającego poczucie zamiejskiej swobody, szerokiego oddechu, daleko otwartych przed oknami horyzontów. Podczas gdy wyciągał z auta zakupy, zarówno jej prezenty, jak

i torby z żywnością kupione po drodze do domu, Inka oparła się o maskę wozu i kończąc papierosa rozglądała się po panoramie osiedla i okolicznych wzgórz.

— Czy dłużej czekałeś, zanim dostałeś tu mieszkanie?

— Po pierwsze nie dostałem tylko kupiłem, po drugie zaś mieszkanie czekało na mnie, gościnnie otwarte i gotowe do wzięcia.

— To przecież musiało kosztować majątek! — wykrzyknęła zataczając ręką szeroki krąg.

— Tak — przyznał łatwo. — Ale w tutejszym systemie to nie jest problem.

— Jak to nie jest problem? — oburzyła się. — Tobie, samotnemu panu o niewielkich, jak twierdzisz, wymaganiach, łatwo mówić, ale weź na przykład młodą rodzinę...

Szli w stronę windy, oboje obładowani sprawunkami, okazało się bowiem, że po walizki trzeba będzie raz jeszcze wrócić, a Jan tłumaczył jej spokojnie, jak małemu dziecku:

— Widzisz, to działa tak: przedsiębiorca budowlany idzie do banku, dostaje pożyczkę, buduje domy, osiedla, co chcesz, potem reklamuje je w gazetach czy telewizji, dopóki nie znajdzie pana Krzemienia, który idzie do banku, pożycza pieniądze i kupuje sobie takie mieszkanie, na jakie go stać, czy jakie mu się podoba, i wszyscy są zadowoleni, *everybody's happy*.

— Przede wszystkim bankier — zauważyła ironicznie.

— Oczywiście. A dlaczego nie, jeżeli dzięki niemu mogę żyć jak chcę, a nie czekać dwadzieścia lat na przydział mieszkania na Pradze 20 czy Siekierkach nad zapłutą Wisłą?

Postawiła swoje torby u drzwi windy i spojrzała na niego z ukosa.

— Ty... bardzo obecnej Polski nie lubisz, prawda?

Krzemień łokciem nacisnął guzik sprowadzający windę na dół, próbował się uśmiechnąć.

— Polski... — powiedział z namysłem. — Może tego, co oni z Polską zrobili, ci wszyscy jej samozwańczy właściciele.

— Przecież tych rzeczy nie można oddzielić, Polska to Polska, taka, jaka jest.

— Pewnie masz rację, dlatego wolę oddzielać je sam w sobie, tę moją prywatną, wymarzoną czy może tylko wymyśloną, i tę prawdziwą, realną, do której nie mogę pojechać.

— Nie możesz, czy nie chcesz? — spytała stając w progu jasno oświetlonej, lśniącej chromem i plastikiem windy.

— Sprowadza się to do jednego, nie ma co dzielić włosa na czworo.

Na szóstym piętrze poprowadził ją szerokim, wyłożonym szarym chodnikiem korytarzem, otworzył drzwi i wszedł pierwszy, żeby zapalić światło, na dworze bowiem zapadł już wczesny zmierzch, a nie chciał witać jej w nastroju szarówki i mroku. Potem odwrócił się i zapraszającym gestem przepuścił ją w głąb mieszkania.

— Witamy pod tułaczym dachem — powiedział, ale nie zdążył dodać już nic więcej, bo Inka ujęła jego twarz w obie ręce i zaczęła całować po ustach, oczach, policzkach, jak spragniona jego opieki dziewczynka, jak spragniona mężczyzny kobieta. Dopiero po kilku minutach, gdy uwolnił się z jej ramion i pomógł zdjąć deszczowy płaszcz, rozejrzała się po szeroko otwartym na balkonowe drzwi pokoju, po niewielu skromnych meblach, półce zastawionej książkami, stosach czasopism pod ścianą, na której wisił pastelowy pejzaż gór.

— Malczewski? — spytała podchodząc bliżej.

— Oczywiście. Siadaj, proszę, zaraz zrobię *drink'a*, potem zjadę po walizki, żebyś mogła wziąć prysznic, przebrać się i odpocząć po tym długim dniu. Bourbon, czy scotch?

— Bourbon, oczywiście — odpowiedziała oglądając obraz.

— Bardzo piękny. Czy to Banff?

— Nie — zawołał już z małej kuchenki, gdzie przenosił torby z zakupami. — To British Columbia, bardziej na zachód. Podoba ci się?

— Bardzo. Masz więcej jego rzeczy?

— Tak, jeszcze jest drugi w sypialni, zaraz zobaczysz. A łazienka jest na lewo, tuż obok. Z wodą sodową, czy zwykłą?

— Z sodową, proszę. Masz stąd wspaniały widok, nawet teraz, wieczorem.

— O tak — mówił wchodząc z dwiema wysokimi szklankami — zobaczysz rankiem, kiedy wschodzi słońce... *You can see from here forever*, jak to się pięknie mówi. No, za pomyślność.

Równocześnie umoczyli usta, równocześnie odstawili szklanki na mały stolik przed sofą, równocześnie uśmiechnęli się do siebie.

— Wiem, wiem — rzekł Jan i objął ją w pól. — Ale musi być jakaś w tym wszystkim pomyślność, prawda? Inaczej nie warto by było żyć, w ogóle. Postój sobie tu, jeśli chcesz otworzyć ci balkon, o tutaj, jest ciepło, możesz się rozejrzeć dookoła, pomacham ci z dołu, widzisz, tam stoi wóz, pod tą latarnią, czwartą z lewej strony, widzisz?

Otwierała się przed nimi nieograniczona niczym przestrzeń, wolna i swobodna, błyszcząca niezliczonymi światłami dalekiego miasta i pobliskich osiedli, wabiąca jak lśniąca dekoracja, zbyt

piękna, żeby wydawać się prawdziwą, a przecież istniejąca, realna, dotykalna. Deszcz przestał padać już dość dawno, a mimo to wielkie zakola parkingów połyskiwały jak uśpione jeziora, na których powierzchni błyszczały kolorowe kadłuby samochodów, co jak śnięte ryby leżały płaskimi ławicami w jasnym blasku jarzeniowych lamp.

Górami, wysoko, tuż pod chmurami, nieomal jeden za drugim szły olbrzymie samoloty, też połyskujące szeregami okien i wołające się wzajem błyskawicami sygnałów na szeroko rozpiętych skrzydłach, które przenieść je miały przez dalekie morze, przez czarny za horyzontem Atlantyk. Niżej, na jeziorze, błyskały promienie latarni morskich, odległe światła statków i szukających portu, samotnych żeglarzy. Miasto, całe drgające, zdawało się, kolorowym, pełnym ruchu i radości, świetlistym na tle wysokiej nocy życiem, leżało przed nimi, wabiące, kuszące, pełne czaru i obietnic, wspaniała, nowoczesna metropolia, wstająca z głębi nocy kolumnami wielopiętrowych domów, czerwono mrugającymi masztami stacji radiowych i kominów, ciepłe i przytulne siedlisko milionów spokojnych, szczęśliwych ludzi.

— Jeśli tak wygląda Schlaraffenland — powiedziała w zadumie Inka — to rezygnuję z wszystkich Sturm und Drang, to mi wystarczy.

Nie słyszał chyba, bo po chwili zobaczyła go w dole, jak machał jej ręką, potem wyciągał z auta walizki i uchwyciwszy je wprawnie pod ramiona kolanem zatrzasnął drzwi wozu, silny i zwinny, wysportowany i nie wyglądający na swoje lata, szczęśliwy mieszkaniec tego kolorowego i pełnego światła kraju.

— Czy jesteś szczęśliwy? — spytała więc wprost, kiedy siedzieli w kuchence przy zaimprovizowanej, zimnej kolacji, pijąc piwem zrobione przez Inkę sandwicze.

— Co za pytanie! — próbował odpowiedzieć pełnymi ustami, udał nawet, że się krztusi i czym prędzej sięgnął po szklanke.

— Nie, naprawdę, powiedz. Jesteś?

Odstawił pustą szlanke, wyciągnął do niej rękę.

— Inko — powiedział poważnie. — Takich pytań nie zadaje się człowiekowi w moim wieku, w mojej sytuacji. Tym bardziej, gdy wie się o nim tyle, ile ty wiesz o mnie. I nie tylko o mnie. Dajmy temu spokój. Robi się późno, przed nami jutro daleka droga, a jeszcze przed tym ktoś komuś coś obiecał, prawda?

Nie nastawała na odpowiedź. Przeszli potem do dużego pokoju, przeglądała jego książki, wśród których przede wszystkim rzuciło się jej w oczy pierwsze wydanie „Pism” Conrada, granatowe jak marynarski mundur okładki ze złotymi galonami tytułów i surowym profilem starego szlachcica na wierzchu każdego tomu,

powoli wertowała kartki „Lorda Jima”, gdy Krzemień wyjął jej tę książkę z ręki i sam poszukał miejsca, które było dla nich obojga tak ważne.

— Widzisz? — powiedział. — Przekręciłaś. Te dwa wierzchołki góry były bardzo blisko siebie, a nie na zawsze rozdzielone, jak tego chciałaś.

— Czy to nie czyni ich rozłąki jeszcze bardziej bolesną?

— Inko, powiedz, co ty naprawdę wiesz? Jest coś, czego mi nie chcesz powiedzieć.

Opuściła głowę, zamyślona, napięta, widział, że zмага się z sobą i nie umie zdecydować. Nie dotykał jej, stał teraz z daleka, nie chcąc w żaden sposób wpłynąć na jej odpowiedź.

— Nie wiem — wyszeptała w końcu i sama przytuliła się do Jana. — Nic nie wiem, co między tobą i moją matką naprawdę było, mogę się tylko różnych rzeczy domyślać. A czasem nie chcę, teraz już się zwyczajnie boję. Przez tyle lat marzyłam o tobie, teraz cię mam i zaraz muszę stracić... Nie, masz rację, nie mówmy o szczęściu, nie zadawajmy sobie takich pytań. Jesteś ode mnie o tyle mądrzejszy, umiesz brać życie tak, jak ono się układa. Nawet nie wiesz, ile mnie przez te kilka dni nauczyłeś. Dziękuję ci za to, najlepiej jak umiem. Jesteś dobry, Janie Krzemieniu, jesteś dobry.

Zażenowany komplementami, do których nie przywykł, Krzemień ujął ją za łokieć i poprowadził w stronę sypialni.

— Weź prysznic — powiedział — przebierz się i odpocznij, przecież jesteś na nogach od wczesnego rana, a jutro czeka nas kawał drogi.

— A ty? — spytała kapryśnie.

— Ja zejść jeszcze na dół po pocztę, potem będę czekał na ciebie w mojej jaskini, o tam, widzisz?

— Masz jeszcze jeden pokój?

— Tak, mój gabinet, jeśli wolisz, czy studio, czy jak tam... Przyjdź, gdy będziesz gotowa, proszę!

I podczas gdy z łazienki dolatywał szum wody, Jan szybko przerzucił pocztę z ostatnich czterech dni, rachunki odłożył do szuflady, reklamowe ulotki i ogłoszenia wyrzucił nie czytając do kosza, warszawską „Politykę” i nowojorski „Nowy Dziennik” odłożył do późniejszej lektury, dwa listy, jeden z zawiadomieniem o zebraniu Stowarzyszenia Kombatantów, drugi z prośbą o rekomendacje do CBC starannie złożył na lewej stronie biurka, po czym odwrócił się i włączył magnetofon, odtwarzający telefoniczne przekazy zostawione przez dzwoniących podczas nieobecności gospodarza. I znów, trzy pod rząd reklamy jakichś wyprzedaży

w związku z kanadyjskim Dniem Dziękczynienia, dwa telefony od kolegów z prośbą o odpowiedź, i nagle ten sam co w Lake Louise słodki, ociekający uprzejmością, modulowany głos: „Pozwalamy sobie przypomnieć, że statek Polskich Linii Oceanicznych M/S Stefan Batory odpywa jutro z Montrealu o godzinie siedemnastej zero-zero, z doku numer pięć, Iberville Terminal. Kłaniamy się”. I cichutki szczeł odkładanej słuchawki.

Nim zdążył zapalić papierosa, miał już głos Romana, jego ledwie uchwytny, lwowski akcent, żartobliwy jak zwykle ton. *Skoro cię nie ma tu, to znaczy, że jesteś tam, ale prędzej czy później będziesz tu, więc słuchaj, co ci powiem o twoim nowym przyjacielu, panu P. Pułkownik SS, nie, nie przerażaj się, to dzisiaj znaczy po prostu Służby Specjalne, włącznie z Bezpieczeństwem i wywiadem, wojskowym i politycznym. Od kwietnia w Ottawie, jako rezydent, nie prezydent, baranie. Bardzo gładki, dobrze mówi po angielsku i po francusku, kręci się, bywa i przyjmuje w ambasadzie. Mały, tysawy, bywszy blondyn, podobno kat na... wiesz już co, prawda? Babiarcz, jednym słowem, nie z tej ziemi. Niektórzy nazywają go tu „Honey Bear”, taki łasy na te miody. Zresztą i na inne też. Ostatnio jakoś wybył, podobno na urlopie w Stanach, ale kto go tam wie, na jakie gościnne występy pojechał. Niebezpieczny, trzymaj się jak najdalej. Do emigracji się na razie nie wtrąca, pilnuje raczej linii politycznej w mass-mediach, jak cię widzą i jak cię piszą. Tyle na razie zdołałem się przez te parę godzin dowiedzieć, jak będę miał coś więcej to albo zadzwonię, albo będę czekał na twój telefon. Ostatecznie lepiej, żebyś ty płacił, co? Trzymaj się, stary i uważaj na partnerki, wiesz jak jest, no nie?*

— Można? — spytała stając w drzwiach, cała prześwietlona blaskiem z salonu, naga pod najcieńszą tkaniną nowej koszulki, tak piękna i ponętna, jak tej pierwszej nocy, choć o tyle przecież bliższa i bardziej znajoma. — O, jak tu ładnie! Nie przeszkadzam?

Wstał zza biurka, wyciągnął do niej rękę, a potem przytulił ją do siebie, ciepłą i pachnącą, nagle odnalezioną w tym tak znajomym wnętrzu, gdzie spędzał swoje samotne wieczory, gdzie czuł się naprawdę u siebie w domu.

— Siadaj, proszę — powiedział podsuwając jej fotel przy niskim oknie wychodzących na daleką przestrzeń nocy. — Kieliszek koniaku?

— Upijasz mnie niemożliwie, ale dobrze. Więc tu się kryjesz przed światem i ludźmi?

Kiedy wrócił z dwoma kieliszkami, stała przed ścianą naprze-

ciw biurka, gdzie wisały różne pamiątki, kilka starych fotografii z lat dziecińczych, z rodzicami i Teresą, jakieś dyplomy uznania i plakietki na hebanowych deszczużkach, duże zdjęcie w narciarskim szusie, sylwetka otoczona jasnym obłokiem świeżego puchu, polski orzeł na czerwonej tarczy, pod pięcioma olimpijskimi kółkami...

— Jakim byłeś ładnym chłopcem — powiedziała biorąc kieliszek. — A orzeł skąd? Bez korony?

— Dostałem go od naszych chłopaków jeszcze w Montrealu, przed sześciu laty. Cóż to za wspaniała młodzież! I jacy godni, jacy dumni... Kiedy rozdali już wszystkie te nikomu nie potrzebne laleczki i kilimki z Cepelii, odpruwali od dresów herby i dawali nam na pamiątkę.

— Nie jesteś, jak widzę, entuzjastą polskiego folkloru?

— Inko, zastanów się, przecież Polska ma tyle do zaoferowania, po co te sztuczne dyrdymałki, te wycinanki i wyszywanki, te biskupie pierścienie oprawnych w kiepskie srebro bursztynowe, ten pseudofolklor?

— Ja nie noszę biskupich pierścieni!

— Oczywiście, że nie. Ale, słuchaj, skoro już o tym mowa: czy możesz zamknąć oczy? I odwróć się do okna.

Pełna oczekiwania, jak mała dziewczynka zawsze łakoma na niespodzianki, odwróciła się i posłusznie zakryła rękami oczy. Widział teraz na tle pobłyskującej dalekimi światłami nocy profil jej wyprężonych piersi, mocną, smukłą szyję, delikatne uszy pod krótkim futerkiem włosów, widział ją całą jak zjawisko wywołane męką samotnych lat, jak wcielenie smutnych snów i tęsknoty, jak spływającą na promieniach księżycy kobietę, o jakiej zawsze marzył. Sięgnął za siebie, do półotwartej szuflady biurka, wyjął kupiony w górach łańcuszek, a potem, nanizawszy nań ciężki sygnet, zapiął łańcuszek na jej wysokiej szyi. Sięgnęła dłonią po opadający jej między piersi ciężar, spojrzała z niedowierzaniem, odwrócona teraz do Jana twarzą, z oczyma otwartymi szeroko, pytająco.

— Co to? Dla mnie?

— *With this ring...* — powtórzył wolno. — To jedna z bardzo niewielu rzeczy, jakie mi zostały po ojcu. Weź dla swojego Piotrusia, niech nosi go kiedyś, jako ślad...

Miał ją teraz całą na sobie, tak blisko, że czuł na piersiach ucisk pierścienia, pod palcami gładkość jej pleców, na wargach zapach jej włosów, jej całej. Nie, nikt mi tego nie odbierze, powiedział sobie, z zamkniętymi oczyma tuląc do piersi tę kobietę, nikt ani nic, przestrzeń czy czas, będzie tu zawsze ze mną, tak jak ja będę zawsze z nią, zawsze w niej. A kiedy mnie nie

będzie, jej synek, ciało z jej ciała, nosić będzie herb nieznanych Krzemieniów i pamiętać... I tak być powinno, na tym polega wieczność, trwała pamięć, życie w kimś, wtedy, gdy kończy się życie swoje własne, dobre czy złe, ale niepowtarzalne, jedyne, po którym chciałoby się zostawić ślad, jakikolwiek ślad...

Bez słowa odsunęła się od niego, wzięła go za rękę i poprowadziła w stronę sypialni, gdzie naprzeciw szerokiego łóżka błyszczały ośnieżone, górskie szczyty na jasnej akwareli Malczewskiego. I tak było dobrze.

VIII. WIDOK Z KRÓLEWSKIEJ GÓRY

Obudził się jak zwykle przed siódmą, wyciągnął rękę, żeby wyłączyć automatyczny budzik, zanim odezwie się radio, które uruchamiał. I nagle cudowne i straszliwe zarazem zrozumienie, że nie jest sam, że tuż obok, skulona pod kocem leży Inka, nie jakaś obojętna, kolejna partnerka, ale właśnie ona, Inka, ta sama, z którą wspólnie przeżywał uniesienia ostatnich nocy, ta sama, którą za godzinę wieźć będzie do Montrealu.

Spała tak cicho, że nie słyszał nawet szmeru jej oddechu, odwrócona do Jana plecami, spokojna i zmęczona, a przecież spięta w bliskim podkulienu nóg, obejmujących głowę ramionach. Gdzie jesteś, miła, myślał patrząc na nią, gdzie i z kim przebywasz odszedłszy ode mnie we śnie, tak jak odejdziesz za parę godzin w rzeczywistości? Czy jesteś i będziesz ze mną tak bardzo, jak ja jestem z tobą? Śpij, jeszcze czas, masz przed sobą długą, długą drogę, nie ma potrzeby się spieszyć, oboje zdążymy tam, gdzie dojść musimy, jakkolwiek rozejdą się nasze drogi. A na razie śpij, jeszcze czas, jeszcze trochę nam zostało czasu.

Budzić się razem, każdego ranka widzieć twoją głowę na sąsiedniej poduszce, słuchać twego oddechu, czuć ciepło twego ciała i wiedzieć, że wystarczy wyciągnąć rękę, żeby móc dotknąć cię, poczuć, że naprawdę jesteś, że to nie sen ani marzenie, ale ty, prawdziwa, żywa, ciepła ty — czy może być większe szczęście? Dzielić z tobą wszystko, każdą noc i dzień, budząc się wiedzieć, że razem przejdziemy przez poranek, i południe, i cichy wieczór, że w nocy wrócimy tu znowu, żeby być razem, zawsze razem, nigdy nie poczuć, jak strasznie gorzka jest samotność starzejącego się człowieka — czy może być większe szczęście? Ale to nie może być nikt inny, tylko ty, właśnie i tylko ty, jedyna, wybrana, najbliższa, człowiek, który staje się częścią mnie samego,

jest mi tak nieodzowny, jak moje własne ręce, nogi, ciało, ktoś, kto jest mną i tym drugim zarazem — czy może być większe szczęście? ... *for better, for worse, for richer, for poorer, in sickness and in health, till death do us part...* Dlaczego nie urodziłem się o dwadzieścia lat później, dlaczego nie mogę być z tobą tak jak teraz, każdego ranka, każdej nocy?

Najciszej jak mógł opuścił na dywan nogi, sięgnął po szlafrok, wstał i podszedł do uchylonego okna. Dzień wstawał wietrzny i szary, ale bez deszczu, może nawet obiecujący pogodę. Na pobliskich wzgórzach paliły się złocisto klony, całe kępy i grupy klonów, jakby Kanada starała się przystroić w swój najtrwalszy symbol, pokazać się najpiękniejsza w tym nieuniknionym dniu przybycia jesieni. Gwarzyły wśród nich pracowicie ptaki, słyszał je wyraźnie, podczas gdy daleko, w dole, monotonicznie szumiało miasto budzące się do pracy, z pobliskiej szosy dochodził rechot wielkich ciężarówek wracających do bazy z całonocnego rejsu. Po niebie szły niskie i lekkie chmury, zabarwione u horyzontu czerwienią wstającego z jeziora słońca. Na parkingu pod domem startowały już pierwsze wozy.

— Nie śpisz? — spytała za jego plecami.

Odwrocił się raptownie, nie przywykły do rannego towarzystwa w czasie swoich porannych rozmyślań nad porządkiem i ładem świata. Leżała jeszcze pod kocem, spod którego wysunęła tylko nagie ramiona, jakby objęciem powitać chciała męczyznę wpatrzonego dotychczas w jesienny krajobraz.

— Jak widzisz — odparł. — A ty, wyspałaś się?

— Powiedzmy. Która to godzina?

— Jeszcze wcześniej, dopiero siódma. Mamy mnóstwo czasu.

— Tak — powtórzyła nagle zamyślona — mamy mnóstwo czasu. Co jadasz na śniadanie? Jajecznice z boczkiem? Omlet? Płatki?

Przysiadł na łóżku, pogłaskał ją po głowie, miękko, delikatnie, jak dziecko.

— Moja ty gospościu... Nie widziałaś, co jadłem codziennie? Chcesz, dam ci sok pomarańczowy do łóżka, obsługa luksusowa. A potem razem upitrasimy śniadanie, na co tylko będziesz miała ochotę.

Wiedział, na co miała by ochotę, była nienasycona w swoim pragnieniu pieśczości i ciepła, ale pamiętał o tych pięciuset prawie kilometrach, które musieli dzisiaj przejechać, gładząc jej brązowe włosy miał przed oczyma nie tylko mapę, ale krajobraz trasy przejeżdżanej niezliczone razy, pamiętał każdy zakręt i każdą stację benzynową między Toronto a Montrealem, a równo-

cześnie nie chciał o tym myśleć, wiedząc, że tak czy inaczej ta jazda ich nie minie.

— Dlaczego tak się krótko strzyżesz? Już dawno chciałem cię o to zapytać.

Przytuliła policzek do jego dłoni, pocałowała jej wnętrze.

— Nie będziesz się ze mnie śmiał? To była moja polisa ubezpieczeniowa, przed samą sobą. Bo, wiesz, mnie jest bardzo dobrze w długich włosach, więc jak wyjeżdżałam, to umyślnie ścięłam żeby siebie i innych nie wodzić na pokuszenie, żeby brzydko wyglądać i uchronić się od grzechu.

— Nie bardzo ci się to, jak widzę, udało.

— Gdybyś mnie zobaczył z długimi włosami, oszalałbyś.

Patrzyła teraz na niego, nie wiedział kpiąco czy prowokująco, nie znał jej na tyle, żeby zrozumieć każdy odcień spojrzenia, każdy wyraz ust i oczu, znał tylko jej dotyk, delikatnie więc wyzwolił dłoni z jej palców i wstając powiedział:

— Inko, nie, proszę. My naprawdę musimy za godzinę wyjechać.

— Widzisz, mówiłam, że brzydko wyglądam, dlatego mnie nie chcesz.

Nie odrywając oczu od jej nagle odsłoniętego ciała, Jan zatrzymał się na najkrótszy moment wahania, a potem wrócił do niej i wiedział, że będzie to ich pożegnanie.

Zaraz po ósmej zadzwonił do biura, dowiedzieć się, co słychać i zawiadomić, że przyjdzie dopiero nazajutrz, gdyż ma jeszcze jeden krótki wyjazd do Montrealu. Nie, nic się nie działo, CBC nie zawałiła się podczas jego nieobecności, Myrtle była pewna, że wytrzymają bez niego jeszcze jeden dzień. Tak, Phil wrócił w piątek, mówił, że mieli dobrą podróż. A jak udał się Janowi *week-end* w górach? Czy miał dobrą pogodę? Tak, dzwonił jakiś pan jeszcze w piątek, tak, oczywiście, powiedziała mu, że Jan jest albo w Banff albo w Lake Louise, tam gdzie zawsze, nie, nie mówił w jakiej sprawie, powiedział tylko, że przyjaciel z Polski. Dodzwonił się? To dobrze. No, to do zobaczenia jutro, wesołej zabawy i ostrożnej jazdy. *Bye-bye*.

Skończył rozmowę, zanim Inka wyszła z łazienki, już ubrana do drogi, w swojej brązowej spódnicy i ciepłym swetrze, świeża i młodzieńcza, jakby zmęczenie, emocjonalne wybuchy i zdawałoby się niekontrolowane ekstazy erotyczne sprzed kilkunastu zaledwie minut nie zostawiały na niej żadnego śladu. Młodość?, pomyślał Jan stając przed lustrem w łazience i zabierając się do mydlenia twarzy, pełnej zmarszczek, o oczach podkrążonych i podpuchniętych. Nie lubił patrzeć na siebie po takich nocach, ciała

zmywał starannie i długo, ale ślady na twarzy, przy oczach i ustach, nie dawały się zmyć, przypominały się jeszcze długo po tym, jak zapomniał, kim była przygodna partnerka. Od czasu zerwania drugiego małżeństwa nie nawiązywał żadnych regularnych stosunków, ale nie odrzucał łask losu, jak je nazywał, dość łatwych i częstych w telewizyjnym światku wielkiego miasta. Każda z tych krótkich przygód pozostawiała zawsze niesmak, przyrzeczenie, że to już ostatni raz, poczucie zawstydzenia i brudu. Tyle tylko, że starał się unikać sprowadzania tych dziewczyn do siebie, a mimo to, wracając po takiej nocy poza domem, starannie zmieniał pościel. Tym razem jednak spragniony był kobiety przez dość długi czas przed spotkaniem Inki, toteż intensywność ich przeżycia była tak wysoka, że miał momenty obawy, jak wytrzyma napięcie i temperaturę tych paru dni. Teraz, gdy miał je już właściwie poza sobą, spoglądał na swoje odbicie w lustrze z niejakim zdziwieniem, aż w pewnej chwili gotów był wykrzywić się do samego siebie błazeńsko i powiedzieć: I co ty sobie właściwie myślisz, na stare lata? A równocześnie, przez cały ten czas wiedział aż za dobrze, co sobie myśli, a przynajmniej gdzie są granice, których przekraczać nie wolno, gdy ma się prawie sześćdziesiąt lat na karku, choć ciało jest ciągle jeszcze silne, sprawne i chętne do dawania i brania rozkoszy. I dlatego jechał do Montrealu.

Czekała z gotowym śniadaniem, starannie nalewała świeżą kawę i smarowała toasty, podsuwała mu dzemy i miód, sama jadła niewiele, twierdziła, że na razie nie ma apetytu. Sądził, że przeżywała już *Reisefieber*, świadczyły o tym coraz częstsze spojrzenia na zegarek, na wysokie za oknem niebo, na zbyt wolno jedzącego Jana. Odsunął więc filiżankę, a gdy chciała sprzątnąć ze stołu nie pozwolił, radził, żeby zajęła się domykaniem walizek, trzeba będzie powoli ruszać, wrzuci wszystko do automatycznego zmywaka, szkoda się tym paprać.

— A ty? — spytała już na progu kuchenki. — Nie pakujesz się?

— Dzisiaj wieczorem będę tu z powrotem — odpowiedział cicho, sam po raz pierwszy zdając sobie sprawę, co to naprawdę znaczy. — Czas, Inko, jesteś gotowa?

Pomógł jej wynieść walizki, podeszli do windy, Inka w swoim deszczowym płaszczu, Jan w ciemnoczerwonej wiatrówce, kontrastującej z jego prawie zupełnie białymi włosami. Ładowali potem te walizki w samochodzie, Krzemień przez chwilę rozgrzewał motor, a potem, zapiąwszy im obojgu pasy, przyciągnął do siebie Inkę i mocno pocałował ją w usta.

— W drogę! — powiedział i wrzucił pierwszy bieg. Czarny

Porsche, jak poderwany do lotu jastrząb, wystrzelił przez pustą przestrzeń parkingu, zwinął się w skrócie na ulicę i po kilkunastu minutach pędził już szeroką, ośmioliniową autostradą, prosto na wschód pozbawiony dzisiaj słońca.

Zapełnioną autami wszelkich wielkości, kolorów i przeznaczeń szosą Macdonald-Cartier przecięli północną część Toronto, pozostawiając po prawej stronie wieżowce śródmieścia tkwiące jak dumna wyspa nad szeroko rozlanym ogromem miasta, wkrótce potem wpadli na wolniejszą już przestrzeń, gdy szosa poszła samym prawie brzegiem jeziora, ocierając się o nie swym połyskującym tysiącami wozów łukiem. Krzemień starał się trzymać najszybszej linii, raz po raz jednak ustępować jej musiał olbrzymim ciężarówkom pędzącym bez ograniczenia szybkości i gotowym zdawałoby się zmiażdżyć ich mały samochodzik. Kłął przy tym co niemiara, ku wielkiej ucieście Inki, która zapalała mu usłużnie papierosy w miarę jak rosło napięcie tego codziennego wyścigu na ruchliwej magistrali łączącej dwie multimilionowe metropolie.

— Ślicznie! Ale mu powiedziałaś! Chciałabym, żeby to mógł usłyszeć, w dziąsło szarpany, tak?

— I zrozumieć. Żeby jego babcia z piekła nie wyjrzała.

— O, pardon, co to to nie. Babciów szarpać nie wolno.

Oderwał oczy od jezdni, spojrzał na nią niepewny, co ma na myśli, ale jej niewinna minka sugerowała, że to tylko dobre wychowanie, nic więcej, kazało jej stanąć w obronie babki. Której? Iriny Orłowej, czy Diany Małynicz, Janie, który nigdy dziadkiem nie będziesz i dlatego całe swoje uczucie przelewasz na tę kobietę, z którą jest ci tak dobrze, jakbyś spędził z nią długie lata życia. I jakbyś nie pędził ku rozstaniu z szybkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę, z rykiem potężnego motoru, wioząc was oboje ku nieuchronnemu przeznaczeniu. Dlaczego? Dlaczego nie urodziłem się o dwadzieścia lat później?

Przypomniał sobie pierwszą rozmowę ze swym późniejszym teściem, pułkownikiem Grzymałą. Wkrótce po przyjeździe do Anglii, gdy był jeszcze towarzyską atrakcją jako jeden z nielicznych przybyszów z kraju niemal zaraz po październiku, ojciec zabrał go do „Ogniska” i przedstawił niskiemu, barczystemu mężczyźnie o jasnych, pogodnych oczach.

— Mój syn, panie generale — powiedział z dumą.

Maczek objął młodego Krzemienia ramieniem, przycisnął do piersi.

— Wiem, wiem — powiedział serdecznie. — Słyszałem, prosto z Warszawy, prawda? I podobno ma za sobą piękną kartę z AK, parę lat w sowieckiej niewoli, czy tak? Bardzo was tam, synku, męczyli?

— Tak jest, panie generale — odrzekł Jan służbiście. — Najlepsze lata życia zmarnowane bez reszty.

— Myli się pan, młody człowieku — wtrącił na to wysoki, postawny towarzysz generała. — Przekona się pan, że to były najlepsze lata naszego życia. Najcenniejsze. Jestem pułkownik Grzymała i wiem, co mówię, wspomni pan moje słowa.

— Pozwolę sobie zameldować, panie pułkowniku — odrzekł Jan starając się zachować powagę — że, jak to tutaj mówią, ja moje składki zapłaciłem, wypisuję się.

Starszy mężczyzna poufale ujął go za ramię, spojrzął z bliska prosto w oczy.

— I znów się pan myli. Ten klub, do którego i pan, i ja, i generał, i pana ojciec, prezes nasz szanowny, mamy zaszczyt należeć, ma członkostwo dożywotnie, nie można się z niego wypisać. Będzie pan płacić swoje składki tak długo, jak będzie pan żyć. Nawet nie wie pan, do jakiej szczęśliwej generacji pan należy w porównaniu z nami, urodzonymi w niewoli, okutymi nie tylko w powiciu, ale także u schyłku życia. Proszę, przyjdźcie panowie kiedyś do nas, pogadamy o tych sprawach.

Tak poznał Krystynę, ale co ważniejsza, po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że tak, istotnie, należał do pokolenia wyjątkowego, do tych roczników 1920-1926, które nie znały niewoli, urodzone i wychowane w wolnej Polsce, której potem z największym poświęceniem i kolosalnymi stratami broniły przez następne lata. Więc może to rzeczywiście były najlepsze lata jego życia i nie należało nawet dzisiaj żałować, że nie urodził się w pokoleniu Inki? I co zatem było ważniejsze — dumna młodość, czy spokojna starość? Poczucie spełnionego obowiązku wobec ideałów, w jakiegokolwiek kiedykolwiek wierzył, czy zaspokojenie osobistego, egoistycznego zadowolenia? Diana czy Inka?

— *A penny for your thoughts* — usłyszał jej drogi głos i już był gotów zacząć dzielić się z nią swoimi nigdy do końca nie wyjaśnionymi problemami, gdy wielka, żółtoniebieska ciężarówka niespodziewanie przeszła na jego linię tuż przed maską Porscha, aż Krzemień musiał zahamować z ostrym piskiem opon.

— Ech, ty, tryzubem chrzczony — mruknął przez zęby, co wywołało u Inki wybuch śmiechu.

— A cóż to znowu za pomysł? Takiego jeszcze nie słyszałam.

Palcem wskazał czarne litery na kadłubie przyczepy umykającej przed nimi z przyspieszoną szybkością.

— STECKO — przeczytała. — A, teraz rozumiem. Ich także nie kochasz, prawda? Niemcy, Rosjanie, Ukraińcy, właściciele PRL-u, nabierała ci się niezła lista. Jak ty się w tej Kanadzie uchowałeś? Przecież musisz z nimi jakoś żyć?

Przyjął podanego papierosa tak naturalnie, jakby od trzydziestu paru lat nie przywykł do samodzielnego życia, jakby zawsze miał ją przy sobie gotową pomoc, zszedł na prawą linię szosy i spokojnie już próbował jej tłumaczyć, jak mimo tych, jak je nazywała, życiowych konieczności są sprawy, o których nie umie zapomnieć, jak na widok odpasionych, sytych Austriaków na ulicach Wiednia, czy niemieckich turystów wypełniających każde europejskie uzdrowisko i każdą europejską szosę nie mógł przestać zadawać sobie pytania, co ci mili staruszkowie porabiali w latach czterdziestych, czy przypadkiem nie spotykał ich na linii wycelowanego karabinu, z tej czy tamtej strony? I ci równie mili i kulturalni Ukraińcy, zdecydowanie dominujący wśród słowiańskich grup etnicznych w Kanadzie, czy przypadkiem nie nosili czarnych mundurów dywizji SS Galizien, czy nie pilnowali lubelskiego Majdanka, czy nie palili warszawskiego getta? Pokazano mu kiedyś w Calgary szczupłego, milczącego studenta w czarnej, skórzanej kurtce, przemykającego bokiem przez campus tamtejszego uniwersytetu i dodano jedno tylko słowo: Bandera. I nie potrzebował żadnych objaśnień ani tłumaczeń, że to tylko syn, że przecież ojciec, mimo wszystko... Banderowcy, melnykowcy, bulbowcy, wszystkie te odłamy czy frakcje ukraińskiego nacjonalizmu łączył w jego pamięci wspólny stygmat nie tylko współpracy z Niemcami, ale okrucieństwa niemożliwego do zapomnienia, tortur, napadów, palonych wsi i koncentracyjnych obozów, nieudolnego naśladowania hitlerowskiej piosenki „heili-heila”, gdy czarną kolumną maszerowali ulicami Lublina w stronę obozu na Fabrycznej, gdy eskortowali osiemnaście tysięcy Żydów prowadząc ich na masowe całopalenie, gdy potem pijani zaczęli polskie dziewczęta, gotowi wciągać je do najbliższej bramy i gwałcić. O, to nie była fantazja, do końca życia będzie pamiętał ten wczesny dzień listopadowy, gdy na odgłos tysięcy kłapiących o bruk drewniaków wybiegli z warsztatu, w którym pracował, wysoki nasyp Nowej Drogi prowadzącej z obozu przejściowego na Lipowej prosto na Majdanek był tuż przed nimi, widzieli dokładnie, osiemnaście tysięcy ludzi, dwie dywizje, prowadzonych niekończącym się sznurem, a potem, przez parę dni nad miastem stała chmura tłustego dymu palonych ludzkich ciał. Kto inny, poza Niemcami i Ukraińcami był odpowiedzialny za los tej nieznaney dziewczynki, w której ubrankach znaleziono potem, po tym trzecim listopada, kartkę z najkrótszym, dziecinnym wierszykiem:

*Była sobie raz Elżunia, umierała sama,
bo jej ojciec na Majdanku, w Oświęcimiu mama...*

— ... i z tymi panami — starał się być spokojny i rzeczowy — mówimy sobie co rano *how are you, good to see you*, podczas gdy chciałoby się spytać, czy pamiętają Sobibór i Trawniki, Poniatową i Kraśnik, wszystkie te, niezliczone podlubelskie wsie i miasteczka, które drżały na odgłos ich podkutych butów. A może myślisz, że zapomnę innych jeszcze wartowników z Majdanka, jaskrawo zielono umundurowanych Litwinów w ich śmiesznych czapeczkach, kwaterujących tuż obok, na tyłach mojego domu, w szkole Vetterów, do której chodzili kiedyś moi najlepsi koledzy? Myślisz, że zapomnę, jak potracali nas na ulicach starając się sprowokować awanturę, spasieni, obżarci i butni wobec nas bezbronnych we własnym mieście, na naszej własnej ziemi...

— Ach, więc i Litwinów też masz na swojej liście? Dlaczego tyle jest w tobie nienawiści? Przecież to historia!

— Historia! A czy ja, ty, nie jesteśmy częścią tej historii? Czy gdyby nie historia, nie byłbym twoim...

— *Stop it!* — wykrzyknęła tak niespodziewanie, że Krzemień mocniej chwycić musiał kierownicę, żeby utrzymać wóz w prostej linii ruchu. Dopiero po chwili przepaszająco położyła mu rękę na kolanie, pogłaskała szorstką flanelę spodni.

— Wybacz mi — poprosiła. — Nerwy mnie ponoszą, widocznie jestem zbyt napięta przed tym, co mnie czeka. Nie, nie wracajmy już do historii, cieszymy się tym, co widzimy wokół, prawda?

Kiwnął głową, on też bał się pójść za daleko w tych ostatnich godzinach, przez cały czas pamiętał, co przyrzekł sobie w czwartek, porywając ją na ten *week-end*. Niech jej będzie dobrze, niech wywiezie najlepsze wspomnienia, nie trzeba mówić o tym, co boli, co było lub być mogło, nie trzeba. Włączył radio, poszukał jakiejś stacji ze spokojną, lekką muzyką, lepiej było słuchać, niż rozmawiać. Ale i to okazało się złudzeniem, gdy Inka zaczęła nucić podaną przez saksofon melodię „September Morning”, balladę o dwojgu kochanków spotykających się na krótką, przelotną chwilę, a potem nagle zapłakała i ukryła twarz w dłoniach. Przystawił więc radio na muzykę poważną, początkowo nie mógł poznać utworu, potem w nagłym olśnieniu zrozumiał, że to Mozart towarzyszy im wzdłuż brzegów jeziora Ontario, tak jak towarzyszył im wiernie nad Lake Louise, ale bez bolesnych wspomnień, wręcz przeciwnie, łagodząco, miękko, kojąco. Tak, tak było dobrze, ponadczasowe piękno tej muzyki było odpowiedzią na wszelki ból i gorycz terażniejszości.

— Czy chcesz się napić kawy? — spytał po pewnym czasie, gdy przebrzmiał radosny kwartet, zastąpiony teraz nic im nie mówiącą muzyką Strawińskiego.

- Chętnie, jeśli mamy czas.
- Mamy mnóstwo czasu. Poza tym musimy nabrać benzyny.
- Czy możesz mi odpowiedzieć na hipotetyczne pytanie?
- To moja specjalność, pamiętasz?
- Co by było, gdyby twój wspomniały wóz nagle się popsuł, po prostu wysiadł na środku drogi?
- Moje wozy nigdy się nie psują.
- No, ale przypuśćmy. „Batory” odpływa dzisiaj swoim ostatnim w tym roku rejsem, potem ocean pokryją kry i góry lodowe, półroczna zima zamknie rzekę świętego Wawrzyńca i atlantyckie szlaki...
- ... a mały, biedny Porsche będzie siedział na środku pustej szosy i czekał do wiosny? To chciałaś powiedzieć?
- Mały i biedny, ale niekoniecznie Porsche. I niekoniecznie rodzaj męski, jeśli już mamy być dokładni.
- Rozłożyłbym ręce, gdybym nie musiał trzymać kierownicy. Odpowiem ci pytaniem: co by było, gdyby kolega Stecko pomylił się i skręcił kierownicę o trzy sekundy wcześniej?
- To nie jest *fair* — zachnęła się oburzona. — Nie mówimy o tak zwanych wypadkach losowych, ale o zwykłym spóźnieniu na statek.
- Są podobno jeszcze linie lotnicze „Lot” i kilkaset innych.
- A jeśli biedna emigrantka, czy podróżniczka nie ma pieniędzy na samolot?
- Wtedy siedzi w Porschu i czeka, aż zreperowany odwiezie ją z powrotem do Bramalea, czy Bramylei, jeśli wolisz.
- A co ty wolisz?
- Napić się kawy — odparł wymijająco i skręcił z szosy na najbliższy zjazd, nad którym kusząco świeciły reklamy rozlicznych restauracyjek i przydrożnych stacji obsługi. Zatrzymał się przed pompą i wysiadłszy zaczął tankować benzynę, podczas gdy Inka nie mogła oderwać oczu od szaleńczo szybko migających, czerwonych elektronicznych cyferek wskazujących ilość litrów i cenę. Potem, gdy siedzieli przy stoliku i pili kawę, dopytywała o sprawy, które Janowi wydawały się tak powszednie, że nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Dlaczego sam nalewa benzynę? Dlaczego nie kopie opon i nie zagląda pod maskę? Czy znów zapłacił kartą kredytową? Czy wóz naprawdę nigdy się nie psuje? Zrozumiał w końcu, że Inka porównuje widocznie te rzeczy ze swoim, polskim doświadczeniem, zapytał więc od niechcenia:
- Macie auto?
- Tak, starą, pocziwą krowę, nazywa się Łada.

— Wiem, Rosjanie eksportują je także i do nas. Inna wersja fiata, sprzed mniej więcej stu lat. Prowadzisz?

— Trochę, najczęściej na zakupy, czy na lotnisko w Ławicy, po męża.

— No, to może chcesz tu spróbować swoich talentów?

Żachnęła się, wyraźnie przerażona perspektywą wyprowadzenia śmigłego, sportowego wozu na tętniącą ruchem autostradę, ale odmówiła uprzejmie i podziękowała mu za zaufanie, za to, że chciał powierzyć jej auto tak cenne. Miła moja, pomyślał, powierzyłbym ci więcej, powierzyłbym ci wszystko, gdyby mi było wolno. Bierz, powiedziałbym, tak jak wczoraj w tym sklepie, bierz, to wszystko twoje, komu to zostawię? Po co mi to? Przeżyłem dobre i ciekawe życie, dostałem więcej, niż mi się należało, włącznie z tobą, spóźniony darze losu, a teraz czas to zostawić, niech cieszy się kto inny... Tobą też? Na tę myśl poczuł, że spręża się cały, do tej pory unikał starannie przypomnienia, że Inka jest przecież żoną tamtego obcego, brutalnego człowieka, że ma on do niej prawa, że z pewnością z nich skorzysta. Po tym, co między nimi się stało, myślał, najtrudniej oddać cię innemu mężczyźnie, ale jestem przyzwyczajony, wiem, że i to wytrzymam, tak jak wytrzymałem wtedy, z twoją matką, ten pierwszy, najboleśniejszy raz, potem już było łatwiej, coraz łatwiej, to boli tylko początkowo, potem mniej, coraz mniej, aż w końcu przestaje się o tym myśleć, że ty, twoje ciało, piersi, brzuch, uda należą do innego mężczyzny, że on...

Dopiero po chwili zorientował się, że trzyma ją kurczowo za rękę, zapewne ściska zbyt mocno, bo gdy podniósł wzrok znad stolika, napotkał jej oczy spłoszone i smutne, tak smutne, jakby to, co pomyślał wypowiedział był głośno. Opanował się, mimo woli przetarł ręką twarz, oswobodził uścisk.

— Moje myśli niewarte są złamanego grosza — uprzedził jej pytanie. — Jedźmy dalej, długa droga przed nami. Jesteś gotowa?

Próbowała się uśmiechnąć, ale tylko gorzki grymas wykrzywił jej wargi.

— Jak zawsze — powiedziała. — Zawsze gotowa, na wszystko. Jazda!

Po kilku minutach, gdy Krzemień włączył się w nieprzerwany strumień aut ciągnących na wschód, i usadowiłszy się za jakimś wielkim buickiem idącym wyrównaną szybkością, najwidoczniej automatycznie nastawioną przez kierowcę, przepraszająco położyła mu rękę na dłoni.

— Nie martw się o mnie — poprosiła. — Dam sobie radę.

— Jak?

— Och, jakoś — roześmiała się bez radości. — Chcesz, przeczytam ci list, jaki dostałam z Warszawy tuż przed wyjazdem z Michigan, od mojej szkolnej jeszcze koleżanki, trochę ode mnie młodszej, nie powiem ci o ile, mógłbyś robić porównania niekoniecznie na moją korzyść, bo ona jest teraz znaną aktorką filmową, nie powiem ci jej nazwiska, może nawet widziałeś jakiś jej film, więc niech będzie dla ciebie Krysia. Ona zresztą w sumie robi niezłą karierę. Noszę ten list przy sobie, miałam odpisać i nie zdążyłam. Posłuchaj: *Rano wsiadam w pizamie do BMW z zaciemnionymi szybami, zaspana odwożę Marysię do szkoły i mijam po drodze różne ople, mercedesy, ascony też z zaciemnionymi szybami, a dookoła szarówka, brud, błoto, w ogóle bryndza...* I dalej: *Tak, mam fantastyczny samochód, w nim zapach drogich perfum, gra Mozart, ja w szpilkach z węzowej skóry, w szafie cztery futra, ja w tej złotej klatce żyję, zupełnie nieprawdziwej, którą sama sobie uszykowałam. Ja to kocham. Po prostu uwielbiam luksus. I wcale nie mam ochoty przejechać się tramwajem. A są też takie dni, kiedy cały dzień leżę w łóżku i przelewam się, jakbym była kwiatem lotosu. Nie, wcale ci tej twojej Ameryki nie zazdroszczę...* No, i co ty na to? Życie?

— Życie — zgodził się Krzemień. — Mozarta to i my mamy od czasu do czasu, ale niewiele więcej. No, a gdzie ty w tym świecie z twoją starą Ładą? Pasujesz?

— Nie. Nie pasuję. Ani tam, ani najwidoczniej tu. I już sama nie wiem, co robić, jak żyć. A ty wiesz?

— Nie, nie wiem. Po prostu żyję.

— Wiesz co? — ożywiła się nagle. — Mam fantastyczny pomysł dla ciebie. Rzuć to wszystko w diabły, sprzedaj swoją Bramę-leję, sprzedaj tego czarnego potwora, przenieś się do Banff. Kup sobie mały pensjonat, na jakieś dziesięć-piętnaście pokoi, dobra kuchnia, polska i francuska oczywiście, dobra piwniczka plus parę beczulek piwa, autobusik dowożący gości do wyciągów... Będiesz w swoich górach, bez tej biurowej rutyny, na którą mi się skarżyłeś, narty przez prawie cały rok — marzenie. No, i co ty na to?

Spojrzał na nią z ukosa, podejrzliwie, niepewny, jak daleko chce ciągnąć ten żart, ale zobaczył tylko entuzjazm, szczere ożywienie i powagę.

— Przypuszczam, że potrzebna by mi była gospodyni do prowadzenia tego rajku na ziemi?

— Naturalnie. Ktoś, kto zna się na kuchni, lubi gotować i dbać o gospodarstwo, zna się też na ludziach...

— Czy nie socjolog, przypadkiem? A może pielęgniarka na stare lata?

Odwróciła się, urażona, uśmiech zgasł na jej twarzy, widział, jak zacisnęła ręce na pasach fotela. Boże, pomyślał, jak bardzo próbujesz, jak mi cię szczerze żal, mała Inko, ale nie mogę, nie wolno mi teraz, gdy ciągle jeszcze masz możliwość wyboru. Gospodyni pensjonatu w Banff! Co za kariera! Bez kraju, bez dziecka, bez przyjaciół ani zawodu, ze starym człowiekiem na karku, skazana na samotność tam, wysoko, wśród gór, które zimą są bardziej niedostępne i odcięte od świata niż można to sobie wyobrazić, mimo otwartych szos i turystycznego sezonu, dalekie od wszystkiego, czym żyliśmy od dzieciństwa, tak dalekie, że gdy spojrzeć się chce w stronę Polski, nie wiadomo, w którą patrzeć, na wschód, na zachód, czy może na północ, na biegun? Zakopać się w tych górach za życia? Bo potem, gdy się to już skończy, naprawdę chciałby być tam, na tym małym cmentarzyku, ale na razie, dopóki jeszcze żyje? I ona, ta młoda, pełna życia i energii kobieta... Nie, Inko, to brzmi jak bajka, ale dla bardzo małych dzieci.

— Nie dałbym rady — mówił lekko. — Już mnie ktoś uprzedził, niedaleko od Banff, w Canmore, mają bardzo przyzwoity motel „Tatranka”, tuż przy Mount Allan, gdzie planuje się olimpijskie konkurencje zjazdowe. Ogłaszają się, że poza angielskim mówią po francusku, niemiecku, czesku i polsku, a co ważniejsze prócz europejskiej kuchni serwują ci na przykład śniadanie złożone z kawioru i szampana. *You can't beat that*. Prawie jak u twojej Krysi, co?

— Tak... — powiedziała w zamyśleniu. — Ciągle o tym liście myślę. To już inna Polska, niż ta, jaką pamiętasz. Polska lat osiemdziesiątych, nie pięćdziesiątych. Choć nie wiem, czy lepsza od tamtej.

— Ja też nie wiem. Ale wiesz, że Polska jaką pamiętam, to wcale nie lata pięćdziesiąte, nie ostatnie wrażenie sprzed wyjazdu, a raczej przeciwnie, pierwsze po przyjeździe. Może miałem wtedy szczególną wrażliwość, uczulenie niemal na to, co zobaczę po trzech latach niewoli i pięciu latach okupacji, byłem zgłodniały przeżyć, ciekawy kraju i ludzi, stąd może ostrość zapamiętanych wtedy postrzeżeń. W miesiąc po powrocie z Rosji, w październiku czterdziestego siódmego, jechałem pierwszy raz w Polskę, na Ziemię Odzyskane, jak to się wtedy nazywało, dokładniej mówiąc do Szklarskiej Poręby, gdzie miałem pomóc przyjacielowi z obozu prowadzić warsztat samochodowy, bo, jak może wiesz, byłem jeszcze z okresu okupacji kwalifikowanym mechanikiem i to było mniej więcej wszystko, co umiałem robić. Nie nudzę cię?

— Ależ nie, proszę, mów, opowiedz mi jak najwięcej o sobie.

— No, dobrze, mamy jeszcze kawałek drogi, możemy wspominać. Więc jechałem na ten Dolny Śląsk, pociąg z Warszawy odchodził wieczorem, z prymitywnej budy zwanej szumnie Dworcem Głównym. Tłok był taki, że trzej kolejarze z głośnym „ej-rup!” wbijali się ramionami w drzwi wagonu i zatrząskiwali je, upychając pasażerów wewnątrz. Światła oczywiście nie było, zaklinowali mnie w ciemny korytarz i tam utknąłem w twarżmiękkim murze ludzkich ciał, gdzieś o parę kroków od ubicacji, też zatłoczonej przez cztery osoby, jak się później okazało. Plecami wparłem się w okno, po lewej miałem jakiegoś masywnego wielkoluda, po prawej kogoś małego i zionącego cebulą, a na wprost, pierś w pierś można powiedzieć, jakąś kobietę, na wyczucie młoda...

— Zawsze miałeś szczęście — zauważyła zapalając mu papierosa.

— Miałem, prawda? Dziękuję. Później, gdy pociąg ruszył i mijaliśmy rzadkie latarnie, przekonałem się, że była także ładna, ale mniejsza z tym. Tłok był taki, że sięgnięcie do kieszeni po papierosy wymagało rozkołysania całej grupy, a zmiana nogi, na której się stało była wysiłkiem ponad miarę. Ale jechaliśmy, w ciszy, zaduchu, ciemności. Dopiero po jakimś czasie osiłek z lewej spytał, czy muszę mu dmuchać prosto w ucho, odpowiedziałem, że muszę, więc przyjął to spokojnie i westchnął: „Dobrze, że pan przynajmniej fajne papierosy palisz. Amerykańce, nie?”. Poczestowałem go, a potem i pozostałych dwoje, przyklejonych do mnie szczelnie i gorąco. Ciemność w korytarzu zrobiła się niebieskoczarna, ale trochę przytulniejsza. „Ja tam wolę Gaulois”, powiedziała dziewczyna. „Te są dobre, ale dla mnie za słabe”. Okazało się, że przed trzema miesiącami przyjechała z Francji, gdzie się urodziła w rodzinie górnika z Nordu. Repatriantka, jechała teraz do brata, który został komendantem posterunku milicji w Złotorzy, na zachód od Wrocławia. „A Liège pani zna?”, spytał wtedy cebularz spod mojego prawego ramienia. Oczywiście, znała, zaczęli porównywać wspomnienia, bo cebulowy służył u Maczka i wyzwalał Belgię jako kierowca czołgu Pierwszej Dywizji Pancerniej, wrócił do kraju pół roku temu, jechał teraz odnajdywać rodzinę przesiedloną zza Bugu gdzieś w okolicy Nysy Łużyckiej. A kiedy się okazało, że wielkolud także niedawno wrócił z Niemiec, gdzie spędził całą prawie wojnę na robotach u bawarskiego bauera, nie wytrzymałem i wykorzystując przerwę na wydobycie nowej paczki papierosów, powiedziałem od niechcenia: „A to się przyjemnie składa, bo ja miesiąc temu przyjechałem z innej strony, z Rosji”. Fizycznie poczułem,

jak moi współpasażerowie zeszytnieli, gdyby mogli, odsunęliby się ode mnie, nikt nie przyjął ofiarowanego Chesterfielda, zapaliłem więc sam i wydmuchując dym ku sufitowi dodałem: „Z obozu, wicie państwo...”. I wtedy te twarde, sztywne ciała przyklejone do mnie z trzech stron zrobiły się miękkie, przytulne po prostu, poczułem rękę dziewczyny na ramieniu, a olbrzym odsapnął i zakonkludował: „No, to fajno. Już myślałem, żeś pan z tych, co to pan wisz a ja rozumiem. Posuńcie się kapkę, trzeba odbić litra...”. Cudem jakimś wyciągnął zza pazuchy butelkę, wprawnie, jednym uderzeniem dłoni w denko wybił korek tak, że nie wytrysnęła ani jedna kropla, podał dziewczynie... I piliśmy, w tym ciemnym, zapchanym po dach pociągu pędzącym na Dzikie Zachód, w ciasnocie i zaduchu, nie widząc się wzajemnie ciągnęliśmy z jednej butelki, obcierając szyjkę gestem towarzyskiej kurtuazji... „Po jaką cholere tu przyjechałem, sam nie wiem”, mówił fundator tej uczty, a wtórował mu dzielny zdobywca Belgii i innych ziem *in partibus infidelium*, podczas gdy dziewczyna kurzyła Sporty i klęła otwarcie francuskich komunistów, którzy Polaków do repatriacji namówili, obiecując złote góry. „Złote góry, *mon Dieu!* Złote ryje, to może prędzej”, wykrzykiwała, a ja nie widziałem potrzeby wprowadzania jej w arkana polskiej mowy. Ze szczególną nienawiścią wspominała nazwiska jakiegoś towarzysza Gierka i profesora Jabłońskiego, które oczywiście wtedy nic mi nie mówiły, ale po latach wypłynęły z wiernej pamięci.

— Tak — wtrąciła Inka. — Według statystyk, co czwarty Polak między trzydziestym dziewiątym a pięćdziesiątym zmienił miejsce zamieszkania, a w czterdziestym piątym dwadzieścia procent ludności kraju było poza granicami.

— Właśnie. Z wyjątkiem tych, co zostali pod ziemią, od Gibraltaru po Kołymę i od Tobruku do Archangielska. I tych, co prosto przez komin poszli do nieba. Ale my przeżyliśmy i teraz, w tym zatłoczonym wagonie odbywaliśmy zlot gwiazdzisty, można powiedzieć. Marie-Anne, bo tak się nazywała dziewczyna, znalazła twardego sojusznika swoich poglądów w cebularzu, który nam się potem przedstawił jako plutonowy Sznapsik, jak go przezwano w wojsku, zanim nie musiał się szybko zdemobilizować po jakiejś nieudanej transakcji kawą i pończochami, za co groził mu sąd wojskowy. Wrócił więc do kraju, ale belgijskich komunistów wspominał z nienawiścią, twierdząc, że to oni psuli najlepsze interesy. Z Żydami, mówił dało się handlować, jak za dawnych czasów, ale ci rozrabiacze, jak mówił, byli nie do wytrzymania. Gdy skończyliśmy butelkę nasz trzeci kompan, pan Zawisłak, zaproponował repetę, a ja, odwykły po trzech latach obozu od alkoholu,

bałem się, jak to wytrzymam. Wspólnymi siłami udało nam się na szczęście uchylić okno, z którego na zewnątrz buchnęła chmura dymu jak z lokomotywy, mimo ogólnych protestów, że od smrodu jeszcze nikt nie umarł, a od zapalenia płuc już wielu, znasz ten folklor, co ci będę mówił. Ja w każdym razie poczułem się trochę lepiej, a szczerze mówiąc byłem tak rozluźniony, że zacząłem im opowiadać o sowieckim obozie, nie krępując się już nikogo. Okazało się, że byłem w tym towarzystwie jedynym, który przeżył w Polsce okupację, więc tematów mi nie brakowało, a oni słuchali jak urzeczeni, podczas gdy pociąg rwał w ciemną noc, pijany i dziwnie swojski. Daj mi jeszcze papierosa, proszę.

— Awantura zrobiła się dopiero, gdy ktoś próbował przecisnąć się do ubikacji, grożąc, błagając, zaklinając. Marie-Anne wcisnęła się we mnie tak, że przez ubranie czułem każde jej zębro, Sznapsik zanurkował niemal między nasze nogi, nawet pan Zawisłak próbował się zmniejszyć, ale gdy rozgorzała wojna o wysiedlenie okupujących ten przybytek pasażerów, niewiele mogliśmy poradzić. I wtedy, wyobraź sobie, gdzieś nisko, znad tej zaplutej podłogi, rozległ się jasny, czysty tenor pana Sznapsika, który nie bacząc na krzyki zaintonował: *Już kogut piał swe kukuryku, a pies szczeekał na vis-à-vis, gdy nagle w bojowym swym szyku pułk ułanów zawitał do wsi.*

— Och, ja znam tę piosenkę! — ucieszyła się Inka i pełnym głosem zaśpiewała drugą zwrotkę:

*A mama mówiła do córki:
O nie ciesz się, dziewczę, o nie,
Pójdziemy dziś spać do komory,
Bo ułani to bestie są złe!*

— Brawo! Widzę, że naprawdę masz solidne wykształcenie.

— Dziękuję za komplement. No i co dalej?

— A no, wyobraź sobie, ten śpiew podziałał jak magiczny środek na uspokojenie. Ludzie przestali wrzeszczeć, okupanci ubikacji ustąpili najeźdźcom, zrobiło się nawet jakby trochę luźniej, a potem przyłączył się do śpiewu jeden, drugi i poszło... Wojskowe, legionowe, harcerskie, partyzanckie, wszystkie te piosenki okazały się wspólne całej tej spędzonej z czterech stron świata gromadzie, śpiewaliśmy coraz głośniejsze, coraz zgodniej, a jak ktoś zaintonował „Sinij płatoczek”, to został zakrzyczany i zagłuszony. A kiedy nad ranem dobijaliśmy do Wrocławia już cały wagon śpiewał unisono hymn skrobowskiów...

— Co to za hymn? I kto to byli skrobowiacy? — spytała zdziwiona.

— Ach, prawda, to dla ciebie prehistoria, tego was nie uczyli na uniwersytecie. Widzisz, jednym z pierwszych aktów władzy ludowej było wsadzanie przeciwników, po prostu zamykanie ludzi do więzień i obozów jeszcze ciepłych po niemieckiej okupacji. Zaraz w czterdziestym czwartym, na rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej, jak to się mówi, bez fanfar i uroczystości otwarto obóz dla akowców wygarniętych z Ludowego Wojska, gdzie próbowali przeczekać pierwsze miesiące PRL-u. Obóz znajdował się w Skrobowie, pod Lubartowem, wpakowali nas tam pół tysiąca najlepszych, wybranych oficerów i podchorążych, potrzymali pół roku, potem wywieźli do Rosji. Ale to już inna historia. Naszą ulubioną piosenką była stara, lwowska ballada o pewnym Felusiu Steckiewicz i jego kochance, ale nie dla romantycznej treści, tylko ze względu na refren, który kilkuset ludzi intonowało chórem, gdy tylko na horyzoncie pokazywał się komendant obozu, sowiecki major Kałasznikow, ubrany rzecz jasna w taki sam, polski mundur, jak jego jeńcy. Refren ten brzmiał po prostu:

*Nie bój się, Felusiu,
My jeszcze żyjemy,
My tym skurwysynom
Zdrowie odbierzemy!*

— A to śliczne! — zawołała Inka i zaniosała się śmiechem.

— Ładne, prawda? *Excusez le mot*, ale tak to brzmiało. Więc kiedy pod Wrocławiem nasz pociąg wymijał sowieckie transporty idące z Niemiec na wschód, otwarliśmy już szeroko okna i ryczeliśmy im ten refren prosto w ogłupiałe twarze. Dwa lata po wojnie, masz pojęcie? Ale to była ta spójnia, ta wspólnota plemienna, jeśli chcesz, to co najważniejsze.

Ich czarny Porsche sunął równo po szosie tak gładkiej, że Inka mimo woli wspomniała warszawski dowcip, jak to Trasę Łazienkowską podobno budowali marynarze, tak była pofalowana. Ale zaraz wróciła do jego opowieści, pytając, jak się ta podróż skończyła.

— Cóż, zwyczajnie, jak każda podróż. Zawiślak i Sznapsik wysiedli we Wrocławiu, Marie-Anne, która potem okazała się po prostu Marianną, chciała się tam przesiadać na Złotoryję, ale Zawiślak, handlujący na tych terenach od dość dawna, stanowczo jej zabronił, twierdził, że kwaterujący w Legnicy zegarmistrze, jak ich nazywał, rozbiorą ją nie tylko z zegarka, ale z całego

przydzwiewku i dobrze, jeśli z życiem puszcza. Jechała więc ze mną dalej, do Jeleniej Góry, znaleźliśmy nawet miejsce w przedziale i dalej było bardzo romantycznie, błagała, żebym z nią jechał, bo, jak mówiła, od razu poznała, że nie byłem zwyczajnym mechanikiem, ale kimś lepszym; podczas gdy w nocy tamci dwaj próbowali różnych rękoczynów ja, ku jej zdumieniu, nie wykorzystałem sytuacji, chociaż musiałem być po obozie spragniony tych rzeczy, więc obiecywała, że brat nam załatwi mieszkanie, dla mnie pracę, gdzie zechcę...

— Naprawdę masz szczęście do romantycznych przygód — zauważyła Inka, nagle nachmurzona, jakby to wszystko o czym mówili nie działo się przed trzydziestu paru laty, a wczoraj.

— Jak widać na załączonym obrazku — odpowiedział. — Wiesz, kiedy dojedziemy do Montrealu, pokażę ci na wyspie Notre-Dame budynki dawnej wystawy światowej, obecnie nazwane tytułem książki St. Éxupery, *Terry des Hommes*, „Ziemia, planeta ludzi”. Pytałaś, jaką Polskę pamiętam. Polskę, ojczyznę Polaków, jak to ładnie sformułował któryś z kolejnych przywódców, nieważne który. To była właśnie ta prawdziwa Polska, ojczyzna Polaków, najrozmaitszych, dobrych i złych, pijaków i awanturników, wspaniałych i zadzierzystych, spryciarzy i naiwniaków, połączonych jednym wspólnym duchem, właśnie Polaków. Taką Polskę pamiętam i taką chcę zawsze pamiętać.

Wiedział, że musi ją jakoś oderwać od tej rozpaczliwej myśli o godzinie rozstania zbliżającej się z szybkością stu kilometrów, nawijanych na koła auta, biegnących gładką szosą, kilometrów nie do odrobienia, nie do zawrócenia. Och, oczywiście, można było na najbliższym zjeździe zeskokczyć z jednokierunkowej autostrady, przejechać nad nią jakimś wysokim wiaduktem i spaść na jej bieżnię z powrotem, tyle tylko, że motorem wozu skierowanym w przeciwną stronę, na zachód, ale co by to rozwiązało na dłuższą metę? Pensjonat w Banff i redaktor Jan Krzemień w charakterze portiera, sprzątacza i dozorczy? I pani magister Janina Urgacz przy elektrycznych garach, zmieniająca pościel po przygodnych kochankach, czyszcząca z niedopałków brudne popielniczki? Ileż już takich karier widział tu, w Kanadzie, czy wcześniej w Londynie. Generałowie, których nazwiska zapisały historie w wielu językach świata, właściciele dużych fortun i zdolni artyści, pisarze, cały ten wysadzony z siodła tłumek walczący o utrzymanie się na powierzchni jeszcze w dwanaście lat po wojnie, kiedy Krzemień przyjechał z Polski. Ich piękne kiedyś kobiety, olśniewające Warszawę nowymi toaletami i biżuterią teraz, w Londynie, Toronto czy Montrealu, zniszczone i zgaszone, pozbawione radości życia, skończone. Nie, poszedł na studia, bo nie

chciał dzielić ich upokorzenia, wybił się i stanął samodzielnie na nogi, jest kimś, jego nazwisko i twarz znane są setkom tysięcy widzów telewizyjnych transmisji sportowych, jego artykułiki i notatki przedrukowują pisma i magazyny w połowie świata, dopóki starczy sił i zdrowia, nie, nie będą właścicielem nawet najpiękniejszego pensjonatu, nawet w górach, nawet w Banff. I dlatego uparcie jechał na wschód.

Na lunch zatrzymali się w połowie drogi, tam gdzie jezioro Ontario zwęża się przechodząc w szeroko, majestatycznie rozlaną rzekę świętego Wawrzyńca, która odtąd towarzyszyć im miała aż do końca podróży. Krzemień zaproponował hamburgery w przydrożnej restauracyjce McDonalda, z daleka przywołującej podróżnych dwoma złotymi łukami nad czerwonym dachem, a widząc wahanie Inki spytał, czy ma coś przeciw temu. Okazało się, że hamburgery jadła tylko raz w życiu, w Warszawie przed rokiem, gdzie okrzyczano je jako najnowszą sensację kulinarną a zaraz potem potępiono za niestrawność. Po tym doświadczeniu uważała je za wyjątkowe paskudztwo, toteż Jan z rozbawieniem obserwował ukrywaną obawę, z jaką przystępowała do rozwijania podanego przez okienko, wprost do auta, dania, potem zaś śmiał się już otwarcie widząc, jak zajada i cieszy się, odkrywając najprostszy smak tego amerykańskiego specjału. Palcami wyjadała z torebki cieniutkie frytki, popijała Coca-colą i była tak zachwycona tym tak zwyczajnym posiłkiem, że powiedział żartobliwie:

— Okazuje się, że marnowaliśmy dotychczas pieniądze na te filet mignon i steki z abalone, trzeba nam było jadać właśnie u MacDonalda, czy Raxa, czy w innym takim przybytku. Poznałabyś lepiej prawdziwy smak życia na tej półkuli, zamerykanizowanej bez litości, ale chyba nie w najgorszy sposób.

Kiwnęła głową, usta pełne jeszcze miała jedzenia, cieszyła się tym przeżyciem jak wszystkim, co było dla niej nowe, ciekawe, warte poznania. Polubił w niej tę ciekawość życia, świeżość, z jaką przyjmowała zdarzenia zdawałoby się drobne, a przecież jakoś dla niej ważne. To dobrze, myślał, podróż statkiem pozwoli jej przez parę dni cieszyć się tą nową przygodą, przez ten czas Kanada zatrze się nieco, a potem będzie już w Europie, blisko domu. To dobrze, lepiej, niż lecieć, unika się dramatycznego przeskoku, szoku przestawienia się na zupełnie inne życie, co w przypadku Inki byłoby szczególnie dotkliwie. I pogłaskał ją po głowie.

— A teraz uważaj — powiedział starając się być bardzo poważny. — Wkrótce przekraczamy granicę prowincji, znajdziemy się w innym kraju, zwanym Quebec.

— Dlaczego mam uważać? Czy są jakieś formalności?

— Wiesz, kiedy byłem mały i dużo podróżowałem po Polsce z moim ojcem, zawsze mnie straszyl, że na granicy stoi bardzo brzydka, stara baba, którą trzeba pocałować... Już nie będę ci powtarzał szczegółów, jak i w co.

— Twój ojciec musiał mieć chorą wyobraźnię. Ale tobie to teraz nie grozi, wiesz ze sobą swoją bardzo brzydka i dość starszawą babkę, więc ją będziesz musiał pocałować.

— Szczegółowe instrukcje, jak i w co?

— Tak. Bardzo mocno i prosto w usta.

Zrobił to, gdy tylko przekroczyli umowną linię dzielącą Ontario od Quebec, wkrótce jednak, skoro tylko ruszyli w drogę, Inka przekonała się, że istotnie znaleźli się w innym kraju. Francuskie napisy nawet na oznaczeniach szosy i kierunków, francuskie reklamy tej samej Coca-coli i Pepsi-coli, do których przywykła jako synonimów angielskiego języka, nieudolnie odtwarzanych krajowym „To jest to”, francuskie szyldy na przydrożnych restauracjach i domach, wszystko to wydało się jej czymś całkowicie nowym, jakby przeniesiono ją w ciągu kilku minut do Francji. Krzemień tłumaczył jej historię separatystycznych dążeń tej od wieków zasiedlonej przez francuskich emigrantów prowincji, przypomniał niefortunne wystąpienie de Gaulle’a, który z właściwym generałom taktem wznosił okrzyk *Vive le Quebec libre!*, zrozumiany przez miejscowych separatystów jako hasło do secesji, co z kolei spowodowało dalsze tarcia, ucieczkę wielu wielkich firm do prowincji Ontario, dalszy rozdziew między obiema zasadniczymi grupami, pro-anglosaską i pro-francuską, ekonomiczne kłopoty Montrealu.

— A było tu tak dobrze — wspominał. — Polacy czuli się tu jak w domu, w zasięgu kultury drogiej i bliskiej sercu, w sferze języka znanego wielu z nich od dzieciństwa, w dobrym klimacie przyjaznego miasta, z jego katolickimi tradycjami, katedrą Notre Dame, francuskim uniwersytetem. Wszyscy ci Sosnkowscy, Stachiewicz, Romerowie, Brzezińscy, Tarnowscy i ilu ich tu nie było stworzyli wspaniałe polskie środowisko, promieniujące życiem kulturalnym, intelektualnym i towarzyskim, skoro minął czas życia politycznego. Emigracja londyńska, andersowcy, akowcy, potem nowsze pokolenia emigracji, całe warstwy, grupy, organizacje, parafie, bale, imprezy, wszystko, o czym możesz tylko w kraju zamarzyć, to było w Montrealu. I stara, przedwojenna Polonia, Dom Polski, organizacje, Sokoli, kółka różańcowe, co chcesz.

— Już tego nie ma? — zdziwiła się.

— Nie, jest, oczywiście, ale zniknął ten niepowtarzalny klimat, zastąpiony rozjątrzeniem, szowinizmem, tarciami. Niby nam nic do tego, czy mówimy po angielsku czy francusku, ale zostałeś cień, rozumiesz? A poza tym... wymierają ludzie, zmienia się wszystko. Ostatni raz chyba podczas Olimpiady, w siedemdziesiątym szóstym zjednoczyły nas sukcesy polskiej drużyny, ale też były zgrzyty, że to, panie dziejku, drużyna z komunistycznego kraju...

— Co za bzdura!

— Ja też tak uważam, ale byli inni... At, szkoda mówić. Ale lubię to miasto, dobrze się tu czuję, jak w Europie i Ameryce równocześnie.

— Dlaczego się tu nie przeniesiesz?

— Już za późno. Trafiłem do Toronto, mam studia z angielskiego uniwersytetu, wrosłem. A poza tym mam wielu przyjaciół w Toronto, świetnych ludzi, SPK, w którym trochę działałem, język też jednak decyduje. To znaczy, znam francuski, ale nie na tyle, żeby się produkować w telewizji, a to mój zawód. Był określa świadomość, jak twierdził kolega Marks, czuję się związany z Toronto mocniej, niż z Montrealem.

Ruch na szosie gęstniał w miarę jak zbliżali się do miasta, które powoli wyłaniało się przed nimi płataniną węzłów drogowych, coraz wyższymi domami, wreszcie rosnącą nad horyzontem zieloną ścianą Królewskiej Góry, Mont Real, Mount Royal. Krzemień zamilkł, szybko i zręcznie zmieniał linie i szosy, przemykał między ogromami ciężarówek, lawirował wśród potoku osobowych wozów, raz po raz wpadających na szosę z bocznych dojazdów, czy zagnęła znikających na licznych odnogach głównej autostrady, prowadzącej najwidoczniej do śródmieścia, jak się domyślała. I nagle, nim zdążyła się zorientować, byli już wśród wąskich, zatłoczonych ulic, kolorowe tarasy restauracji gęsto obsiadły chodniki, po których wolno, odświeżenie przesuwali się barwni, gwarny tłum dostatnio ubranych ludzi i obszarpanej młodzieży, a potem otworzył się przed nimi lekko pochyły plac, u którego szczytu wznosiła się dziwna, secesyjna a mimo to lekka budowla, przypominająca jej nieco poznański ratusz, obok zaś strzelała w niebo prosta kolumna zwieńczona samotną postacią jakiegoś dawnego bohatera.

— *Et voilà* — powiedział Krzemień, zatrzymując auto przy krawężniku, obok postoju taksówek — *l'Hôtel de Ville de Montreal*. Jesteśmy na miejscu i tu się pożegnamy.

— Tu? Już? Tak nagle? — była tak zaskoczona, że nie umiała znaleźć słów, patrzyła na niego z przestraszeniem, widział,

jak łyzy napływają jej do oczu, ale postanowił już dawno, że tak będzie najlepiej, najmniej boleśnie. Dla obojga.

— Tak — starał się mówić najspokojniej, jak umiał. — Stąd weźmiesz taksówkę do portu, to niedaleko, tam w dole, za tymi domami Starego Miasta.

— Nie odwieziesz mnie?

— Nie. Nie trzeba, żeby nas razem widziano. I nie będziemy robić z naszego pożegnania widowiska przed ludźmi, prawda?

— Tak. Uważasz, że już czas?

— Obawiam się, że już czas.

— Pocałuj mnie, proszę.

Odpiał pas, przechylił się w ciasnym, przytulnym wnętrzu wozu tak dobrze znanym, tak własnym, a równocześnie tak pełnym obecności tej kobiety, że nie umiał sobie wyobrazić, jakie będzie za chwilę, za moment, gdy jej zabraknie, objął ją mocno i przytulił do piersi, a potem zaczął zachłannie, rozpaczliwie całować jej usta, oczy mokre teraz i słone, policzki, szyję i barki wyłaniające się z rozpiętego kołnierza swetra, ustami natrafił na złoty łańcuszek obciążony między piersiami sygnetem herbu Rawicz, poszukać chciał wargami tego pierścienia, ale odsunęła jego głowę łagodnie, stanowczo.

— Nie, Janku, miły mój, najdroższy mój, jedyny mój. Nie, jesteśmy prawie na ulicy, na oczach wszystkich tych ludzi... My przecież pożegnaliśmy się dziś rano, prawda? Nie, nie można, musimy być dorośli i rozsądni, pamiętasz?

— Pamiętam. Pamiętam wszystko i pamiętać będę zawsze, jak długo los pozwoli mi jeszcze żyć. Kocham cię, Inko, moje ty najdroższe, najdroższe dziecko.

— Bądź zdrow, mój miły. Czy zobaczę cię kiedyś jeszcze?

— Może. Chyba. Nie wiem.

— Postaraj się — szepnęła i nagle wysunęła się z auta, już była na zewnątrz, w chłodnym świetle jesiennego popołudnia, wysoka, smukła, prosta, w luźno rozpiętym płaszczu na tweedowej spódnicy i szerokim swetrze, w ręku trzymała beret, gotowa do odlotu, jak srebrnoszara mewa stojąca nad brzegiem morza przed daleką podróżą w nieznanne.

Jan wysiadł od strony jezdni, jedną po drugiej wydostawać zaczął z wozu walizki, stawiał je równo i starannie obok nieruchomej, jakby zastygłej w tym bezruchu kobiety, potem, nie patrząc na nią, ręką przywołał taksówkę, a gdy podjechała otworzył drzwi i pochyleniem głowy wskazał je Ince. I podczas gdy młody szofer ładował walizki do bagażnika Krzemień zatrzasnął

drzwi i tylko przez spuszczoną szybę pochylił się ku niej, raz jeszcze ujął jej wąską, silną dłoń, raz jeszcze pocałował wnętrze tej dłoni, potem cofnął się ostro i powiedział do szefora:

— *A „Stefan Batory”, un paquebot polonais.*

— *Oui monsieur, je sais.*

A wtedy Inka wychyliła się z taksówki i rzuciła mu jedno tylko słowo, słowo-pytanie, obietnicę, nadzieję:

— Sarajewo?

I już jej więcej nie widział.

Powoli obszedł swój wóz, wsiadł, starannie zatrzasnął i zabezpieczył drugie drzwi, wiedząc, że nikt ich nie będzie potrzebował przez długi, długi czas. Starając się nie patrzeć na sąsiedni fotel, przechowujący jeszcze, zdawało się kształt i ciepło jej ciała, włączył kluczyk, zapuścił motor, potem, ciągle jeszcze tymi samymi, powolnymi, umyślnie powolnymi ruchami wycisnął sprzęgło, wrzucił pierwszy bieg, skrzył kierownicę i machinalnie obejrawszy się przez ramię odpuścił pedał sprzęgła, ruszył. Porsche wytoczył się na jezdnię, posłusznie skierował pod górę, w stronę przeciwną portowi, gdzie skrępowany linami gotował się do innego odjazdu statek pod polską banderą. Było wczesne popołudnie, ulice, mimo jesienno chłodu, ciągle jeszcze pełne były przechodniów, turystów, młodzieży, stukwały kopyta koni zaprzęgniętych do staroświeckich powozów, w których siedzieli szczęśliwi kochankowie dumnie spoglądający na stary Montreal, gdzie brzękała gitara przygodnego, ulicznego barda śpiewającego, rzecz jasna, o miłości.

Nie, chyba nie dam rady dojechać z powrotem, myślał prowadząc wóz w tym powolnym, spokojnym strumieniu ludzi i pojazdów, po ulicach rozjaśnionych teraz niespodziewanym promieniem słońca zza grzbietu Królewskiej Góry, ku której zmierzał. Zatrzymam się w jakimś motelu, nie mam ani siły, ani ochoty odwiedzać nikogo z tych miłych, ale jakże dokuczliwie ciekawskich ludzi, wstąpię tylko do księgarni, kupię sobie coś do czytania, to lepsze niż samotne zapijanie się czy jeszcze bardziej beznadziejne wpatrywanie w telewizor pośród przeraźliwie pustego, hotelowego pokoju, będę czytał aż do uspokojenia, potem wezmę valium, może nawet dwie pastylki, każe się rano obudzić, żeby przed południem być już z powrotem w domu. Tak będzie najlepiej, jeszcze tylko ten jeden drobiazg do załatwienia...

Zatrzymał auto przed niewielkim biurem podróży, reklamującym wyjazdy do Polski i z daleka nawołującym wielkim afiszem z kolorową fotografią statku, o którym chciałby jak najszybciej zapomnieć, ale przemógł się, wysiadł i pchnął drzwi opatrzone

starodawnym dzwonkiem, jak w przedwojennych kantorach czy sklepach. Na powitanie podniósł się zza kontuaru korpulentny, uśmiechnięty właściciel tego zakładu, Kazio Potoczka, który zawsze twierdził, że nazywał się Potocki, tylko mu bolszewicy przez złośliwość nazwisko źle, jak mówił, „wyspellowali” i w ten sposób zdemokratyzowali.

— Witam, witam redaktora kochanego — wołał, wyciągając do Krzemienia rękę gestem przyjaźni i powitania. — Co was w nasze niskie progi sprowadza? Znowu Europka? A może tak...? — i znacząco wskazał na zdobiącą ścianę reklamę „Stefana Batorego”.

— Dobry wieczór, panie Kazimierzu — próbował uśmiechnąć się Krzemień. — Na razie jeszcze nie, poczekamy, zobaczymy.

— Siadajcie, redaktorze. Co się w tym świecie wyrabia! Czytam, że na prawo pobytu u nas, w Stanach, w całym świecie, czeka prawie pół miliona rodaków, uchodźców, a tu masz pan, „Batory” dzisiaj odpływa do Polski z kompletem pasażerów. A tam, czytam, nawet do Morskiego Oka czy na Kasprowy trzeba brać przepustkę. Rozumiecie coś z tego?

Jan wyciągnął papierosy, bardzo mu się zachciało zapalić, nie częstował Potoczki, nie było takiego zwyczaju. A kiedy gruby właściciel tego tak świetnie prosperującego przedsiębiorstwa podał mu ogień, Jan wydmuchnął dym do sufitu, rozpedził ręką szarą chmurę.

— Nie, nic nie rozumiem, panie Kaziu kochany. Ale czy może mi pan zrobić przysługę właśnie związaną z „Batorym”?

— Dla redaktora kochanego wszystko, tylko szybko, bo oni zaraz odbijają, ostatni rejs.

— Nie, to nie jest aż tak pilne. Chodzi mi o przekazanie komuś na statek pieniędzy, telegraficznie ale dyskretnie. Jak już odpłyną.

A widząc nieco zdziwioną minę Potoczki dodał:

— Ktoś mi obiecał, że je przekaże rodzinie w Polsce, ale pod warunkiem, że bez nazwisk, rozumiecie. Niech przekaz będzie od waszej firmy, nikomu nie podpadnie. Wypiszę wam czek, oczywiście z kosztami manipulacyjnymi.

— Jakie tam koszta! Drobiazg detaliczny. A jak Edmonton Oilers przyjadą tu na mistrzostwa, to przecież bilecik redaktor dla mnie znajdzie, nie? Dawno już nie widziałem tego szatana Gretzky na lodzie, a sezon się dobrze zapowiada. Komu i ile mam przekazać?

Krzemień wyjął książeczkę czekową, wypisał kwotę pięciuset dolarów i podając czek Potoczce odpowiedział:

— Bilecik zawsze się dla przyjaciół znajdzie. A ta forsa to dla pani Janiny Urgacz, wiem, że jest na liście pasażerów.

Potoczka przyjął czek, włożył okulary i sięgnąwszy po opasłą teczkę wertować zaczął jakieś papiery.

— P, R, S, T, U — mrucał. — Uchymiak, Umiasowski, Unilak, Urgacz, jest, Urgacz Janina, zgadza się. Obywatelka PRL. Zrobione.

Tknięty jakimś niedobrym przeczuciem Krzemień przechylił przez biurko i zaciągając się papierosem spytał pozornie lekko:

— A, macie listę pasażerów? Możecie dla mnie sprawdzić jeszcze jedno nazwisko?

— Niby to tajemnica handlowa, wyjawiać nie wolno, terrorystów się boją, ale jakie my tam terrorysty, redaktorze? O kogo idzie?

— Czy jest tam przypadkiem pan Protasiewicz?

Potoczka przewrócił kartkę, zsunął z czoła na oczy okulary, znów zamruczał swoim zwyczajem:

— U, T, S, R, P... Purchacz, Przyłuski, Przybyła, Protasiewicz, jest, Protasiewicz Stanisław, zgadza się. Obywatel PRL. Też mu coś przekazać? Co wam, redaktorze, zbledliście jak ściana?

Krzemień zdusił w popielniczce papierosa, próbował się uśmiechnąć, czuł, że cała krew uciekła mu z twarzy, wyszeptał słabo:

— Może trochę wody poproszę, zmęczyłem się bardzo...

Potoczka zakręcił się zrećnie i szybko, stał już obok Jana ze szklanką wody, rozluźnił mu krawat i odpinał kołnierzyk koszuli, zaafierowany i wyraźnie przestraszony. Tłumaczyć mu próbował Krzemień, że niedawno przyjechał, że ma za sobą wyczerpujący *week-end* i czuje się zmęczony jazdą z Toronto, tamten nie słuchał, sięgał już po telefon, dopiero na energiczny protest Jana opuścił słuchawkę na widełki.

— W naszym wieku, redaktorze, to nie śmiech, nie ma co podskakiwać. Może wam jednak sprowadzić ambulans, co? Niech sprawdzą, co to komu szkodzi, nie kosztuje nic, CBC zapłaci, jak zawsze mówicie.

— Nie, naprawdę dziękuję, już minęło, przeszło. Zaraz tu niedaleko podjadę, położę, się wypoczne.

— Na pewno możecie prowadzić tego smoka? — pytał tamten otwierając przed gościem drzwi na cichą o tej porze, pustą ulicę w cieniu Królewskiej Góry, na której odbitym, późnym promieniem błyszczał ogromny, stalowy krzyż. Krzemień podzięko-

wał raz jeszcze, wszedł do auta i ruszył uparcie w cień góry, zdecydowany, dokąd jedzie i co chce uczynić. Po drodze zatrzymał wóz raz jeszcze przed uniwersytecką księgarnią, wszedł do jej jasnego wnętrza, zaczął kartkować książki w poszukiwaniu tej jednej, która pozwoliłaby mu przeżyć tę nieuchronnie zbliżającą się noc. Przerzucał kolorowe okładki, wiele z tych nazwisk i tytułów nic mu nie umiało powiedzieć, inne pokolenie, inna epoka, przeszedł do półki z literaturą kanadyjską i zdziwił się przyjemnie spojrzawszy na myślącą, kulturalną twarz autora, spoglądającego z zadumą z ostatniej strony okładki. Podobny do mnie, pomyślał z humorem o tym nieoczekiwanym dla siebie samego komplementem, ale poczuł jakąś więź między sobą a tym spokojnym, zamyślonym człowiekiem, którego reklamowano jako najwybitniejszego, współczesnego pisarza Kanady. Hugh MacLennan, czytał Krzemień, „Czuwanie, które kończy noc”, hm, tytuł całkiem *à propos*, zobaczymy, co pan MacLennan może nam zaproponować, myślał przerzucając kartki, gdy wtem napotkał słowo Montreal, zatrzymał wzrok, zaczął czytać:

Ale tego wieczoru, gdy wracałem do Montrealu, to przynajmniej odkryłem, że nie istnieje proste wytłumaczenie żadnej z tych ważnych rzeczy, jakie każdy z nas robi, i że ludzka tragedia, czy ludzka ironia, stanowi konieczność życia z konsekwencjami czynów popełnionych pod presją motywów tak tajemnych, że ani ich nie rozumiemy, ani nie potrafimy pojąć. Moralność? Obowiązek? Łatwo było kiedyś mówić o tych sprawach, ale z pewnością nie jest rzeczą przypadku, że w naszych czasach nawet najlepsi z nas wahają się wewnętrznie, zanim wypowiedzą te słowa.

Delikatnie zamknął książkę, wziął ją pod pachę i podszedł do kasy. Każde słowo przeczytanego tekstu przemawiało do niego z taką jasnością, jakby nie nieznanymi pisarz z poprzedniego pokolenia, ale on sam, Jan Krzemień, napisał je w momencie najgłębszej retrospekcji, bezlitosnej analizy swoich postępów, od lat czterdziestu, od dnia, gdy poznał Dianę i powodowany niezrozumiałym impulsem zagarnął ją, jak swoją własność, aż po rozstanie z jej córką w cieniu samotnej kolumny, z której szczytu tragiczny admirał Nelson na wieki spoglądać miał z tęsknotą w stronę rodzinnej Europy. Ludzka tragedia, czy ludzka ironia?, myślał wyszedłszy z księgarni i ruszył stromą ścieżką w stronę widokowego pawilonu na szczycie Królewskiej Góry. Czuł że spacer, ruch na świeżym powietrzu, będzie najlepszym lekarstwem na wszystkie dolegliwości, psychiczne i fizyczne, że potrzebuje

tego szerokiego, niczym nie ograniczonego widoku, jaki tyle razy podziwiał z tarasów wiszących nad ogromem miasta, nad jego sięgającą rzeki płaszczyzną, z której ku jaśniejącemu nad drzewami złotych klonów niebu wznosiły się kopuły i wieże kościołów, smukłe budynki śródmieścia i dalekie krany ruchliwego portu. Lubił spoglądać z tego wywyższonego, wzniesionego nad Montrealem punktu i przypominać sobie, jak tu zaczęła się jego nowa kariera, nie tak dawno, przed sześciu laty podczas Olimpiady, kiedy to wyróżnił się kilkoma reportażami o sportowcach z Europy, zwrócił na siebie uwagę jednego z dyrektorów CBC, który, jak się później okazało, w dzieciństwie nazywał się Gajowiak, odszedł potem całkowicie od polskości a teraz, jakby chcąc to nadrobić zaopiekował się Krzemieniem, umiejętnie sterował jego karierą telewizyjnego dziennikarza sportowego, aż „wyprowadził go na ludzi”, jak mówił, sobie przede wszystkim przypisując zasługi. A potem pełny już sukces w Lake Placid, gdzie Krzemień zdecydowanie poszedł w kierunku specjalizacji sportów zimowych, o co w Kanadzie, żartował, nie było wcale trudno. Tym bardziej, gdy reprezentowała jej barwy grupa młodych chłopców, popularnie zwanych *the crazy Canucks*, zwariowani Kanadyjczycy, z których jeden, właśnie Podborski, zdobył w Lake Placid pierwszy dla Kanady medal w konkurencjach zjazdowych... Krzemień sądził czasem, że temu właśnie zawdzięcza trwającą od tego dnia dobrą passę. I teraz, zaledwie po dwóch latach, samodzielne zadanie zorganizowania transmisji z Sarajewa...

Zatrzymał się w połowie drogi na przypomnienie tego słowa, co jak wywoławcze hasło brzmiało bez przerwy głosem Inki, było w jej szarych oczach pod boleśnie zmarszczonymi brwiami, w wyrazie jej ust, w zatrzymanym przed odlotem geście jej niezapomnianego ciała. Czy coś przekazać panu Protasiewiczowi?, pytał Potoczka z zatroskanym wyrazem twarzy. Nie, drogi kolego, nie trzeba panu Protasiewiczowi przekazywać niczego, sam sobie weźmie bez naszej pomocy, to, do czego ma, jak uważa, prawo. Prawo dżungli rządzące krajem, w którym żyć będzie Inka, delikatna, wrażliwa, czuła Inka, dobra, wspomniała, szczerą bez miary Inka, moja ostatnia miłość. Sarajewo?

Z trudem doszedł do widokowego tarasu, oparł się o kamienną poręcz i ciężko dysząc starał się uspokoić. Kolorowa torba z powieścią MacLennana leżała obok, jak klucz, który być może otworzy mu przyszłość i wyjaśni minione lata, pełne czynów, myśli i uczuć nie zawsze łatwych do jasnego określenia, czasem nawet nie do wytłumaczenia. A poza balustradą rozciągało się żywe, jasne, ruchliwe miasto pod szybko idącymi z zachodu chmurami, sunącymi jedna za drugą w stronę dalekiego oceanu,

poza którym była Polska, była przeszłość, było wszystko to, co kiedyś bolało, potem, zdawało się, ucichło na zawsze, zablźniło się, uspokoiło, zanim znów nie wróciło niezapomnianym uśmiechem Diany, gorącym ciałem jej córki, zrodzonej... Kiedy? I z kogo?

Ból w piersi zaczął znowu narastać, bez uprzedzenia uderzył osłabieniem, zaćmieniem wzroku, ale przemógł się, wyteżył oczy w stronę portu, tam gdzie na wielką rzekę świętego Wawrzyńca dumnie wypływał polski statek, starał się zobaczyć choćby jego sylwetkę, jego daleki cień. Uchwycił mocno, obu rękami twardą, kamienną poręcz, nogami wsparł się mocno, twardo w kamienną Królewską Górę i chociaż powiedzieć chciał, że nic, że to przecież tylko zwykła, późna jesień, największym wysiłkiem zwrócił się w stronę dalekiego statku i wyszeptał:

— Sarajewo.

SPIS TREŚCI

I.	<i>Trg revolucije</i>	9
II.	<i>Nur du allein</i>	17
III.	<i>Porwanie</i>	35
IV.	<i>Kraina Dzikiej Róży</i>	55
V.	<i>Szlakiem Orlich Gniazd</i>	71
VI.	<i>Nad wodą wielką i czystą</i>	89
VII.	<i>Droga na wschód</i>	107
VIII.	<i>Widok z Królewskiej Góry</i>	129

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 29 AVRIL 1988
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 2^e trim. 1988.

N° d'imprimeur 8905.

